ANIA
Z LECHICKICH PÓL

MARJA DUNIN-KOZICKA

ANIA Z LECHICKICH PÓL

DZIECIĘCTWO

WARSZAWA 1931
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3250 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY

№ 1108 *

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka.
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

Drukarnia Narodowa w Krakowie, Wolska 19

BŁYSK PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Rodzina zebrana była przy podwieczorku. Miejsce zmarłej przed rokiem pani domu zajęła starsza siostra, ciocia Misia, której falująca, podstrzyżona czupryna, jedyną chyba stanowiła oznakę jakiejś „emancypacji“. Zielone bowiem oczy tej niezamężnej krewnej promieniały blaskami łagodnej nieśmiałości i bezgranicznego uczucia dla osieroconej siostrzenicy. Głębia tego uczucia tak była niezmierna, że na samem jej dnie znalazłaby cichutka ciocia Misia (w razie jakiejś nadzwyczajnej potrzeby) odwagę do stawiania oporu despotycznemu szwagrowi, siedzącemu naprzeciw niej, przy drugim końcu owalnego stołu.

Byłby to — w danym razie — czyn heroiczny, gdyż despotyzm pana Wojciecha, jedyna wada jego nieskazitelnego charakteru, uniezależniał go od rodziny i znajomych, wywołując samowładcze rozstrzyganie każdej życiowej sprawy. Tylko wobec żony, niezwykle pięknej i dobrej, uginała się ta stalowa natura, topniejąc niby wosk, rozgrzany ogniem bezgranicznego uczucia, ale w owej chwili podwieczorkowej herbaty wyraz twarzy pana domu nie zwiastował żadnej ustępliwości. Spojrzenie jego niebieskich źrenic spoczywało z wyniosłym chłodem na wytwornej postaci czarnookiego mło-

dzieńca, rozmawiającego z ożywieniem z siedemnastoletnią Alinką, przyszłą dziedziczką ślicznych Malinek. Nawprost dwojga tych młodych znajdował się trzydziestokilkoletni mężczyzna o wyniosłem czole, z odrzuconemi wtył ciemnemi włosami. Jego szare, mądre oczy badały przenikliwie wyraz twarzy owego przystojnego bruneta, którego małe, miękko wykrojone usta i nieco zbyt duży orli nos widniały często w profilu, gdy zwracał się ku swej uroczej sąsiadce. Półgłosem rzucane słowa świetnego „causera" wywoływały ciepłe, różane tony na licach dziewczęcia, fijołkowe oczy mieniły się przytem aksamitną ciemnią bratków, to znów lśniły przejrzyście niby dwa jasne ametysty. Za każdym takim objawem rodzącego się, wiośnianego uczucia, nagły ból przesuwał się po wygolonej, rozumnej twarzy obserwatora i znikał wnet, poskromiony wolą. Miejsce przy stole pomiędzy nim, a panem domu nie było zajęte, pomimo iż nakrycie wskazywało, że miało swe przeznaczenie. Służący Jakób, którego całe życie upłynęło w tym wiejskim dworze i który miał przekonanie, że chyba śmierć usunie go z zajmowanego stanowiska — krzątał się sprawnie dookoła stołu, bacząc pilnie na idealne wywiązywanie się ze swego obowiązku.

Przez otwarte okna wdzierały się oddechy silnie woniejących kwiatów i dolatywał łagodny szum leciwych drzew parku. Gromadki szaro-niebieskich gołębi snuły się po alei wjazdowej, gruchając rozgłośnie i czekając nieustępliwie na sypane im szczodrą dłonią Alinki (a czasem Jakóba) okruchy pieczywa. Soczyste trawniki rozpościerały się falą niziutkiej zieleni aż hen! pod mocarne grzywacze

drzewne. Kędyś w oddali puszyły się pawie, dumne ze swych szmaragdowych wachlarzy i swawolnie igrały rasowe źrebaki na zagrodzonej dla nich przestrzeni. Wiatr pomykał chyżo i lekko, wiosłując w powietrzu jednem skrzydłem z niebieskiego lazuru, a drugiem z promieni słonecznych. Czarowny maj siał hojnie swe krótkotrwałe wdzięki na ten piękny i cichy dwór wiejski, zdający się być symbolem dobrego smaku i niezachwianej harmonji. Tylko w duszach zebranych w nim ludzi brak było owej podstawowej łączności, mogącej zestrzelić w jedno ognisko myśli i poglądy na życie. Wśród potocznej rozmowy sprzeczne prądy krzyżowały się wraz ze spojrzeniami, wywołując naprężenie atmosfery.

Wtem — tętent kłusującego konia zwrócił powszechną uwagę, a przed oknami jadalni przemknęła szybko sylwetka młodej amazonki, trzymającej się wyśmienicie na damskiem siodle.

— Nareszcie Bisia zdecydowała się pożegnać swoje buraki! — padł wesoły okrzyk z ust Alinki.— Proszę mi wierzyć, że gdyby można było zatrzymać słońce w biegu jak to uczyniono przed wiekami, Bisia nie zawahałaby się ani na chwilę przed tak ryzykownym faktem! Sen jest wedle niej niepotrzebnem skracaniem życia ludzkości!

— Czyżbym istotnie tak się wyraziła? — zabrzmiał spokojny głos panny Balbiny, wchodzącej śpiesznie do pokoju. — Przepraszam wszystkich za spóźnienie, ale nie możemy dać sobie rady z tym nawałem wiosennej pracy! Znów nowa szkoda w lesie! — zwróciła się do pana domu, który ogarniał ją wzrokiem pełnym życzliwego uznania. —

Trzy sosny ścięte! Dlaczego Jakób nie nalał mi herbaty?! Wypiłabym duszkiem zimną, bo mam jeszcze moc zajęcia w polu! Za chwilę jadę!

— I my pojedziemy konno do lasu! Dobrze, ojczulku?! — zaproponowała żywo Alinka. — Cóż ty na to, Edmundzie?! — przechyliła w bok główkę, patrząc z uśmiechem na sąsiada.

— Najchętniej! — przystał młody. — Wszakże w tym lesie znalazłem kwiat paproci! — zniżył głos, przeznaczając te poetyczne słowa li tylko dla ślicznego dziewczęcia, ale nielitościwa panna Balbina wyłowiła je bystrym słuchem i rąbnęła chłodno:

— Ośmielam się wątpić! Kwiat paproci zakwita o północy, a o tej porze woli pan znajdować się w wygodnem łóżku, niż w naszej leśnej puszczy, w Podbórzu!

Alinka spłonęła rumieńcem niezadowolenia:

— Naszego lasu niemożna nazywać puszczą, a zresztą Edmund wyszedł chyba z lat kiedy się mali chłopcy boją ciemności?! — z wyzwaniem w oczach patrzyła na starszą od siebie o kilka lat pomocnicę ojca przy gospodarstwie, ale opalona twarz panny Balbiny nie straciła zwykłego spokoju. Znać było po niej, że każde swe zdanie opiera na mocnych przesłankach i nie da się zachwiać w swych ugruntowanych poglądach.

Ciocia Misia wtrąciła się szybko do rozmowy, gdyż wszelkie dysonanse były dla jej słodkiej natury wręcz nie do zniesienia:

— Jeśli i ty, Wojciechu, pojedziesz konno, to my z panem Zygmuntem będziemy wam towarzyszyli wolantem. Czy panu moja propozycja doga-

dza? Dość się pan napracował w zimie nad temi naukowemi rozprawami! Proszę teraz używać wsi w całej pełni!

Uczony pochylił się w uprzejmym ukłonie:

— Taka wycieczka to rozkosz istotna dla mieszczucha, łaskawa Pani! Wogóle, czaruje mię wszystko w tych cudnych Malinkach. Wszystko!... — powtórzył ciszej, wpatrując się w Alinkę z taką mocą uczucia, jakgdyby pragnął wziąć ją na ręce, przytulić do piersi i nieść przez całe życie ponad cierniami losu, nie troszcząc się zgoła o własne, udręczone stopy.

Błysk ironji strzelił z pięknych oczu Edmunda na widok tego cichego entuzjazmu rywala. Mierzył go niechętnym wzrokiem w milczeniu. Złotowłosa Alinka sponsowiała jak róża, którą w milem zakłopotaniu dziewczęcem wyjęła z żardinierki stojącej na stole, zatapiając w jej wonnych płatkach delikatny, zgrabny nosek. Panna Balbina stłumiła westchnienie, podnoszące mimowiednie jej szczupłą pierś. Czatujące spojrzenie cioci Misi biegło po wszystkich nieco lękliwie, tylko pan domu rozparł się wygodnie na krześle i z serdeczną przyjaźnią patrzył na uczonego.

Za oknami, w parku, gwizdały, ćwierkały i nawoływały się ptaki.

Chwilowe milczenie zebranych oprzytomniło pana Zygmunta. Wstrząsnął się nieznacznie i powiedział żywo:

— Powinienem właściwie mieć wyrzuty sumienia, że swoją bytnością w Malinkach odrywam naszego szanownego gospodarza od zajęć rolnych. Znamy się od tak dawna, że różne światowe prze-

sądy nie mogą dla nas istnieć! Jeśli to się nie zmieni od jutra — mówił jasnym, żartobliwym głosem — to chyba będę zmuszony...

— Nie kończ, mój drogi! — przerwał mu pan Wojciech. — Poświęciłem ci dzień twego przyjazdu, aby okazać jak miłym jesteś dla mnie gościem. Jutro — nie będziesz mię prawie widział. — Zastąpią mnie — moje panie. A teraz, jedźmy! Jakóbie! Każ Antoniemu osiodłać konie i wolantem zajechać przed ganek.

— Słucham pana dziedzica! — wyprostował się Jakób służbiście jakgdyby stawał na baczność i, uczyniwszy zwrot w prawo wyszedł z jadalni.

Ruszyli się wszyscy od stołu.

— Idę zmienić strój do konnej jazdy! — oznajmiła Alinka i w nagłym porywie zalotności cisnęła zgrabnie trzymaną w ręce różę w twarz Edmundowi.

— *Bataille des fleurs!* — plasnęła w dłonie z uciechą. — A ty jak mi odpowiesz?!

Przepaściste oczy Edmunda sypnęły pękiem iskier w stronę złotowłosej kuzynki. Wpili się w siebie wzrokiem, on — kusząco, ona — z wdziękiem podbitej władczyni.

Brązowe źrenice panny Balbiny, obserwującej tę niemą scenę, zamigotały gniewnie pod wyrazistemi łukami ciemnych brwi:

— Widzę, że nie doczekam się państwa tak prędko, więc jadę sama! — odezwała się nieco szorstko i jak błyskawica przesunąwszy się przez jadalnię, zniknęła za drzwiami.

— Zatrzymujesz wszystkich, Alinko! — zawołał tnącym głosem pan Wojciech. Konie będą za

chwilę, bo rozporządzenie wydałem jeszcze z rana. Przebierz się i nie marudź, jeśli łaska.

Dziewczyna skoczyła ku ojcu z lekkością sarenki i położyła mu na ramionach białe maleńkie ręce o różowych paznokietkach:

— Takim tonem mówisz do mnie, ojczulku, jakgdybyś miał ochotę dać mi klapsa! A ja przecież w tym roku skończyłam *Sacre-Coeur* i tak ci wyrosłam na schwał, że wyglądam przynajmniej na lat dwadzieścia! Prawda, ojczusiu! — wtuliła świeże usta w policzek pana Wojciecha i sączyła niemi delikatne pocałunki.

— Któż ci się oprze, ty mała czarodziejko! — wyrwały się cioci Misi słowa zachwytu.

Edmund uczynił gest ręką jakgdyby zmiatał pióropuszem pył dookoła stóp dziewczęcia:

— Nie mogę się dość nadziwić, jak taka cudna orchidea przyszła na świat w tej zimnej, mglistej Polsce?! — wyraził pełne pochlebstwa zdumienie.

— Zamiast zastanawiania się nad tym faktem, idź mój kochany i przebierz się również! — wpadł mu w słowa oschle pan Wojciech. — Wróciłeś z Antwerpji i Paryża, więc zapewne olśnisz nas modnym strojem! — Zdjął ze swych ramion dłonie córki.

— Nietylko strojem, ojczulku — ujęła się gorąco za kuzynem Alinka — ale i dyplomem z ukończonej akademji handlowej!

— Drogo to kosztowało! — zakonkludował chłodno wielbiciel bezwzględnej prawdy. — Jego matka wie coś o tem! — Spojrzał z ukosa na niestropionego bynajmniej krewnego, który wygłosiwszy swobodnie:

— Wuj ma do mnie jakieś uprzedzenie. Proszę wierzyć, że jestem dla siebie jeszcze surowszym sędzią! — skłonił się uprzejmie i opuścił jadalnię.

Wkrótce jechali wszyscy podług ułożonego programu. Alinka w czarnej sukiennej amazonce, której wykwintny krój uwydatniał jej smukłe kształty, w dżokiejce na jasnych włosach, dosiadła wprawnie białą jak śnieg arabkę, która jęła przebierać pod nią rasowemi, nerwowemi nóżkami, poczem wyciągniętym kłusem ruszyła przez park i bramę wjazdową na szeroką drogę do lasu.

— Noc i jutrzenka! — wyrzucał z siebie gorączkowe słowa Edmund, jadąc obok kuzynki i śpiesząc się z rozżarzaniem tlejącego w jej sercu ognika zanim ten „nieznośny wuj weredyk" nie dopędzi ich na swym skarogniadym Piorunie. — *Noir et blanc!* Przecudne masz pomysły i wyglądasz jak boginka, moja urocza rusałko, mój kwiecie jabłoni!

— Nie śpieszcie się tak! — wołał za nimi pan Wojciech. — Nie jesteśmy na polowaniu par force! Czy słyszysz, Alinko?!

— Słyszę ojczusiu! — odkrzyknęła dziewczyna — ale to mię Leda tak unosi!

— Widzę, że ojciec chce ciebie wydać za tego starego mantykę — szeptał dalej Edmund, przechylając się z konia w stronę chyżej amazonki. — Przecież to niemożliwe, śmieszne, wprost nie do pomyślenia! Ty — cud wiośniany i taki nudny, cnotliwy profesor! Alinko! Ty nie zgodzisz się na takie...

— Nareszcie was dogoniłem! — zabrzmiał tuż przy nich niezadowolony głos. Ciemna głowa Pioruna z rozdętemi chrapami zrównała się z Ledą

i pan Wojciech pochwyciwszy mocno uzdę kłusującej arabki, jął hamować bystrość jej biegu.

— Nie wyrywajcie się naprzód! Leda jest bardzo nerwowa. Może ponieść, a wówczas nie wiem, czy Alinka da sobie z nią radę. Jedźmy wolno. Chcę się przyjrzeć naszym zasiewom.

Małe czerwone usta Edmunda zacisnęły się gniewnie. Czarne oczy, ślące przed chwilą fale uwielbienia — stały się nagle złe, fosforyzujące. Wuj przeszkadzał mu w napawaniu się rozkwitem pąka dziewczęcej miłości, który pod jego umiejętnem tchnieniem miał się zmienić w kwiat o płomiennej barwie. Ściągnął cugle karemu hunterowi tak ostro, iż ów stanął dęba.

— Czy on się już oświadczył?! — pytał z niepokojem ciocię Misię uczony. Śledził on z wolantu całą tę scenę i w jasnowidzeniu uczucia pojmował jej motywy.

— Nie! — odparła szybko.

Serce niemłodej panny dziwnie było rozdwojone. Widziała rosnącą miłość siostrzenicy dla przystojnego i wykwintnego kuzyna, a gorąca chęć, aby fijołkowe źrenice Alinki nie skąpały się w rosie cierpienia i zawodu, nakazywała jej sprzyjanie Edmundowi. Coś jej wszakże mówiło, że głęboka toń uczucia tego poważnego szlachetnego człowieka, który obok niej jadąc, słał wszystkie swe myśli do stóp złotowłosej amazonki — stokroć jest piękniejsza, niż wszystkie skry brylantowe zalotów tamtego. Spojrzała na swego towarzysza przyjaźnie. Jego regularne rysy tchnęły prawością. Podbródek znamionował spokojną wolę. Matowa biel czoła uwypuklała dostojne kształty, po za któremi taiły się skarby wie-

dzy. Ciocia Misia westchnęła. Szkoda, że Alinka temu właśnie nie oddała serca! Szczególniej wobec jawnej niechęci szwagra względem Edmunda sprawa komplikuje się wręcz niesłychanie. Niezmierna wiara w rozum i prawość towarzysza skłoniły ją do odkrycia mu istotnego stanu rzeczy.

— Nie oświadczył się! — powtórzyła. — Widzi pan przecież dysonans pomiędzy nim, a Wojciechem. Zaczęło się to niemal od pierwszej chwili przyjazdu chłopca do Malinek i rośnie aż do jakiegoś zobopólnego wybuchu. Najprzód poszło im o powstanie! Pan sam jest synem powstańca, stąd ta dawna nasza zażyłość i wie pan jaką aureolą otacza mój szwagier wspomnienie bohaterów narodowych z 31 i 63 roku! A tu, proszę sobie wyobrazić, Edmund kiedyś przy obiedzie rozpoczął biegłe wywody o „szkodliwym romantyzmie“ tych ludzi. Najnowsze badania historyczne — mówił przekonywającym tonem — dowodzą, iż powstania w Polsce stworzyli i podżegali masoni, którym chodziło o to, abyśmy nie zjednoczyli się z Rosją, bo wówczas wyższość kultury polskiej w połączeniu z bogactwem i obszarem tej Eur-Azji — dałaby niesłychane wyniki, uniemożliwiające cele masonerji. Powstańcy byli zatem właściwie szkodnikami, ślepcami zezwalającemi na użycie ich jako narzędzi rozstroju wobec własnego narodu!“ Co się ze mną działo, gdym tego słuchała, może sobie pan wyobrazić! Ukradkiem, z lękiem, spojrzałam na Wojciecha. Krwawe plamy wykwitły mu na policzkach, oczy rzucały błyskawice, żyły na czole wystąpiły jak nabrzmiałe pręgi. Wrzał cały od skłębionych myśli. Tonem nie znoszącym oporu przemówił: — Boleś-

nie mi nad wyraz, że ty, wnuk powstańca, wyrażasz się tak lekceważąco o tych, którzy nie zawahali się przed złożeniem daniny z krwi i życia dla wykazania żywotności Ducha polskiego. Nie byłbyś z pewnością zdolny do takiego bohaterstwa! Proszę cię abyś przy mnie tej sprawy już więcej nie poruszał!"

— Ostro, ale sprawiedliwie! — zawyrokował uczony, śledząc wciąż wzrokiem posuwających się umiarkowanym kłusem jeźdźców. — Cóż na to Edmund?

— Najuprzejmiejszym głosem odpowiedział:— Zastosuję się do życzenia wuja! — i zaczął opowiadać Alince o najnowszych kreacjach mody w Paryżu.

— Zadziwiająca giętkość! — mruknął pan Zygmunt z lekką ironją.

Jakiś czas milczeli oboje. Koła wolantu turkotały głośno, tocząc się po dobrze utrzymanej szosie. Wzorowo dokonane posiewy roztaczały się po dwuch stronach niby zielone aksamitne dywany, na których wiatr rysował lśniące jak srebro szlaki. Las był już niedaleko.

— Byłyśmy z Alinką świadkami jeszcze jednego starcia! — podjęła swe opowiadanie ciocia Misia. — Zgadało się coś o najnowszych kierunkach w literaturze i sztuce. Edmund zabrał głos i w niezmiernie ciekawy sposób przedstawił nam obraz twórczości artystów francuskich. Że obdarzony jest wybitną inteligencją, to każdy mu przyzna, ma przytem dar wymowy, więc porwał nas swemi słowami. Nawet Wojciech był pod jego urokiem, gdy nagle chłopak wygłosił takie zdanie: — To jest

istotny Duch Świata! — Mój szwagier poruszył się żywo i spytał: — Co masz na myśli? Bo wedle mnie istotnym Duchem Świata — jest Bóg! — Pobłażliwy uśmiech wygiął małe usta Edmunda: — Tak! To jest przekonanie ludzi starego autoramentu, ale tęgie umysły naszej epoki nazywają Duchem Świata wszystkie dzieła genjusza ludzkiego, wszystkie rzeźby, wynalazki, poematy, obrazy, architekturę, prace inżynieryjne, słowem to wszystko, co dźwiga ludzkość w wiecznym postępie, co przyczynia się do jej rozkwitu, stając się jednocześnie nieśmiertelnem Pięknem i Wiedzą!

— Ten młodzik odrzuca wszelkie boskie pierwiastki! — podkreślił mocno uczony, który przez cały czas łowił uważnie każde słowo swej towarzyszki.

— Coś podobnego oświadczył mu Wojciech. A wie pan jak na to zareagował ten mój siostrzeniec, który budzi we mnie chwilami jakąś głuchą obawę, chociaż znam go od dziecka i kocham?!... Oto — delikatnym ruchem przyłożył rękę do piersi, a po tem do czoła i powiedział dobitnie: — Wuju kochany! Wierzę w to wszystko, co promieniuje z wzniosłego serca i umysłu! Anglicy dawno już osądzili, że najwartościowszym tworem na świecie — jest uczciwy człowiek! — Czy ten uczciwy człowiek ma być koniecznie ateuszem?! — sarknął niechętnie mój szwagier i byłby dalej zapewne nacierał na Edmunda, ale ktoś z sąsiedztwa zajechał w tej chwili przed nasz dwór, obezwładniając tem samem impet Wojciecha. Pan wie jaki zeń raptus?! Ale oto już wjeżdżamy do lasu.

Młody uczony napawał się w milczeniu ciszą

leśną, wolną od ludzkich głosów, rozbrzmiewającą jedynie szumem ptasiego życia. Rudopienne sosny zieleniały górą niby olbrzymie, spadające parasole. Plamy słońca, przedzierającego się przez drobne listowie sędziwych brzóz, drgały na białej korze i błądziły u ich stóp, na mchu. Bronzowe kolumny dębów unosiły wzwyż ku niebu dostojne swe korony. Jechali szlakiem zielonej darni, gdyż las podzielony był na rewiry i utrzymany starannie. Pan Wojciech zbliżył się ku nim na swym lśniącym Piorunie:

— Stań, Antoni! Tu jest opodal wzgórek z rosnącemi na nim trzema dębami. Może się tam rozłożycie, kochani państwo, a ja tymczasem skoczę wgłąb przyjrzeć się ściętym sosnom i ocenić stratę! — zawrócił konia i zniknął wkrótce na zakręcie.

Uczony pomógł cioci Misi wysiąść z wolantu i podbiegł żywo do zaróżowionej amazonki, chcąc potrzymać jej Ledę, ale Edmund wyprzedził go i, uwiązawszy wierzchówkę do drzewa, odwrócił się twarzą do Zygmunta. Patrzyli na siebie przez chwilę z niemą, groźną wrogością.

— Proszę mi podać koszyk z wolantu, panie Zygmuncie! — zawołała dziewczyna śpiesznie.

— Patrz, Alinko, jakie śliczne kwiaty! Widzisz?! — wskazywał Edmund szpicrutą — Różowieją zdala! Chodź! Narwiemy cały pęk i udekorujemy improwizowany salon pod dębami! — magnetyzował ją czarnemi oczyma, w których lśniły błyski nakazu.

Dziecięca wesołość przemknęła po twarzy Alinki. Nagłym ruchem zerwała z głowy małą cza-

peczkę i cisnęła ją w bok, na murawę. Ukośny snop promieni słonecznych padł na jej włosy, rozpalając ukryte w nich złote połyski. Zęby błysnęły najczystszą bielą w ślicznem rozchyleniu ust:

— Dobrze! — zgodziła się. — Goń mnie! — i pomknęła rączo naprzód, ująwszy z obu stron dłońmi przydługą nieco czarną amazonkę.

Chłopak rzucił się za biegnącą kuzynką, a młody uczony stał na miejscu jak wryty i patrzył wślad za nimi. Już przyklękli na ziemi, zrywają kwiaty leśne... mówią, szeptem zapewne, bo żaden dźwięk nie dolatuje słuchu pokonanego rywala... wpatrują się w siebie... Usta Zygmunta wygięły się w bolesnem skrzywieniu, tak jakgdyby uczuł gryzący smak zazdrości. Opanował się jednak. Szybkim, zdecydowanym krokiem powrócił do cioci Misi, śledzącej również niespokojnym wzrokiem ten postęp w zalotach młodych. Rozłożył się obok niej, podpierając głowę jedną ręką. Milczeli czas jakiś, zatopieni w myślach.

— Jak się to wszystko skończy? — westchnęła niemłoda panna, zapominając iż porusza sprawę tak drażliwą dla rozkochanego beznadziejnie człowieka.

— Bardzo prosto! — odpowiedział Zygmunt nerwowo. — Rozpieszczona jedynaczka pokona opór ojca. Zaśpiewają im wkrótce „Veni Creator“ i dopiero późniejsze życie wykaże ile będzie trwałego szczęścia w skojarzeniu natur tak różnych?! Oby się nie zawiodła! — zwiesił głowę w zadumie.

Zdala — mroczna świątynia lasu ziała ciszą. Dolatywało uparte i nieustające pukanie dzięcioła.

— Alinko! — krzyknęła ciocia Misia, przykładając rękę do ust. — Gdzie jesteś?! Wracajcie! — nie śmiała narzucać się siostrzenicy zbyt natrętną opieką, albowiem dziewczyna wnet po przyjeździe do domu, oznajmiła jej z przymilnym uśmieszkiem że jest już „dorosła i samodzielna!“ Dziecinne to było zdanie, ale wchodziła tu jeszcze w grę bezkrytyczna wprost miłość ciotki.

— Hop! Hop! Zaraz, zaraz ciotuchno! — dobiegła przytłumiona odpowiedź.

Milczący towarzysz uniósł się na łokciu i otrząsnął z zamyślenia:

— Pani widzi jak gorąco kocham tę przecudną dziewczynę, która w moich oczach wyrosła i rozwinęła się w kwiat, budzący tęskne pożądania! Zgniótłbym swój zawód i ból, gdyby ją wziął ktoś godniejszy odemmie, ale jeśli zwycięzcą ma być ten pyszałek, ten egoista, to oschłe serce?!... porwał się na równe nogi i mówił dalej namiętnie i gorzko:

— Ona się chlubi jego dyplomem, ale zapomina jednocześnie, że ten najdroższy kuzynek siedział pięć lat w akademji handlowej zamiast dwuch tylko! Panicz hulał, a matka zapracowywała się na śmierć, dając lekcje, bo nie starczyło na wszystkie zachcianki gagatka! Dopiero gdy pan Wojciech napisał mu wręcz, że jako bliski krewny tej opuszczonej matki, czuje się w obowiązku zaopiekować się mą wobec grożącej z wyczerpania choroby sercowej — dopiero wówczas ten wykwintny Petronjusz przysiadł, jak to mówią, fałdów, złożył egzamina i z dyplomem w kieszeni powrócił z Antwerpji do Warszawy.

— Nie wiedział, że matka zamęcza się lekcja-

mi, gdyż nie pisała mu o tem — sprostowała ostry sąd ciocia Misia.

— Tak?! Więc skądże się brało tyle pieniędzy?! Z tego malutkiego kapitaliku?! I pani go broni?! — wyrzucał jej żywo.

— Chciałabym, aby nie potrzebował wcale mojej obrony! — wykrzyknęła załamującym się głosem. — Wojciech wraca! — zauważyła nagle, przysłuchując się bliskiemu już tętentowi kopyt końskich. Znów będzie nowa przykrość, gdy zobaczy, że Alinki niema tu z nami! Doprawdy, niech się to już raz skończy tak, albo inaczej, bo serce mi pęknie z tych wszystkich wzruszeń i niepokojów!

Zygmunt wyszedł śpiesznie na zieloną taśmę murawy i jął iść w stronę, gdzie zniknęli młodzi, ale dojrzał wnet na końcu przeciętej w lesie alei, kroczącego luzem Pioruna i trzy zbliżające się postacie. Ruszył na ich spotkanie.

— Przepraszam cię, kochany Zygmuncie, za nietakt mojej córki! — mówił doń za chwilę pan Wojciech, głosem mieniącym się akcentami niezadowolenia. — Młode to jeszcze, niewyrobione i wyszło jej z głowy, że nie jednego ma gościa, ale dwuch! Daruj jej tę płochość dziecięcą, gdyż to się więcej nie powtórzy.

Zanim młody uczony zdążył wymówić jakieś słowo protestu, dziewczyna podała mu obie swe delikatne, białe jak lilje ręce:

— Ojczulek skarcił mię najsłuszniej! Przepraszam pana! — wpatrzony w nią Zygmunt otrzymał uśmiech w darze. Pochylił się i ucałował kolejno ciepłe, maleńkie dłonie.

— Już zgoda między nami! Widzisz, ojczusiu?!

Pan Zygmunt lepszy od ciebie! A teraz chodźmy do cioci Misi, która tam napewno snuje, biedactwo kochane, jakąś scenę z dramatu: Ojciec i córka! — swawolny śmiech obił się o chropawe pni drzew, rozjaśniając twarze trzech mężczyzn.

Słońce kłoniło się już ku ciemnej linji horyzontu gdy wolant zajechał zpowrotem przed dwór w Malinkach. Pan Wojciech wysforował się naprzód i zsiadłszy z konia, podszedł do stojącej opodal panny Balbiny. Alinka z kuzynem przelecieli kolo nich pędem, krzyknąwszy wyjaśniająco:

— Odprowadzimy tylko wierzchowce do stajni i natychmiast wracamy!

— Czas z tem skończyć! — powiedział zniżonym głosem pan domu do swej zaufanej pomocnicy.

— Ładna para! Szkoda! — westchnęła z żalem. — Ale wobec takiego charakteru, im prędzej — tem lepiej! Będzie ciężka przeprawa z Alinką! — dodała.

— Cóż robić?! Przecina się wrzód, aby nie zatruł organizmu! — zakonkludował pan Wojciech stanowczo.

Na drugi dzień po rannej kawie, gdy młodzi układali plan przejażdżki łódką po stawie, wuj zbliżył się do siostrzeńca:

— Proszę cię, Edmundzie na parę słów do mego gabinetu.

— Służę wujowi — odparł uprzejmie. — Idź tymczasem, Alinko, nad staw i poczekaj tam na mnie. Pan również zechce nam towarzyszyć?! — zwrócił się z wyszukaną grzecznością do Zygmunta.

Tamten skłonił się chłodno:

— Dziękuję za propozycję. Niestety, mam jeszcze na parę dni pilne zajęcie. Muszę dokończyć moją rozprawę i wysłać ją do Warszawy. — Pomimo tych słów, został w jadalni, przerzucając ostatnie dzienniki.

— Czekam na ciebie! — przypomniał pan Wojciech tonem, nie zwiastującym pogodnej rozmowy.

Wyszli obaj, zostawiając w sercu dziewczyny nagły wstrząs niepokoju. Czego ojczulek może chcieć od Edmunda?! I ten jego chmurny wzrok, ten głos mrożący?!... Nie! Nie pójdzie nad staw! Woli pozostać w domu!

Wybiegła z jadalni i weszła do przechodniego pokoju, gdzie stały szafy z wiktuałami i skrzynie z futrami. Usiadła na jednej z nich i czekała co dalej się stanie, czując, iż myśli jej zmącone są do dna.

Tymczasem za ścianą, w gabinecie, Edmund usiadł swobodnie na staroświeckiej sofie, założył nogę na nogę, oplótł rękami kolana i czekał cierpliwie na przemówienie wuja. Że miał to być jakiś dotkliwy „pater noster" — nie wątpił ani na chwilę. Wierzył jednak w swój takt światowca i w zręczność, z jaką rozpraszał dotychczas nasuwające się chmury.

Pan Wojciech chodził z jednego kąta pokoju w drugi z założonemi w tył rękoma. Brał w cugle swą wolę, aby kierować zbyt impulsywnym temperamentem i nie wyjść ani razu z równowagi w czasie tej przykrej rozprawy. Wreszcie zatrzymał się przed siostrzeńcem i, patrząc mu bystro w oczy, odezwał się:

— Znasz mię od lat twych dziecięcych. Wiesz zatem, że nie obwijam nigdy prawdy w papierki,

tylko wprost przystępuję do celu. Zapytuję cię tedy: Czy chcesz się żenić z Alinką?!

Skurcz zakłopotania przemknął po wyrazistej twarzy młodzieńca. Wahającym się głosem dał niepewną odpowiedź:

— Byłoby to dla mnie wielkiem szczęściem!... Tak, kochany wuju!... Ale — nie posiadam żadnego stanowiska... Proponują mi dopiero posadę w Kijowie.

— Rozumiem — gospodarz domu ściągnął brwi i smagnął zmieszanego chłopca błyskiem pogardy. — Dobrze się składa, bo gdybyś nawet miał takie zamiary — nie dostałbyś mojej córki! Ponieważ jednak nie stać cię na uczciwą miłość, a pragniesz jej zakręcić głowę, co czynisz z istotną maestrją, to najlepiej będzie, jeśli...

— Opuszczę Malinki natychmiast! — dokończył zań Edmund gwałtownie. Porwał się z sofy, wyprostował całą swą szczupłą, niewielką postać i — przeraźliwie blady, wwiercał się pałającemi oburzeniem czarnemi źrenicami w spokojne oblicze wuja. Wymawiano mu dom! „Stary weredyk“ przekroczył wszelkie granice możliwości.

— Skoro ci to dogadza, to nie mogę cię zatrzymywać! — powiedział wuj, nie odwracając jeszcze przez chwilę swych nieugiętych oczu od wzburzonej twarzy chłopca, poczem nacisnął dzwonek.

Cisza zaległa pokój. Słychać było jeno odgłos kroków chodzącego równo pana domu i przyśpieszony oddech gościa, mającego krtań ściśniętą z gniewu i podniecenia.

— Jakóbie — zwrócił się pan Wojciech łagodnie, gdy w otwieranych drzwiach stanął na progu

służący. — Niech Antoni pośpieszy się z założeniem koni do powozu. Panicz otrzymał ważną wiadomość i musi koniecznie zdążyć do południowego pociągu!

— Słucham! — wyraził się lakonicznie wierny przyjaciel. Młodszy o lat parę od właściciela Malinek, chłop z tejże wsi, przekradał się ongi ze swoim paniczem do szeregów powstańczych. Stąd też łączyły ich dalej węzły niezachwianej ufności. Rad był w duszy, że ten modny „laluś" opuszcza Malinki.

Jego zaloty nie zyskały uznania Jakóba, przywiązanego do córki dziedzica więcej może, niż do własnej.

Alinka zeskoczyła ze skrzyni i chwyciła za rękę idącego przez ciemnawy pokój służącego:

— Czy to naprawdę dla panicza mają zaprzęgać do powozu?! — spytała gorączkowym, stłumionym głosem, a usłyszawszy potwierdzenie, oparła się całą postacią o ścianę i przymknęła oczy... Sądziła, iż świat zakołysał się wraz z nią. Kocha go, kocha i nie da sobie odebrać! Zdawało się jej, że jakiś nieugięty upór rośnie w niej wraz z tem uświadomieniem pierwszego wiośnianego uczucia! Z tablicy wiszącej obok zdjęła szybko jeden z licznych kluczy i wymknęła się na palcach, lekko i skrycie, ze dworu do parku. Tu — przebiegła pędem kilka alei, a potem skryła się w gęstwinie owocowego sadu. Dopadła wreszcie małej bramki tkwiącej w murze otaczającym sadybę dworską dookoła i przykucnęła w zaroślach.

— Ojczulek nie pozwoliłby mi się z nim rozmówić ani pożegnać sam na sam, — myślała z go-

ryczą. — Tu — nikt nas nie zobaczy, a poczciwy Antoni będzie milczał jak grób! Skoro tylko posłyszę turkot, otworzę bramkę i wyskoczę na drogę — planowała sobie niby wytrawny spiskowiec.

Tymczasem we dworze sprawy szły swoim torem. Edmund zdołał wkońcu, po długiem, zaciętem milczeniu, opanować zranioną ambicję i wciągnąć na siebie maskę poprawnej uprzejmości.

— Wuj pozwoli mi, oczywiście, złożyć moje uszanowanie i pożegnanie cioci Misi i życzyć szczęścia kuzynce, z którą nieprędko się zobaczymy. Zdecydowany jestem dorobić się miljonów w złotym Kijowie! — wyrzekł ceremonjalnie.

— Ależ i owszem. Proszę cię, mój kochany! — zgodził się pan Wojciech z nikłym uśmiechem na ustach.

Weszli do jadalni, gdzie zastali ciotkę, podlewającą troskliwie doniczki z kwiatami na oknach. Młody uczony siedział przy stole, trzymając w ręku gazetę, i oczyma błądząc po niej z roztargnieniem.

Edmund rzucił okiem na zegarek:

— Jak to czas prędko leci! Nasza pogadanka i moje rozmyślania o przyszłości trwały jednakże całe pół godziny! Wuj zakomunikował mi ważną nowinę (ledwo dostrzegalna ironja zadźwięczała w jego matowym głosie) wobec czego zmuszony jestem pędzić co tchu do Warszawy. Dziękuję drogiej cioci za dobroć dla mnie i za psucie mnie wiejskiemi przysmakami! — ujął delikatnie ręce oszołomionej ciotki i złożył na nich długi, serdeczny pocałunek.— Nie widzę tu Alinki — mówił dalej z zupełną napozór swobodą. — Czeka na mnie przy łódce! Pan będzie tak uprzejmy — (spojrzał na Zygmunta,

a małe, pięknie skrojone usta zacisnęły mu się na chwilę zjadliwym wyrazem) i zechce złożyć jej w mojem imieniu zapewnienie szczerego żalu z powodu naszego tak nieoczekiwanego rozstania. Wujowi również składam — odwrócił się ku spacerującemu w milczeniu panu domu, ale napotkał wzrok tak twardy, że odpadła go nagle cała robiona swada i uczuł się niemal przygwożdżonym do ziemi.

Turkot podjeżdżającego powozu uwolnił wszystkich od sytuacji kłopotliwej nad wyraz.

— Ten poczciwy Antoni! Jak się pośpieszył, aby mi dogodzić! — rzucił Edmund od niechcenia, przybierając znów pozę wyrobionego światowca. Żegnam łaskawych państwa, bo istotnie — zerknął na zegarek na ręku — czas wielki na mnie! Dziękuję Jakóbie za pamięć o mojej walizce! — dodał, widząc przez otwarte okno służącego, wkładającego do powozu eleganckie przybory podróżne.

— Dowidzenia, chłopcze! — powiedziała ciocia Misia lekko drżącym głosem, obejmując Edmunda i całując go w czoło. — Niech cię Bóg prowadzi i pomaga we wszystkich zamiarach!

— Wątpię czy nasz nowomodny siostrzeniec czuje potrzebę takiej opieki — zaznaczył spokojnie pan Wojciech. — Jedź szczęśliwie — dodał. — Życzę ci prędkiego zdobycia świetnego stanowiska ze względu na twoją biedną, spracowaną matkę!

Mężczyźni podali sobie kolejno ręce, ścisnąwszy je z obopólnym chłodem i Edmund ubrawszy się z błyskawicznym pośpiechem, wskoczył lekko do powozu. Zgrzytałby chętnie zębami z tłumionej pasji, gdyby nie wrodzone mu rzeczywiste zamiłowanie do piękna i estetyki. Jechał tedy, nie oglą-

dając się za pozostałymi na ganku, kamienny napozór, przetrawiając w sobie doznane upokorzenie. Zraniona duma cierpiała w nim bezgranicznie, gdyż ambitny był ponad wszelką miarę. Serce brało w tej udręce podrzędny zgoła udział. Alinka podobała mu się bezsprzecznie, tak, może nawet zakochał się trochę w jej fijołkowych oczach i ślicznej, subtelnie rzeźbionej twarzy. Ale nakładać sobie na barki obowiązki rodzinne, żenić się w dwudziestym czwartym roku życia — nie! Nigdy! Nie znęciłyby go do tego szalonego kroku nawet urocze Malinki! Najprzód — są tam długi, potem niewiadomo czy ten nieznośny impetyk oddałby mu je w ręce, a wreszcie — chęć kawalerskiej wolności była w tym młodym „*homme á femmes*" tak wybitnie mocna, że złoto całego świata nie skusiłoby go do takiej tranzakcji. Wyobrażał sobie również, że gdyby kiedyś w przyszłości, zakładał gniazdo rodzinne, to żona ma być jemu za wszystko obowiązana, aby tem łacniej mógł nią dowolnie rządzić.

— Nasza panienka stoi przy murze! — przerwał mu te rozmyślania Antoni, odwracając się twarzą z kozła.

Edmund wychylił się z powozu i spojrzał na drogę. Zgrabna postać dziewczęca w białej powiewnej sukni rysowała się zdala niby krzew białej róży wykwitający na tle czerwonej cegły ogrodzenia. Konie jechały szparko, więc za chwilę ujrzał chłopak dokładnie, zaróżowioną ze wzruszenia twarz kuzynki, pociemniałe fijolety jej źrenic i drobne, wdzięczne usteczka rozchylające się w okrzyku:

— Stój, Antoni! — podbiegła do pojazdu i wskoczyła na stopień:

— Chodźmy do sadu. Bramka otwarta. Prędzej! — objęła smagłą dłoń ukochanego ślicznemi palcami i pociągnęła go za sobą, wołając półgłosem:

— Antoni poczeka chwilkę! Dobrze, mój zloty Antoni?!

— Dlaczego tak nagle wyjeżdżasz?! — spytała gorączkowo, gdy się znaleźli oboje po drugiej stronie muru, w cieniu rozłożystej jabłoni.

— Wuj tego sobie życzy — wyrwała mu się z ust szczera prawda.

Dziewczyna zarzuciła mu obie ręce na szyję:

— Ale przecież ty mnie kochasz i ja ciebie kocham! Nie możemy się rozstać dla czyjejś fantazji! Poczekamy do mojej pełnoletności! Dobrze?! Ja czuję, że nigdy o tobie nie zapomnę! A ty?! — wpatrywała się weń miłośnie i trwożnie zarazem.

— Ja również. Ale widzisz, ojciec nie chce mi ciebie dać! Czyż możemy iść wbrew jego woli?! — usiłował wywikłać się z więzów Amora, nie dając całkowitego obrazu rzeczywistości.

Serdeczny lęk przepłynął przez oczy dziewczyny, tak jakgdyby ostry wiatr zakołysał bratkami:

— Odmówił?! Zupełnie odmówił?! Ja myślałam, że nie chce, abyśmy się wzajemnie bałamucili teraz, gdy nie masz jeszcze dobrej posady i dlatego ciebie wyprawia! Masz obowiązki dla twojej matki! Ale to niemożliwie, żeby odebrał ci wszelką nadzieję?! Co?! Powiedz?! — zazierała mu głęboko w oczy, pragnąc znaleźć na ich dnie skarby niezłomnego uczucia, jakiem pałało jej obudzone serce.

Rozkoszne ciepło biło od wiotkiej, przytulonej do młodzieńca kuzynki. Świeży jej oddech palił mu

policzek. Gotowość oddania się jemu na całe życie — była rozbrajająco dziecięca i namiętna zarazem. Tak blisko miał jej usta, koloru dojrzałej poziomki, z wygiętą wgórę linją kącików! Gdyby nie czujny rozsądek, podszyty sporą dozą egoizmu — pochwyciłby ją w ramiona, przegiął wstecz złotą główkę, spiłby z tych ust nieznających pocałunku nektar pierwszego upojenia, a nawet przysiągł miłość do zgonu!... Ale — wspomnienie twardej ręki wuja i lęk przed kobiercem ślubnym — oblały go zimną wodą.

Z subtelnością estety, unikającego brutalnych posunięć, ujął delikatnie szczupłe w przegubach dłonie Alinki i powoli rozluźnił jej uścisk:

— Znam ciebie lępiej, niż ty siebie samą! — powiedział czule. — Byłabyś nieszczęśliwa, gdybyś musiała zerwać z ojcem! Uprzedził się do mnie, a wiesz dobrze, że nikt go nie przekona!

— Alinko! — zabrzmiał z oddali głos, pełen trwożnej pieczołowitości.

Dziewczyna przyłożyła palec do ust:

— Ciocia Misia mię szuka! Muszę iść! Edmundzie! — skoczyła ku niemu, jakgdyby przyciągnięta magnetyzmem jego pysznych, głębokich oczu i obdarzyła go przeciągłym, ciepłym pocałunkiem — Jedź! — popychała go w stronę bramki, gdyż olśniony doznanem wrażeniem, stał na miejscu, niepewny jak ma teraz postąpić.

— Pamiętaj o mnie i bądź mi wierny! — szepnęła mu jeszcze do ucha, i jak strzała frunęła w stronę, skąd dolatywało nowe, niegłośne wołanie:

— Gdzieżeś ty się schowała, dziewczyno?! Odezwij się! Alinko!

Pan Wojciech spotkał w parku biegnącą jedynaczkę i rzekł łagodnie:

— Szukałem ciebie nad stawem, ale widzę, że wracasz z innej zupełnie drogi. Gdzie byłaś, dziecko kochane?!

— Żegnałam się z Edmundem! — wyznała dziewczyna odważnie.

— Mam nadzieję, że pożegnałaś się z nim nazawsze?! — powiedział krótko. Słyszałem wiele o jego licznych, romantycznych przygodach zagranicą. Dopóki żyję nie zobaczysz już więcej tego rozamorowanego fircyka, tego paniczyka bez Boga i wiary, który zresztą poprzestawał na zawracaniu ci głowy, nie mając najlżejszej ochoty do wzięcia ciebie za żonę!

— To nieprawda! — krzyknęła Alinka z dziecinną porywczością.

— Pierwszy raz w życiu zadano mi kłamstwo — stwierdził pan Wojciech z powagą. — Czy mam ci dać słowo honoru, że mówię istotną prawdę.

— Ojczulku! — załkała dziewczyna. — Przecież nie chcesz sam tego małżeństwa! Edmund mi to przed chwilą oznajmił i twierdził nawet, że nie byłabym szczęśliwa, gdybym poszła wbrew twemu życzeniu! Widzisz, źle go sądzisz! Znamy się od dzieci! Cóż dziwnego, że teraz, gdy dorośliśmy!...

— Ale czy ci powiedział, że pragnie ciebie poślubić?! — natarł pan Wojciech na córkę, a widząc jej twarz, ukrytą w dłoniach i ramiona, wstrząsane gwałtownem łkaniem, objął ją wpół i szepnął przekonywająco:

— On ciebie nie wart, dziecino moja! Wykreśl go ze swej pamięci!

Alinka wyrwała się ojcu z uścisku:

— Nigdy, nigdy o nim nie zapomnę! Ojczulek łamie moje serce, zabiera szczęście! Niech i tak będzie! Pójdę do klasztoru! Tak, tak! — powtarzała z zaciętością. — Dziś jeszcze napiszę do Matek! Chętnie mnie wezmą do swego grona! Albo nie! Dokuczyło mi życie! Utopię się w stawie! Utopię się, utopię się!... i szlochając na cały głos, odbiegła od ojca, znikając kędyś w gąszczu krzewów parkowych.

— Co ty mówisz?! Bój się Boga, Alinko! Grzeszysz takiemi słowami, a mnie rozdzierasz serce! — wołała ciężkim, jakby martwym głosem ciocia Misia, która posłyszawszy te rozpaczliwe wykrzykniki, dążyła spiesznym krokiem do odnalezionej wreszcie siostrzenicy.

— To twoja wina, Wojciechu! — łamała ręce, patrząc na szwagra bez lęku. — Trzeba się było wpierw dobrze nad wszystkiem zastanowić! — i, przyłożywszy obie dłonie do ust, aby ustokrotnić błagalny okrzyk: Alinko! rzuciła się w pogoń za „nieszczęśliwą dziewczyną"!

Pan Wojciech stał na miejscu, oparty rękami o laskę, z głową ku ziemi nieco pochyloną i — milczał.

. . . .
. . . .

Przeszło lat kilkanaście.

W RODZINNEM GNIEŹDZIE.

— Ślicznie pani wygląda w tej sukni! Prześlicznie! Doprawdy przypominają mi się dziecięce bajki o ondynach, mieszkających na dnie wód! — epuściła wodze swemu zachwytowi właścicielka eleganckiej pracowni strojów kobiecych „*Madame Cornélie*“, ogarniając wprawnem spojrzeniem stojącą przed lustrem klijentkę. Panno Felciu! — zwróciła się do swej pomocnicy, klęczącej na posadzce i upinającej bok seledynowej, połyskliwej wieczorowej sukni. — Trochę wyżej. Ot tak, doskonale! Pani figura nadaje się do wszelkich fantazyj! Istny skarb dla mistrzyni mody, umiejącej z tego korzystać!

— Cała tedy zasługa po stronie pani! — uśmiechnęła się młoda i dziwnie urocza kobieta, przechylając nieco w bok głowę, aby jednym rzutem oczu ocenić trafność wypowiadanego przed chwilą sądu. Lustro odbiło jej postać z cichem, acz wymownem pochlebstwem, gdyż uśmiech tający się dotąd w kącikach ust, rozsłoneczmił nagle jej twarz do kamei podobną i zamigotał tysiącem skierek w dużych, fijołkowych źrenicach.

— Już można zdejmować, panno Felciu! Ostrożnie! komenderowała właścicielka firmy tonem dowódcy, gotującego się do wygrania bitwy. —

Na ramieniu przypięłam szpilką! Pomału. Ten rękaw z gazy — marzenie! Śliczna tualeta wyjdzie z naszej pracowni! Coprawda — nie każda kobieta umie tak nosić wykwintne stroje jak pani. I ta opalona cera niby brzoskwinia na słońcu! Nie byłam nigdy w Malinkach, ale sądząc z opowiadania pani — niema chyba bardziej czarującego miejsca na świecie! Szkoda, że już państwo musieli wrócić do miasta. Warszawa duszna i pełna kurzu o tej porze!

— Trudna rada! — wyjaśniała urocza klijentka, zdejmując ostrożnie przy pomocy uprzejmej panny Felci szklące się połyskami jedwabie mierzonej sukni i wkładając natomiast angielski, spacerowy kostjum i jasną bluzkę. — Wszakże to początek września i starsze dzieci nie mogą opuszczać lekcyj w szkołach. Mój ojciec przyjechał z nami tak mu żal było rozstać się z Anią. Leciutko podsuwa nam myśl, że dla zdrowia maleńkiej lepszym byłby ten wrzesień spędzony w Malinkach, niż w zakurzonem mieście, ale mąż dyplomatycznie udaje, iż nie rozumie tych aluzyj. Przytem na Brzozowej, gdzie mieszkamy, warunki zdrowotne są naprawdę świetne. Powietrza od Wisły i słońca — mamy w bród!

Właścicielka pracowni zwróciła się z serdecznym wyrazem twarzy do małej dziewczynki, siedzącej w tymże pokoju na kanapie z lalką w ręku i zapatrzonej przez cały czas w stojącą przed lustrem młodą kobietę z uwielbieniem, dochodzącem do niemej, palącej się w ciemno-niebieskich oczach dziecięcej egzaltacji.

— Czy ta śliczna laleczka także była zadowolona z pobytu w Malinkach? — spytała żartobli-

wie. — Jaki ma na sobie piękny i modny płaszcz! A te sznurowane, czerwone buciki?! Cacko, doprawdy! I kapelusik ze strusiem piórkiem! — Czy wolno wiedzieć, gdzie się twoja córka tak wykwintnie ubiera, Aniu?!

— W „*Maison Annette*“*!* — zaśmiała się wesoło matka dziewczynki, nakładając na jasne włosy zgrabny, niewielki kapelusz i poprawiając nad czołem złocisty loczek. — Wszystko to, co pani widzi, jest dziełem Ani! Te malutkie paluszki umieją śmiało prowadzić ostrza nożyczek i nadawać kształty bluzek, spódniczek, koszulek dla lalek różnym cennym „gałgankom“! Wyrasta to z pod tych drobnych rączek całemi stosami!

„*Madame Cornélie*“ polska patrjotka, urągająca swym francuskim szyldem nakazom caratu, pragnącym zrusyfikować przynajmniej pozornie Warszawę, plasnęła w dłonie z zapałem:

— To nadzwyczajne! Ależ to genjusz igły z tego małego pisklątka! Nigdy mi pani o tem nie wspominała! Może zasłynie kiedyś w całym świecie i prześcignie samego Wortha?! To nie do wiary! Co za dokładność w robocie! Czekajże, dziecinko kochana! Brak ci pewno materjałów do roboty? Zaraz przyniosę mnóstwo prześlicznych kawałków! Musisz mi tylko pokazać, co z tego wszystkiego uszyjesz! — i miła pani Kornelja, wyszła do pracowni, skąd wróciła za chwilę, niosąc w ręku pęk kolorowych skrawków i powiewając niemi wesoło w powietrzu.

Mamusia przypatrywała się Ani z uśmiechem, podszytym tkliwością. Kochała ją daleko goręcej, niż resztę swych dzieci i nic w tem nie było dziw-

nego. Ta sześcioletnia, wątła i poważna dziewczynka, na której bladej twarzyczce różowiła się jedynie jasno koralowa plama usteczek, zdawała się ukrywać w sobie duszyczkę, mogącą się zerwać lada chwila do odlotu tam, skąd niedawno spłynęła do tej kruchej, choć wdzięcznej powłoki cielesnej. *Madame Cornélie* patrzyła również na Anię, dziwiąc się jej milczeniu.

— Powiedz szczerze, maleńka! Jeśli te skrawki ci się nie podobają, przyniosę inne! — przynaglała dziewczynkę do odpowiedzi.

— Zachwycona jest niemi! Niech mi pani wierzy! — tłumaczyła mamusia z tym słonecznym uśmiechem, jakim podbijała serca wszystkich, na których padł jego odblask. — Milczenie Ani pełne jest niedopowiedzianych słów. To już taka dziwnie poważna natura tego dziecka! — wciągała na ręce jasne rękawiczki, a każdy jej ruch kojarzył się harmonijnie z wytwornością całej smukłej postaci.

— Dziękuję pani — wymówiły zwięźle koralowe usteczka Ani, choć serduszko dziewczynki skakało poprostu z radości na widok „tak cudnych, przecudnych gałganków". Już teraz wszystkie lalki będą mogły pójść na „Bal wróżek", urządzany przez jedną z młodocianych rówieśniczek. Dotychczas wszakże ogromne były troski i wątpliwości, czy jedna przynajmniej Aldona weźmie udział w tym wielkim wyścigu lalek o najpiękniejszą, uszytą własnoręcznie przez każdą z dziewczynek tualetę.

— Idziemy już, Aniuś! — przerwała mamusia te pełne triumfu rozmyślania swej córeczki. Znała jej skupioną i zamkniętą w sobie duszyczkę, nie

dziwiła się przeto wcale obojętnej napozór postawie dziewczynki.

— Dziękujmy raz jeszcze — spojrzała na nią wesoło — i żegnajmy się z panią Kornelją. Tatuś i dziadzio nie lubią spóźniania się na obiad! — wyszły obie z salonu mód, kierując się z Senatorskiej w stronę Starego Miasta.

Przedziwna polska jesień malowała czuby drzew po ogrodach i lasach purpurą i złotem, ale tu, na ulicach Warszawy przeciągała tylko niedbale promiennym wiechciem po dachach i murach obojętnych na to dotknięcie kamienic, wśród których snuli się liczni przechodnie, spragnieni ostatnich ciepłych pozdrowień słońca. Ania szła obok matki z całą szybkością na jaką pozwalały jej drobne nóżki, gdyż zegar na ratuszu wskazywał tak nieoczekiwanie późną godzinę, iż pani Alina przyśpieszyła kroku, pragnąc zjawić się w porę na obiad. Świegotliwy głosik dziewczynki podawał chwilami do wiadomości matki jakiś ułamek przepełniającego ją zachwytu nad pięknemi istotnie skrawkami drogich i gustownych materyj, a jej widok wywoływał w oczach wielu mijanych przechodniów powtarzające się stale wrażenie: — Jakież to miłe dziecko!

Największym urokiem Ani były jej włosy — złociste, miękkie i jedwabiste jak pela. Zwijały się one w naturalne loki, opadające w połyskliwych skrętach na szczupłe ramionka dziewczynki i czyniące jej głowę w granatowym berecie niezmiernie podobną do jakiegoś portretu idealnego pazia.

— Już jesteśmy blisko domu! — powiedziała z westchnieniem ulgi mamusia. — Dziadzio nie uznaje niepunktualności, więc trzeba mu dogadzać,

jest naszym gościem i takim kochanym gościem! Ale — spojrzała żywo na dziewczynkę — może zmęczyłaś się, córuchno?! Przecież można było wziąć dorożkę! Że też nie pomyślałam o tem! — i nagle roześmiały się obie tak srebrzyście, jakgdyby swawolny potok przetoczył się przez wał usypanych, drobnych kamieni.

— Nie zmęczyłam się, mamusiu, tylko czuję, że mam nóżki! Ale Bisia mówi, że to znaczy, że rosnę! To dobrze — zapewniała matkę dziewczynka. — Może chłopcy przestaną mnie nazywać królową elfów! Co, mamusiu?! Chciałabym być wysoką, wysoką, bo na dole czasem okropnie duszno i ciasno. Pamięta mamusia wtedy w teatrze na Kopciuszku? Taki tłum! Starszym lepiej było u góry, więcej mieli powietrza, a ja myślałam, że się zaduszę!

Pani Alina zaśmiała się szczerze, tak ją zabawiło określenie dziewczynki. Wchodziły już obie na schody dużej kamienicy i za chwilę dzwoniły do drzwi wejściowych na drugiem piętrze. Szybkie kroki dały się słyszeć poza szklanną i okratowaną taflą, drzwi się roztworzyły, a na progu stanął niemłody, szczupły mężczyzna o srebrnej czuprynie na jeża i takimże niewielkim zaroście.

— Nareszcie jesteście, zbiegi! — zawołał głosem, w którym energja łączyła się przedziwnie z dobrocią. — Czekamy na was! Przewiozłem już Zygmunta do jadalnego pokoju!

— Ależ niema jeszcze trzeciej, ojczulku kochany! — zapewniała pośpiesznie pani domu, zdejmując z siebie żakiet i kapelusz. Potrząsnęła leciutko głową, przyczem jej jasne włosy nabrały odrazu pu-

szystej falistości. — Idę do jadalni. Brygidko! — zwróciła się do tęgiej, wiejskiej służącej, rozbierającej Anię z płaszczyka. — Dawajcie zaraz obiad!

W jadalni już było gwarno jakgdyby w rojącym się ulu. Trójka starszych dzieci — czternastoletni Michaś, młodszy od niego o rok Pawełek i jedenastoletnia Hala, rozhukane, roześmiane, zdrowe urwisy wpadli właśnie przed chwilą po lekcjach w szkole z hałasem do domu. Stojąc przy stole i pożerając w oczekiwaniu na obiad okazałe „pajdy" świeżego chleba, przeplatali energiczne poruszania szczękami niemniej energicznem i głośnem komunikowaniem ojcu ostatnich nowin szkolnych. W fotelu na kółkach siedział pan domu, niepospolity uczony, i przysłuchiwał się z zajęciem każdemu słowu rozprawiającej młodzieży. Zajmowało go wszystko, co się tyczyło rozwoju dzieci, ich charakterów, zabaw, sportów, szkolnych ambicyj. Korzystał z każdej chwili wspólnych posiłków, aby — (sternik niewidoczny, a tak bardzo kochany) — przygotowywać do walki z oceanem życia ich łódź, stojącą dotychczas w zatoce rodzinnego gniazda. Atak paralityczny zwalił na łoże cierpienia i bezwładu tego wielkiego przyrodnika przed czterema już przeszło laty. Zbiegli się wówczas do niego najznakomitsi lekarze miasta, pragnąc gorąco uratować dla wiedzy polskiej życie wybitnego człowieka. Przy troskliwej, fachowej opiece i po długiej kuracji umiejętność medyczna odniosła triumf nad ciężką chorobą. Umysł przyrodnika odzyskał dawną prężność twórczości, tylko nóg nie opuścił stały niedowład i pan Zygmunt przykuty został do ruchomego

fotelu. Rozwiały się w nicość nadzieje otrzymania katedry uniwersyteckiej, którą już mu obiecywano ze względu na jego zasługi w świecie nauki, ale uczony przyjął całe to doświadczenie losu z niewzruszonym spokojem. Najpiękniejszą bowiem cechą tego podniosłego umysłu był splot bezbrzeżnej miłości dla wiedzy z uczuciem głębokiej wiary. Poddawał się wyrokom Boskim z ufnością chrześcijanina, umiejącego powiedzieć nie słowami, lecz duszą całą:

— Niech się stanie nie moja wola, ale Twoja, o Panie!

Po powrocie do względnego zdrowia wezwał do siebie lekarzy-przyjaciół i z pogodnym uśmiechem prosił ich o wypowiedzenie mu istotnej o swym stanie prawdy po odbytem konsyljum. Taka jednak mężna i niezłomna stanowczość brzmiała w jego głosie dobrotliwym napozór, że nikt nie odważyłby się na zbywanie go mglistemi ogólnikami.

— Kochany Zygmuncie! — odezwał się najstarszy z eskulapów poważnie. — Możesz żyć lata całe, albo umrzeć znienacka, jeśli nastąpi pęknięcie naczyńka w mózgu.

Uczony wyciągnął obie dłonie do zgromadzonych i ściskał je kolejno:

— Dziękuję wam za tę otwartość! Jakież to szczęście, że moja rodzina ma opiekuna w naszym nieocenionym dziadziu, którego siły i zdrowie zdają się rokować długie życie! Pragnąłbym tylko mieć dość czasu, aby moje odkrycia naukowe przelać na papier dla przyszłych pokoleń. Może moi następcy obalą w proch moje twierdzenia, ale każda omyłka

ludzi nauki, to jeden krok naprzód ku poznaniu bezwzględnej Prawdy!

Od tej chwili minęło kilka lat w zupełnym spokoju i rodzina oswoiła się zwolna z widokiem ojca-paralityka, pogrążonego przez dzień cały w pisaniu dzieł naukowych i przewożonego na ruchomym fotelu do jadalni w porach wspólnych posiłków. Przeciążenie programem szkolnym za czasów rosyjskich, czyniące z uczących się dzieci, woły robocze, ciągnące z mozołem pod wysoką górę wiedzy ogromny wóz, naładowany zbędnemi często wiadomościami — sprawiało iż jedynie pomiędzy jednym łykiem, a drugim toczyły się przy tym stole rozmowy szczere, otwarte — ukazywała się głąb duszy dziecięcej, łaknącej piękna i ideału. Więc i teraz, gdy pani Alina weszła powiewnym swym krokiem do jadalnego pokoju, Michaś z Pawełkiem opowiadali ojcu o wspaniałych na przyszłość zamiarach „Bratniaka“, a twarz uczonego wyrażała gotowość dopomożenia im w całej tej sprawie.

Zegar, stojący w rogu, wybił poważnym basem sakramentalną trzecią godzinę.

— A co?! Widzi ojczulek, że się nie spóźniłam! — zawołała przekornie młoda kobieta.

Na dźwięk jej głosu cała trójka dzieci rzuciła się ku niej z okrzykiem radości, całując ręce i „najśliczniejszą buziuchnę“, a szare oczy uczonego przykuły się do uroczej postaci żony, młodszej odeń o lat kilkanaście z wyrazem bezbrzeżnego uczucia.

— Czy zadowolona jesteś z tej nowej sukni, Alinko?! — zapytał głębokim, ciepłym tonem.

Pani domu przerwała na chwilę rozlewanie zupy do podawanych jej talerzy:

— Nadzwyczajnie! Wyobraź sobie seledynowo-srebrzyste połyski — na boku podpięcie i zwieszające się nenufary — toż samo na lewem ramieniu! Bajka!

— Będziesz wyglądała jak ondyna-wodnica! — zawyrokował uczony.

Nagły uśmiech podniósł kąciki ust mamusi, przyczem błysnęły zęby drobne i lśniące jak perły nanizane półkolem:

— Toż samo twierdzi pani Kornelja! Chyba to prawda, bo przecież nie umówiliście się z nią co do identyczności takiego sądu!

— Naturalnie, że prawda! — skonstatował krzykliwie Michaś. — Wszyscy moi koledzy, znający mamusię — nazywają ją zawsze: Lorelei!

— Tss! Zlituj się, Michasiu, nie podnoś tak głosu! — mitygował chłopca dziadzio Wojciech. — Minąłeś się z powołaniem, a raczej zbyt późno ujrzałeś światło dzienne. Powinieneś był jako herold ogłaszać turnieje na cześć pięknych niewiast!

— Z niego to tak bucha, jak gejzery w Islandji! — zaśmiała się Hala trochę złośliwie.

— Michaś temu nie winien, że ma tyle krzyku we środku! — zabrzmiał nagle dźwięczny głosik Ani, broniącej ukochanego, starszego brata.

Zaśmiali się wszyscy ochoczo, a Michaś, rzuciwszy w stronę Ani serdeczne: Dziękuję ci, Aniątko, oznajmił stanowczo Hali:

— Możesz być pewna, że gdybyś żyła w tych czasach, nie zmęczyłbym gardła oznajmianiem turniejów na twoją cześć! Błędni rycerze uwielbiali słodycz w kobiecie!

— Hm! Kto wie?! — wymknęły się dziewczynce tajemnicze słowa.

Miała jasno kasztanowate włosy z miedzianym połyskiem, zielone oczy, usta jak mak szkarłatne i cerę kreolki. Odziedziczyła tę niezwykłą urodę po babce, żonie dziadzia Wojciecha i starsze koleżanki, naśladując Sewera, mawiały o niej, że jest: „bajecznie kolorowa"! Brała udział we wszystkich żywych obrazach i przedstawieniach na pensji, a potwierdzenie tego, że jest naprawdę „bardzo ładna", szeptało jej nieraz lustro, gdy się w niem przeglądała.

Pan Zygmunt spojrzał na starszą córeczkę bacznie:

— I ja również nie jestem pewien, czy byłabyś, Halko, damą serca któregoś z tych trubadurów! Im nie chodziło wcale o piękne włosy, albo o czarujące oczy! Szukali oni ideału kobiety — w kobiecie, byli sługami najwyższego piękna duchowego i często nie znali nawet tej, dla której imienia krzyżowali szpady z innym, podobnie jak oni, romantycznym poszukiwaczem przygód!

Hala zarumieniła się jaskrawo, pojmując, że przenikliwość ojca wykryła jej tajne myśli, a Pawełek rzucił przez stół pytanie najmłodszej siostrzyczce:

— A ty, Aniątko, czy chciałabyś być opiewaną przez jakiegoś rycerza?!

Króciutkie i stanowcze: — Nie! — padło z blado-różowych usteczek Ani.

— Nie?! Dlaczego nie?! — dopytywał się ciekawie Pawełek.

— Bo zanadtoby o mnie mówiono, a dla ko-

biety jest najlepiej kiedy o niej wcale nie mówią! — wygłosiła mała z całą powagą.

Szalony śmiech buchnął ze wszystkich stron i posypały się pytania:

— Skąd przyszło ci to na myśl, Aniu?

Ale mała nie stropiła się bynajmniej i odparła rezolutnie:

— Słyszałam jak dziadzio tak mówił do tatusia, a tatuś na to powiedział: Pewno, że tak! — więc musi to być prawda!

Pan Zygmunt porozumiał się wzrokiem z dziadziem. Trzeba być ostrożniejszym wobec tej uważającej na każde ich słowo dziewczynki. Istotnie mówili tak kiedyś o zmroku, spierając się lekko na temat pani Aliny i nie zwrócili uwagi, że pod koniec dyskusji weszła Ania do salonu i zajęła się swemi lalkami.

Podano już deser. Obiad się kończył. Chłopcy przewieźli fotel ojca do salonu, który był właściwie sanktuarjum rodzinnem, gdyż tam, pod jednem z trzech okien przesiadywał stale uczony przed olbrzymiem biurkiem, zapełnionem książkami i materjałami do jego prac naukowych. Dziadzio Wojciech wszedł również za zięciem i, wyprawiwszy chłopców z pokoju, zamknął drzwi do jadalni. Przeszedł się kilka razy po salonie, założywszy w tył ręce, poczem stanął przed fotelem pana Zygmunta:

— Niepotrzebnie zachęcasz Alinkę do bywania w świecie, mój drogi! — powiedział niezadowolonym lekko tonem. — Mąż chory, jej miejsce w domu!

Uczony patrzył na ojca żony nieporuszenie poważnemi oczami:

— Nie zapominajmy o jej młodości! Siedemnaście lat miała, gdy wyszła za mnie! Czworo dzieci! Dość się nakłopotała po nocach, czuwając nad niemi, pielęgnując w chorobach! A teraz — nie mogę jej dać pełni życia, do jakiej ma prawo! Niech się przynajmniej choć czasem zabawi. Zresztą — to nie bal, tylko raut literacki!

Dziadzio unosił się, widząc, że nie przekona zakochanego męża:

— Dziś raut, jutro five na sto osób, za parę miesięcy — karnawał! Po co narażasz ją na pokusy światowego życia, pełnego lekkości i zbytków?! Wiesz przecież jaki to słaby charakter?! Przypomnij sobie jak zadurzyła się w tym wytwornym gagatku, Edmundzie, w tym samochwale i egoiście! Jakie to były szlochy i zaklęcia, że „dla niej już tylko trumna, albo klasztor!“ wobec mego stanowczego veto. No i co?! Uległa mej woli i twojej wytrwałej miłości! Wyszła za ciebie!

Pan Zygmunt wyciągnął rękę jakgdyby chciał powstrzymać naganę teścia. Głęboka czułość wzbierała w jego szarych oczach.

— Byłem z nią szczęśliwy przez te lat kilkanaście, ojcze!

— Wiem. Patrzę trzeźwo. Jest pod twoim szlachetnym wpływem i absolutnie nic jej zarzucić nie można! Rad jestem, że nie widzę i nie zobaczę nigdy na jakie moralne manowce poprowadziłby ją taki mąż jak Edmund! Szczególnie gdyby w grę weszło uczucie! Oho! Krwawiłoby mi się serce z żalu nad losem Alinki, w rzeczywistości tak dobrej i słod-

kiej! Nieprzeparty czar od niej wieje — wszystko to prawda. Cóż — kiedy woli jej brak! To nie Ania, która już teraz wie — czego chce!

Niedostrzegalny prawie uśmiech na ustach zięcia był całą odpowiedzią. Bystry wzrok dziadzia złowił go jednak w przelocie:

— Tak, tak! Tobie się zawsze wydaje, że Ania to moja faworytka, że przesadzam w mym sądzie o niej! A ja ci mówię, że ona będzie kiedyś chlubą rodziny! Znam się na ludziach, mój drogi! Taka poważna, zamknięta w sobie duszyczka, a jednocześnie te niesłychanie miłe i świeże porywy dziecięcej swobody i wesołości! Niepospolite macie dziecko, Zygmuncie!

— Nie spieram się wcale ze zdaniem ojca! — zaśmiał się cicho uczony i spojrzał w kąt niedaleko swego biurka, gdzie urządzony był pokoik dla lalek i gdzie stały różne zabawki Ani. — Leży teraz maleńka dla wzmocnienia sił po obiedzie w swoim pokoju, ale niedługo wstanie i przyjdzie do mnie. Czy ojciec wie, że ona mi nic nie zawadza?! — ciągnął dalej z odcieniem tkliwości w głosie. — Całemi godzinami krząta się tam, przy tej szafeczce z sukniami i bielizną lalek, albo gotuje im obiady na tej maleńkiej kuchence, a tak się porusza cichutko, że nie słyszę jej wcale. Przeciwnie — powiedziałbym nawet, że jej obecność w pokoju tak na mnie działa ożywczo, jakgdyby w tym kącie rosła w doniczce konwalja. A nie zniósłbym tu nikogo innego przy mojej wytężonej pracy.

Dziadzio Wojciech zacierał ręce i śmiał się z zadowoleniem. Jego niebieskie oczy lśniły skierkami dumy:

— Wygłosiłeś przed chwilą największą pochwałę na cześć mojej drogiej wnuczusi, sam może o tem nie wiedząc. Nie będziemy zatem więcej o tem mówili. „Skoro rozważyłeś jakąś sprawę wszechstronnie — nie powracaj już do niej nigdy“! — cytował z naciskiem ulubione swe zdanie. — Ale widzę również, że nie dacie mi teraz Ani do Malinek?! — postawił kwestję jasno. — Poczekałbym na nią do jutra!

— Ojcze kochany! — przemówił serdecznie uczony. — Przecież ona była od początku maja w Malinkach. Niech trochę posiedzi z nami, w domu. Skoro tylko pierwszy śnieg upadnie — proszę przysłać tu Bisię po naszą maleńką.

— Zgoda! — dziadzio uścisnął mocno rękę zięcia, którego cenił nad wyraz. *Verbum nobile!* Chociażby ten śnieg spadł w listopadzie — mam twoje słowo!

— Oczywiście, — stwierdził swe przyrzeczenie pan Zygmunt.

— Dziadziu! — zaanonsował krzykliwie Michaś, otwierając drzwi z hałasem — Pawełek już pogonił na dół po samochód. Czas jechać na dworzec! Dziadzio mnie zobowiązał do pilnowania godziny, więc dlatego przyszedłem!

— Słusznie! Odwieziecie mnie obaj. Gdzie mamusia i Ania?! Wołajcie Halę. Niech Brygidka znosi pakunki i walizę. Żegnajmy się, dzieci najdroższe. Obyśmy się zobaczyli jaknajprędzej w dobrem zdrowiu i powodzeniu! — ściskał dziadzio kolejno wszystkie kochane i najbliższe dla siebie istoty, zostawając na koniec pożegnanie z najmłodszą wnuczką. — To na deser — mówił, tuląc energicznie za-

krojone usta do bladej twarzyczki dziewczynki, zarzucającej mu na szyję łapięta z nieopisanie wdzięcznym i ufnym ruchem.

— Samochód już czeka, dziadziu! — wyrzucił jednym tchem zadyszany Pawełek.

— Dobrze. Żegnajcie, kochani! A piszcie często i obszernie!

Już dziadzia niema i cicho w mieszkaniu. Mamusia poszła do swego pokoju i tam, ułożywszy się na szezlongu, czyta najnowszą ciekawą książkę. Umysł mamusi jest ogromnie wrażliwy i bystry z natury. Interesuje ją wszystko, co tylko ma związek ze sztuką, muzyką i literaturą. Polityka ma w niej obojętnego widza, albo słuchacza. Nie zna się na tem i przytem „nic nie poradzi", więc nie zabiera nigdy decydującego w tych kwestjach głosu.

Ania wsuwa się do salonu i cichutko, bezszelestnie, dochodzi do swego kącika. Lubi go niezmiernie, gdyż czuje się tam królową w państwie milczących lalek, z któremi rozmawia w duszy bezgłośnie, wiedząc z góry jaką odpowiedź włoży im jej fantazja w ukarminowane, zaciśnięte usta. Lubi również usiąść na małym stołeczku, oprzeć łokcie na podniesionych kolanach i, ująwszy głowinę w różowe dłonie, patrzeć w skupieniu na piszącego ojca. Jego profil suchy i czysty zdaje się trwać nieporuszenie niby wycięta w kości słoniowej rzeźba. Ciemne włosy, przetkane zrzadka srebrnemi nitkami, odrzucone są w tył czoła. Opuszczone powieki tają myśli, spływające na papier za pomocą szybko suwającego się pióra, którem kieruje szczupła, przejrzysta, jakby uduchowiona ręka.

O szarej godzinie, pan Zygmunt odkładał na bok to pióro i ciepłym głosem rzucał pytanie:

— Czy jesteś tu, Aniu? Chodź do mnie! —

Dziewczynka wysuwała się ze swego kąta, gdzie o tej porze słała zwykle łóżeczka dla lalek i zamiatała ich pokój malutką miotełką. Szła do ojca tak cicho na wyprężonych stopkach, że w lekkim mroku wczesnego wieczoru, zdawała się płynąć ku niemu drobniutka i wdzięczna w błękitnej, albo różowej sukience i białym haftowanym fartuszku z ot, tyciuniemi, malusieńkiemi kieszoneczkami. Niosła przed sobą, cisnąc do piersi, swój nieodzowny, drewniany stołeczek.

— Siadaj, córeczko! Cóż mi dziś powiesz nowego? — uczony pochylał się ku dziewczynce i białą swą szczupłą dłonią pieścił łagodnie jej główkę i spadające, puszyste loki.

— Tatusiu! — Ania wznosiła z ufnością ku ojcu ciemno-niebieskie oczy: — Michaś opowiadał mi wczoraj o cudownej lampie Aladyna! Tatuś wie?! Tyle skarbów pod ziemią, aż oczy bolą od patrzenia! Rubiny, brylanty w takich sypankach drewnianych jak u dziadziusia w Malinkach kasza jęczmienna, albo hreczana! Ach! jakbym ja chciała, tatusiu, trafić do takiego cudownego miejsca! Zobaczyć te cuda własnemi, własnemi oczami! — i Ania wzdychała smętnie, wiedząc już od starszego rodzeństwa, że te wszystkie czarodziejskie przygody są więcej „na niby“, aniżeli „na prawdę!“

— Tak, marzysz o cudach opisywanych w „Tysiącu i Jednej Nocy“, a nie chcesz widzieć, córeczko, stokroć piękniejszych cudów, jakie wokoło ciebie rozsypała hojna dłoń Boga! — uczony opierał się

głową o skórzane plecy fotela, a splecione palce rąk składał na kolanach. Mówił powoli, głębokim tonem. — Widziałaś przecież tyle razy, maleńka, najzwyklejsze żołędzie w ogrodzie u dziadzia, nieprawdaż? Czy przyszło ci kiedy na myśl, że z czegoś tak niewielkiego może wyrosnąć wspaniały, niebotyczny, rozłożysty dąb?! Czyż trzeba większego cudu?! Przypatrz się uważnie zwykłym kwiatom na łąkach! Czyż liczko najśliczniejszej z twoich czarodziejek-wróżek da się porównać z delikatnością ich płatków! Na każdym kroku stąpasz wśród cudów, dziecinko, tylko oczka twoje jeszcze na nie zamknięte! Jakże pragnąłbym dożyć tej chwili kiedy podrośniesz, kiedy będę mógł wziąć ciebie za rączkę i pokazać ci skarby nieporównanie cudowniejsze od wszystkich skarbów Aladyna! — tu głos mówiącego nabierał odcienia melancholijnej wątpliwości.

Malutka i ciepła dłoń Ani przesuwała się pieszczotliwie po szorstkim rękawie ojcowskiego ubrania:

— Dożyjesz, tatusineczku! Dlaczegoż nie miałbyś dożyć?! Przecież zdrów jesteś zupełnie kiedy tak dużo piszesz! — i pod wpływem nowej fali zagadnień, nasuwających się jej do główki, zwierzała się ojcu tajemniczym półszeptem:

— Tatuś wie?! Dostałam wczoraj wieczorem od mamusi małego klapsa!

— Widocznie zawiniłaś — solidaryzował się uczony z żoną, chociaż sam był przeciwnikiem wszelkich kar cielesnych, stosowanych do dzieci.

— Czytałam w łóżku już po pacierzu „Historję o Marysi i krasnoludkach“ tatuśku, byłam ciekawa końca, więc zapaliłam sobie taki malusieńki kawałek świecy i raptem zobaczyłam cień

mamusi nad sobą! Tak się zlękłam, aż książka mi z ręki wypadła! A mamusia taką miała zagniewaną twarzyczkę, jakby to słoneczko, co to mamusia ma w serduszku, schowało się gdzieś daleko! Niegrzeczna rączka! — powiedziała mamusia i dała mi klapsa i poszła prędko, stukając obcasikami. Nie chcę brać klapsów, nawet od mamusi! Tatuś rozmawia przecież co wieczora z Panem Bogiem, prawda, tatusiu?! To proszę Jego poprosić, aby zesłał na mnie Ducha Świętego, żebym ja przez okładkę wiedziała, jaki będzie koniec powiastki! W dzień mi tego nietrzeba, bo mam dużo czasu, tylko wieczorem! Dobrze, tatuśku?!

— Dobrze. Przedstawię dziś wieczorem twoją prośbę Panu Bogu — składał uczony przyrzeczenie poważnym głosem. — Ale ty wzamian obiecaj, córeczko, że będziesz zawsze pamiętała, zawsze — przez całe twe życie — że twój ojciec nie położył się nigdy na spoczynek bez odmówienia wieczornego pacierza. Czy przyrzekasz mi to, Aniu?!

— Przyrzekam — dziewczynka powtórzyła ulegle nieznane jej dotąd słowo — i obiecuję (to brzmiało z zupełnem zrozumieniem przyjmowanego obowiązku), że nie zapomnę nigdy o wieczornym pacierzu tatusiu!

Niekiedy — uchylały się o tej szarej godzinie drzwi od salonu i na progu stawała — mamusia. Serduszko Ani trzepotało się z radości w wątlutkiej piersi, jak ptak strząsający kropelki rosy w słonecznej jutrzni. Bo chociaż dziewczynka kochała swem skupionem, nie rozpraszającem cię uczuciem i chorego, mądrego tatusia, i dziadka Wojciecha, który ją tak czule przyjmował i gościł w tych najśliczniej-

szych Malinkach i swoje starsze rodzeństwo, nie mówiące nigdy inaczej o niej jak: „nasze drogie Aniątko!“ — ale ponad wszystkich na świecie — Ania podziwiała mamusię. Mamusia to była — cud nad cudami! Takiej drugiej mamusi nie było przecież na świecie! Może sobie tatuś nie wierzyć, że wróżki zlatują do kołyseczki małego dziecka i przynoszą mu różne dary jako najlepsze i kochające matki chrzestne, ale dlaczego w takim razie — mamusia jest taka podobna do wróżki Dobrutki, tej miłej i dobrej opiekunki pokrzywdzonych królewien, a której wizerunek Ania oglądała z niegasnącym zachwytem tyle i tyle razy na obrazku we francuskiej książce Hali: „*Les contes des fées*“?! Dlaczego mamusia w balowej, wyciętej sukni, w błyszczącej przepasce na czole jest tak przecudna, że skoro Ania ujrzała ją w takim stroju, to ze zdumienia i szczęścia nie mogła przemówić słowa! Przecież to wróżka Pięknotka! Też same jasne, faliste włosy, też same fijołkowe, ogromne oczy mieniące się liljowemi blaskami jak duże, ciemne ametysty w broszce u piersi i też same ramiona i ręce, różowo-mleczne, zgrabniutkie, zakończone paznokietkami jak płatki róży! A skądże ten zapach róży, jakim mamusia jest tak przepojona, że nawet jej oddech — to zapach kwiecia?! A te jej opowiadania przecudne, a takie prawdziwe, jakby tam wszędzie sama bywała?! Wszystko to dary, niezwykłe dary tych matek chrzestnych, tych wróżek, w których istnienie tatuś nie wierzy! Za każdym razem kiedy mamusia stawała w mroku niedalekiego wieczoru na progu salonu, Ania wpatrywała się w nią z bijącem sercem czy nie ujrzy promienia ja-

sności, z owego chowanego pod sukienką na piersiach, czarodziejskiego słoneczka?!...

— Ale nie!.. Popielate cienie wieczoru nie prześwietlały się żadnym odbłyskiem, tylko dźwięczny głos mamusi rzucał wesołe pytanie:

— Możeby wam coś zagrać, wielki i mały filozofie?!

— Prosimy bardzo! — odpowiadał tatuś pośpiesznie i tyle głębokiej radości zawierało się w tych prostych słowach, jakgdyby niewidzialny promień z mamusinego słoneczka ocieplił i natchnął nowem życiem jego zagrożone serce.

Mamusia szła przez salon lekkiemi, posuwistemi krokami. Wszystko w niej było wdziękiem, wszystko tchnęło niewysłowioną harmonją. Podchodziła do fortepianu, którego białe klawisze lśniły w mroku płaskiemi grzbietami i zapalała dwie świece pod różowemi kapturkami. Marzycielskie światełko nasycało niewielkie koło przestrzeni, a mamusia siadała przy fortepianie i kładła na jego milczącem, czarno-białem uzębieniu swe wysmukłe i zwinne palce. Za chwilę — melancholijna i czarująca melodja Sonaty Księżycowej wypływała ze strun instrumentu niby cicho szemrząca kaskada. Zasłuchanej Ani, siedzącej na niskim stołeczku, zdawało się, że płynie na srebrnym pasie księżyca, odbijającym się w cichej powierzchni wody. Łódka, która ją niesie, nie potrzebuje wioseł, ni steru! Sama myśl Ani ciągnie ją szybko naprzód i naprzód ku złotej olbrzymiej piłce, huśtającej się lekko w rozlewnych objęciach niedostrzegalnej fali. I nagle — białe palce mamusi spadają z góry na pieszczone dotychczas klawisze... Burza skłębionych tonów huczy i rwie

się z wielostrunnej, rozszlochanej piersi starego, cennego przyjaciela ich domu! Ania wie co to znaczy... Kuli się nieco na swym stołeczku tak jej zaczyna być straszno... Przez las ciemny, ponury jedzie w poszóstnej karecie królewna. Wokoło niej poczet rycerzy w zbrojach, na pląsających rumakach. Wtem — krzyk, zgiełk, odgłosy trąb, strzały, bój rozpaczliwy! To napaść wrogów, zbójców drapieżnych, najemników Czarnego Rycerza! Odlatują po za pnie głowy, ścinane zbójeckiemi mieczami, kona trafiony w samo serce Błękitny Rycerz, zaręczony z cudną królewną, a zbójcy wynoszą ją zemdloną, zbielałą jak lilja, z karety... Już cicho... Las stoi ciemny, ponury i tylko wicher przebiega po jego gałęziach, przebiega i rośnie, szumi i huczy, za bary się bierze z ogromnemi dębami, potrząsa niemi i wyje przeciągle... aż wkońcu z jękliwym świstem odlatuje gdzieś hen, daleko...

Już koniec. Fortepian milczy — słuchacze również. Wreszcie Ania odzywa się błagalnym głosikiem:

— Mamuchno! Zagraj nam jeszcze o tym chłopczyku, co tak się żali, że wróbelek frunął mu z ręki!

Pani Alina zna określenia córeczki na pamięć, więc tak delikatnie zaczyna przesuwać zwinnemi paluszkami po klawiszach, jakgdyby malowała jakieś zwiewne pastele. Snują się po całym pokoju subtelne tony Szopenowskiego mazurka, wywołując w duszyczce Ani najtkliwsze współczucie dla owego poszkodowanego chłopczyka.

W drzwiach salonu stoją przejęci czarem mamusinej gry — Michaś, Pawełek i Hala. Weszli tu,

aby powiedzieć, że kolacja już jest na stole i stygnie. Kolację podają wcześnie w domu na Brzozowej ze względu na chorego i na uczące się dzieci. Mamusia dostrzega ich, kończy głębokim, potężnym akordem i wstaje od fortepianu:

— Już dość! Chłopcy, przewieźcie tatusia do jadalni!

Chłopcy rzucają się wskok do tatusinego fotela, zataczają go ostrożnie i popychają w kierunku drzwi do jadalni. Ania wiezie również tatusia. Wygięła się w łuk nieledwie, wbija małe nożyny w posadzkę i, ile tylko sił starczy, pomaga braciom. Mamusia zatrzymuje czasem na kolację panią Spendosię. Jest to eks-obywatelka z Ukrainy, siwa staruszka o bladej, nalanej twarzy i smutnych, ale bystro patrzących oczach, której mąż umarł na Syberji jako powstaniec 63 roku i któremu, wnet po wysłaniu go na bezterminową katorgę, rząd carski skonfiskował jeszcze w dodatku śliczny majątek w Kijowszczyźnie. Z jakiemiś uratowanemi resztkami swego posagu przeniosła się biedna wdowa z trojgiem dzieci do Warszawy, ale los uwziął się na nią, jakgdyby zsyłając karę za to, że pokochała i wyszła zamąż za człowieka zagrożonego piersiową chorobą. Zaledwo zdołała przeprowadzić dzieci przez szkoły i widziała już je w marzeniach na odpowiednich stanowiskach, gdy rozwijająca się szybko gruźlica zaprowadziła w ciągu lat kilku dwóch synów i córkę do mogiły. Została sama, bez środków do życia, ale ów hart kresowy, tkwiący zdawiendawna w tamtych mocnych ludziach sprawił, iż w zarobkowej pracy i tworzeniu sobie skromnego bytu, znalazła pewną ulgę w niedoli. Wszystko

to było dawno, radości i smutki przybrały pastelowe, łagodne tony i pani Spendosia, cerując bieliznę, lubiła opowiadać zasłuchanym dzieciom o swej ukochanej, bujnej i żyznej Ukrainie, gdzie „nawet ziemia na wiosnę pachnie inaczej, niżeli tu, na waszych piaseczkach" gdzie zachody słońca są stokroć piękniejsze, niż nad murami Warszawy i gdzie natura i ludzie mają gest taki szeroki, wspaniały i malowniczy!

— Nie może tam być piękniej jak w Malinkach, u dziadzia! — przeczyła gorąco i nieufnie Ania.

— Pewno! — potwierdzał aż zbyt głośno wrażliwy i unoszący się z łatwością Michaś, wstrząsając złotawą, falistą czupryną.

— A jednak nawet w podręcznikach szkolnych stoi jak byk, że „równie żyznych ziem jak w województwie bracławskiem, nie miała dawna Rzeczpospolita nigdzie!" — cytował z pamięci spokojniejszy odeń, rozważny Pawełek. — Bierzemy teraz w szkole historję Rusi i doskonale to zdanie utkwiło mi w głowie!

— Masz czego bronić! — Michaś wydymał pogardliwie dolną wargę. — Byłeś tam kiedy, sprawdziłeś własnemi oczyma?! Niby to nasza Lubelszczyzna nie żyzna?! A Malinki?! Nie oddałbym ich za wszystkie dawne województwa kresowe!

— Chcesz być mądrzejszym od Korzona! — zaperzył się na dobre Pawełek.

— A ty zanadto ulegasz każdemu drukowanemu słowu! Trzeba mieć także i własne zdanie! — odciął gwałtownie Michaś, czerwieniąc się ze wzburzenia.

Stali naprzeciw siebie jak dwa koguciki, sypiąc

nawzajem iskrami z oczu pomimo, iż kochali się obaj tak szczerze, że jeden za drugiego poszedłby bez wahania w ogień i wodę.

— Jest o co się spierać! — wybuchnęła swawolnym śmiechem Hala. — Wstydźcie się, chłopcy! Czekajcie! Zaraz was pogodzę! Napiszemy do dziadzia, czy pozwoli abyśmy na Wielkanoc przywieźli z sobą do Malinek panią Spendosię?! Niech własnemi oczyma popatrzy i rozsądzi, gdzie jest naprawdę piękniej?! Tu u nas, czy tam — na tej bajkowej Ukrainie?! Dobrze?! No, zgoda! A teraz, prosimy pięknie, niech nam pani kochana opowie jeszcze coś ciekawego! Może — o swoim ślubie, o weselu?! Jak to tam było?! Czy dużo osób?! Jakie przyjęcie?! Czy to możliwe, aby „szampan lał się rzeką", jak pisał niedawno do mamusi jeden z naszych krewnych o weselu znajomej panienki, złoszcząc się okropnie na takie „wydawanie polskiego grosza na głupstwa!" Mamusia przeczytała list na głos i powiedziała do tatusia: — Prawda! Ale cóż robić! kiedy to takie smaczne głupstwo! — Tatuś nic — tylko oczami uśmiechnął się do mamusi. Więc jak to było, kochana pani?! Słuchamy! Tylko prędko, prędziutko, bo mnóstwo mamy lekcyj do przygotowania na jutro! — wyrzucała z siebie Hala potok słów, płynących z dziwną łatwością. Wszystkie wrażenia wpadały i ulatywały z jej duszy, tak jakgdyby miała w niej okna i drzwi rozwarte naoścież. Ogromnie zdolna, była pierwszą uczennicą w swej klasie, ale nieprzetrawione wiadomości, nachwytane świetną pamięcią, nie trzymały się długo umysłu. Było to najzupełniejsze przeciwieństwo charakteru i usposobienia młodszej siostrzyczki,

która przeżywała wyłącznie w sobie każde nowe wrażenie, nie dzieląc się niem przenigdy „z obcymi“ i obdarzając swem zaufaniem tylko nieliczne, najbliższe i ukochane osoby.

Kiedyś — zeszłego roku — wybrała się Ania do pani Spendosi z dziadziem Wojciechem, który od czasu do czasu urządzał loterję fantową na korzyść samotnej staruszki, więc chciał jej odnieść — jak mówił —zebraną, dość znaczną sumkę. A może kierowała nim myśl pokazania Ani wnętrza domu i życia wydziedziczonych?!... Z tego się wszakże nikomu nie zwierzył. Dzień był prześliczny, lutowy, mroźny, niedzielny dzień, skąpany w słońcu i chwilowej beztrosce wałęsających się po mieście i świętujących w przechadzce ów siódmy dzień wypoczynku — różnych pracowników Warszawy. Ania szła raźno, trzymając dziadziusia za rękę i zwracając powszechną uwagę swemi złocistemi lokami, rozsypanemi na tle ciemnego aksamitnego futerka i wyrazem oczu, których ciemny szafir migotał w blaskach słońca rozweseloną głębią.

Pani Spendowska mieszkała na Złotej, w oficynie, na czwartem piętrze. Odnajmowała tam kuchenkę, w której jednak było schludnie i czysto. Okruchy dawnego bogactwa, jakieś bronzowe lichtarze, złocony, duży kałamarz, stojący stylowy zegar, saskie bombonierki i miniatury na kości słoniowej — rzucały się w oczy tem jaskrawiej, że wszystkie sprzęty były sosnowe, najprostszej roboty, marnego stolarza. Na ścianach wisiały dwa duże płótna: jedno z nich przedstawiało mężczyznę w sile wieku o czarnem, płomiennem oku, drugie — było najwdzięczniejszą grupą trojga przemiłych

dzieci, tulących się do młodej przystojnej kobiety, w której domyślaćby się należało obecnej gospodyni tego lokalu. Pręgowaty, bury kot zerwał się z głośnem miauczeniem na widok wchodzących gości i skoczył na podłogę ze stołu, zaś otyła nieco staruszka przywitała ich okrzykiem prawdziwej wdzięczności.

Podczas gdy dziadzio załatwiał sprawy pieniężne z subtelnością i dobrocią, cechującemi jego charakter, Ania rozglądała się dookoła, wodząc oczami po wszystkich przedmiotach. Było jej coraz ciężej na sercu. Nadmierną swą wrażliwością wyczuła raczej, niż zrozumiała — dojmujący ból sieroctwa. Te nieżyjące już dzieci z portretu zdawały się prosić ją o coś, czego odgadnąć nie mogła i to ją strasznie męczyło. Malarz bowiem skierował ich wzrok nie na matkę, ale na patrzących na nie widzów, chcąc spotęgować w ten sposób wrażenie. Pan Tytus Spendowski spoglądał wprawdzie wdał orlem wejrzeniem, ale i tu Ani się zdało, że gdyby ktoś wyrządził krzywdę jego biednej, opuszczonej żonie — to skoczyłby w mig z portretu i starłby na miazgę zuchwalca.— Ja jej nie zrobię nigdy nic złego! — powtarzała w myśli, wysyłając tę obietnicę w stronę mężnego powstańca. — Nie patrzcie na mnie! — prosiła bezgłośnie nieżyjące już dzieci, które nie odwracały jednak od niej uporczywego spojrzenia. Dziewczynka pojąć nie mogła, jakie słowa kryją się w ich nieruchomych ustach, tak czerwonych i pełnych jak usta Aldony albo Wilejki!

— Dlaczego tak zbladłaś, Aniu?! — zapytał nagle dziadzio z niepokojem w głosie. — Zmęczyłaś się pewno?! To moja wina! Przecież z Brzozowej

na Złotą — to porządny kawał drogi, ale szłaś tak ochoczo, że nie myślałem o wzięciu dorożki! Chodźmy, maleńka! Wolę cię odwieźć jaknajprędzej do domu! Pożegnaj się z panią Spendowską.

Dziewczynka podeszła do staruszki, wpatrującej się w nią nieco wypukłemi, poczciwemi oczyma. Macierzyńska troskliwość wyzierała z tych ciemnych źrenic i wywołała w poruszonej duszyczce Ani przymus natychmiastowego odwetu. Zarzuciła obie ręce na szyję osieroconej matki, przycisnęła swoje ciepłe usteczka do jednego i do drugiego zmarszczonego policzka:

— To od Juleczki, a to — od Stefanka! — wspięła się na paluszki i pocałowała rozrzewnioną kobietę w czoło: — A to od najstarszego Krzycha! Ile razy pani przyjdzie do nas, na Brzozową — zawsze tak będę robiła! — i Ania rzuciła z poza ramionek porozumiewawcze spojrzenie w stronę portretu dzieci.

Pani Spendosia ocierała łzy, szepcząc coś w rodzaju: — Święte dziecko! albo: — Prawdziwy aniołek! — dziadzio odwrócił się i patrzył w milczeniu przez okno, tylko Ania uwolniona od strasznej poprzedniej troski, wciągała żywo maleńkie snowbuty, nie mogąc sobie dać rady z zatrzaskami u góry. Było jej wesoło i lekko, widocznie odgadła niemą prośbę umarłych i padający na nią cień smutku ustąpił miejsca słonecznej pogodzie.

Od tego czasu samotna wdowa została niejako członkiem rodziny Ani. Znalazła się zawsze w domu jakaś pilna robota, wykończona starannie przez pracowite ręce dawnej ziemianki, a jej opowieści

o Ukrainie i różnych ludziach, z którymi się znała — naliczyćby już można całemi stosami!

Dobrze tedy było w rodzinnem gnieździe — dobrze i ciepło i miło nietylko swoim, domowym, ale i obcym, przyjaciołom i gościom. Dobrze było w tych słonecznych, obszernych pokojach przez dzień cały i o szarej godzinie i przy obiedzie i w czasie kolacji, lecz — dla Ani — najdroższą, najbardziej wyczekiwaną chwilą było — ostatnie „dobranoc“ mamusi. Jakżeż są wonne mamusi usta, jak słodki jej pocałunek! Tak słodki jak wonny miód leśny, który Ania jadła u dziadzia w Malinkach! Jak ciche, leciutkie jej kroki, gdy zmówiwszy z Anią wieczorny paciorek i przeżegnawszy ją ślicznym ruchem bieluchnych dłoni — oddala się od niej i znika jak czarodziejska wróżka Dobrutka!

Dziewczynka zostaje sama w białem łóżeczku za siatką. Przymknięte ma oczy i sen oplata ją więzami miłego bezwładu, ale Ania ostatnim błyskiem zapadającej w łagodną toń świadomości, wie — że anioł-stróż stanął za jej usypiającą głowiną i rozpiął nad jej pościelą śnieżyste skrzydła, ochraniając do rana jej cichy, beztroski sen — błogi sen kochanego i szczęśliwego dziecka!

MALINKI I DZIADZIO.

Weszło już to w niezmienny i stały zwyczaj, że państwo Zygmuntowie zjeżdżali całym domem na ferje letnie do dziadzia. Malinki wrzały wówczas tak nieustającym (chyba w nocy!) rozgwarem i życiem, jak bijąca do góry fontanna, skrząca się blaskiem wodnych brylantów w powodzi słonecznej roztoczy.

Zato przez resztę roku, szczególniej w późnej jesieni, albo w zimie, kiedy ustawała z musu wytężona praca na roli, kiedy — nocami — gardłowe krzyki wichru i bębnienie w szyby mokremi śrutowinami deszczu dawały się aż zanadto we znaki — odczuwał dziadzio swoją samotność i wyrywał się do Warszawy, lub też wyprawiał na Brzozową gońca, objuczonego wiejskiemi smakołykami wraz z gorącą prośbą listowną o przysłanie do Malinek na czas jakiś — Ani. Niepodobna opisać tej opętanej wrzawy, jaka wybuchała w mieszkaniu państwa Zygmuntów na widok ukazującej się znienacka w progu, obładowanej tłumokami — szczupłej, ale muskularnej osoby w porządnem czarnem futrze z barankowym kołnierzem, w takiejże solidnie na uszy nasuniętej czapce i w ciepłych rękawicach skórkowych.

— Wiwat! Bisia przyjechała! Niech żyje sto

lat! — wrzeszczeli chłopcy, rzucając się na szyję krzepkiej ochmistrzyni, która zezwalała z radością na dławiące jej gardło uściski młodzieńcze. — A czy są śliwki na rożenkach?!

— Wynoście się, chłopcy! — odtrącała braci z trudem Hala. — Ja także chcę się przywitać! Bisieńko kochana! Hip, hip, hop, hop, hurray! Będą gruszki smażone! I serki owocowe! I półgąski i przekąski!! Allo-hej! Olla-ho!

Nawet Ania śmiała się rozkosznie, ukazując drobne i białe ząbki, podskakując na dwóch nóżkach jednocześnie i wołając z radością:

— Malinki przyjechały! Malinki przyjechały! — ale nie myślała w takiej chwili o słodyczach, tylko ta kochana „czarna Bisia" łączyła się w jej pamięci tak nierozerwalnie z najdroższym domem dziadka, że zdawało się jej, iż stary, miły dwór przysunął się do Brzozowej blisko, bliziutko, ot! ręką sięgnąć i już się go będzie miało w maleńkiej piąsteczce.

Panna Balbina liczyła sobie dopiero trzydzieści osiem lat życia, ale — prawdę powiedziawszy — była jakby bez wieku, do tego stopnia nikt się tem nigdy nie zainteresował. Od szeregu lat, jeszcze za życia nieboszczki pani Wojciechowej, prowadziła gospodarstwo kobiece w Malinkach i — trzeba przyznać — wywiązywała się z tego zadania wręcz znakomicie. Dopomagało jej w tem zdrowie i siły, nie odczuwające poprostu znużenia. Mogła panna Balbina przesiedzieć noc całą w oborze przy chorej jałówce, a później pogonić wózkiem na plantację buraków pastewnych, by do wieczora nie spuszczać bystrego, wszystko widzącego oka z motykujących

rzędziki wiejskich pracownic! Śniada jej twarz, okraszona ciemnym rumieńcem, była zawsze jednaka: wesoła i pogodna, a przenikliwe oczy koloru palonej kawy wyławiały bez trudu najmniejsze usterki w robocie. Była przytem prędka i wymagająca wobec podwładnych.

— Olaboga, moiściewy! — zwierzały się z jawną obrazą dziewczęta wiejskie w domu. — A dyć ona szuka cięgiem dziury na calem!

Sąsiednie dwory zazdrościły pokryjomu takiej nieocenionej „prawej ręki" panu Wojciechowi, składając przy każdej okazji, „wzorowej gospodyni i chlubie mleczarstwa" wyrazy szczerego uznania. Mogła tedy ustroić ciemne swe, najgładziej przyczesane włosy w zasłużony laur gospodarskiej sławy, ale nie czyniła tego nigdy, twierdząc natomiast, że osobiste swe życie „przepartoliła"! Przyczyną zaś tej surowej oceny było — jej imię! Tak! Tylko imię i nic ponadto! Czy słyszał kto kiedy, aby w ostatnich, nowożytnych czasach nazwać dziewczynę — Balbiną?!... I któżby chciał się narazić na śmieszność usłyszenia na cały kościół przy składaniu przysięgi małżeńskiej słów:

— Edwardzie! albo Henryku! albo Stanisławie! Czy chcesz pojąć tę oto *Balbinę* — za małżonkę?!

Przecież nie! Oto dlaczego nie miała w swem pracowitem, zapobiegliwem, czynnem życiu ani jednego konkurenta! Oto dlaczego nie jest dziś szczęśliwą, krzątającą się matką rodziny, tylko zawiędła w staropanieństwie! I nie rodzice są temu winni, ale ksiądz proboszcz ówczesny, weredyk i despota względem własnych parafjan, który — gdy ją przyniesiono do chrztu na pięknej koronkowej poduszce,

a matka chrzestna podała jej imiona: — Elwira — Hortensja! — fuknął na całe grono: — Niepotrzebna pretensja! Będzie się nazywała Balbina, bo takie imię sobie przyniosła!

Głęboka pobożność chroniła skutecznie tę zacną duszę od niesłusznej zresztą goryczy żalu do owego, Bogu ducha winnego, proboszcza, oskarżanego przez nią sprawcy jej samotnego losu, a zwolna rosnące i potęgujące się z każdym rokiem przywiązanie do Malinek, pana Wojciecha i jego najbliższej rodziny — sprawiło, iż „nasza Bisia, Bisieńka" uczuła w spragnionem macierzyńskiej miłości sercu — że te kochane dzieci są jakgdyby jej własne, że ta cała rodzina — to jej najbliżsi i że Malinki tak są jej „własnym domem", jakby posiadała na poparcie swego twierdzenia formalny akt rejentalny.

Z chwilą gdy list dziadziusia wręczony przez „Bisię" rodzicom Ani uzyskiwał wyrok pomyślny (bo czyż dziadziowi można było w czemkolwiek odmówić?!) — usuwali się wszyscy domowi w cień dobrowolnej niższości, bohaterkami zaś dnia stawały się — Bisia z Anią. Niewolno było nikomu pakować bielizny i sukieneczek dziewczynki! Nawet tęga i miła Brygidka, córka starego Jakóba z Malinek, o której dziadzio mawiał z uśmiechem, że to nie Brygidka, a cała Brygida, a jeszcze trafniej — Brygada, stosując to miano do jej zamaszystej, silnej postaci — nawet Brygidka, która wypiastowała Anię od dziecka, traciła wówczas wszystkie nabyte swą pieczołowitością, zasłużone prawa. Cała wielce skomplikowana akcja wybierania się w drogę odbywała się w salonie, gdyż uczony tracąc drogą swą „konwalijkę" na kilka tygodni, pragnął nasycić jej

widokiem oczy przynajmniej wciągu ostatnich godzin. Bisia klęczała na posadzce przed rozwartą szeroko paszczą sporej walizki i układała w niej starannie malutką, wykwintną odzież dziewczynki. Ania znosiła w ramionkach, biegając co chwila do swego kącika — to Aldonę i Wilejkę, to znów ich pokojówkę, Fruzię, ubraną w przepyszny strój krakowski, to wykrzykiwała z zakłopotaniem:

— Bisiu! Gdzie się to wszystko zmieści?! Nie mogę przecież zostawić przy tatusiu tego nieznośnego murzynka, Dżeka i mego włóczkowego „Hau-Hau" i niedźwiadka Misia! Oni są bardzo grzeczni, kiedy im paluszkiem nakiwam! Ale jak się dowiedzą, że niema mnie w domu, no, no! — kręciła główką ze zgrozą. — Nie dadzą pisać tatusinkowi takie tu będą piski! Muszą także jechać do Malinek, prawda? Bisiu?! Co, Bisieńko kochana?!

— Pojadą, pojadą! uspokajała zafrasowaną dziewczynkę, pakująca wprawnie wszystkie zabawki, panna Balbina. — A to co znowu?! — wołała ze zdziwieniem, widząc spadające do walizki nowe jeszcze przedmioty.

— To kuferek Aldony i cała wyprawa Wilejki! — śmiała się Ania rozkosznie i przymilnie zaglądała w oczy niezadowolonej już Bisi. — Muszą przecież zmieniać bieliznę dwa razy na tydzień! Ja im sama przepiorę! Niech się Bisia nie martwi! Ja nie będę praczce dokuczać! Nie, nie, Bisieńko! —

Wreszcie wszystko było gotowe, Ania ubrana i dwie walizki zniesione do czekającej na dole dorożki. Ostatnie pocałunki, długie, gorące. Ania serduszko ma rozdwojone: jest jej smutno i wesoło zarazem. Zato panna Balbina idzie ze schodów

krokiem triumfatora, prowadząc swą zdobycz za rączkę. Na ulicy dziewczynka podnosi do góry główkę, zdejmuje białą, włóczkową rękawiczkę i z całej siły powiewa nią, śląc tak jeszcze raz pożegnanie rodzinie, wyglądającej przez szyby zamkniętych okien.

— Już pojechały! — mówi mamusia i patrzy w opustoszały kącik salonu.

— Szkoda maleńkiej! — wzdycha tatuś i bierze się powoli do pracy.

Ania „szalenie" lubi jechać koleją. Wygląda przez okna wagonu i niema z nią najmniejszego kłopotu, tak doskonale się bawi w zupełnej cichości. Bisia czyta jakąś ciekawą powieść i od czasu do czasu rzuca rozjaśnionym z głębokiego zadowolenia wzrokiem na „swoje najmłodsze dziecko". Jednak jakieś podświadome wyrzuty sumienia nurtują we wrażliwej, subtelnej duszyczce dziewczynki, gdyż zwraca się nagle do swej opiekunki i mówi, usprawiedliwiając niby radosny wyraz bladej twarzyczki:

— Przecież ja wrócę na Boże Narodzenie? Prawda, Bisiu?!

Na stacji w Puławach nowa, cudowna niespodzianka! Stangret dziadziusia, stary Antoni Socha, z długiemi, zwisającemi aż na kołnierz granatowego futrzanego płaszcza wąsami — przyjechał po „naszą maluśką panienieczkę" saniami! Bisia pomaga zejść ze stromych wagonowych schodków dziewczynce, która woła na cały głos: — Antoni! Antoni! Dzień dobry! — aż podróżni spoglądają na to zaróżowione od mrozu, drobniutkie stworzonko z przyjaznym uśmiechem. Ciągnie oczy wszystkich ku sobie rozsłonecznioną twarzyczką.

Sanna wprawdzie nie jest pierwszorzędna i ostra gruda, przykryta gdzieniegdzie lekkim opadem śniegu, wygląda niby pocukrowane, wydłużające się wdal, twarde czekoladowe ciastko. Ślizgające się po rozdołach i zamarzniętych wzniesieniach płozy, podrzucają z boku na bok dziewczynkę, siedzącą obok Bisi i zawiniętą w lisiurkę myśliwską i w baranicę dziadziusia. Już widać jak na dłoni Malinki. Wysoki mur, obiegający wokoło siedzibę dworską, urywa się na znacznej przestrzeni, naprzeciw podjazdu i domu, zmieniając się w niskie, kamienne obramowanie, aby nie zasłaniać widoku na pola i lasy. Majestatyczne świerki, przysypane znów takim skrzącym, śnieżystym cukrem jak droga, rozpościerają w milczeniu zielone ramiona, unosząc je nieco w górę, jakgdyby gotowały się do czułego objęcia nadjeżdżającej, kochanej wnuczusi. Na ganku stoi dziadzio w popielatej czamarze, w czapce z szarego baranka na głowie. Niebieskie jego oczy, płoną radością w blaskach uchodzącego już słońca — jak dwa turkusy. Siwe, niewielkie wąsy i krótko przystrzyżona broda obramiają twarz czerstwą, rumianą, (pomimo siódmego krzyżyka!), twarz prawdziwie polską, o regularnych rysach i pięknym energicznym wyrazie. Stary Jakób, służący dziadzia, wynosi z osadzonych przed gankiem sani futrzane zawiniątko, w głębi którego trzepoce się i śmieje z nadmiaru błogiego uczucia „maluśka panieneczka z Warszawy".

— Do przedpokoju, Jakóbie! — woła dziadzio nakazująco. — Silny mróz dziś mamy! Jeszcze mi się przeziębi moje kochane wnuczątko!

Jakiś przytłumiony okrzyk wydobywa się z pod

lisiego puszystego kołnierza, ale Jakób jest nieubłagany i wnosi na rękach do ciepłego wnętrza domu „to najmilsze chucherko"! Dziewczynka uwolniona wnet od zbytecznej futrzanej osłony rzuca się do pochylającego się nad nią dziadzia i zaplata mu na szyi wyciągnięte radośnie rączyny.

— Dawajcie obiad! — rzuca dziadzio krótkie, dobitne polecenie. — Moja kochana podróżniczka napewno porządnie zmęczona i wcześnie dziś uśnie?!

— Ja nic nie jestem zmęczona, ale to nic, dziadziu! — broni się mała srebrzystym głosikiem. — Tak to wszystko jakoś przeleciało, że nawet nie pamiętam jak tu zajechałam, dziadziusiu!

Pomimo tych pocieszających słów jednak — Ani pod koniec obiadu kleją się nieco oczy. Jakie to dziwne?! Chyba coś wpadło do środka?! Przeciera je niby nieznacznie chusteczką, wydobytą z maluśkiej kieszonki fartuszka.

— A nie mówiłem?! — śmieje się dziadzio, błyskając białemi, zdrowemi zębami z pod srebrnych wąsów. — Spać, mościapanno, spać! Jutro pogadamy o wszystkiem! Panno Balbino! Pani opiece powierzam to małe kurczątko!

— Ja wcale nie chcę spać, dziadziusiu! — protestuje dziewczynka, podniesiona już ze swego krzesełka kunsztownym chwytem silnych, muskularnych rąk Bisi i przytulona przez nią do piersi. — To mnie tak mróz wlazł do oczek!

— Mam nadzieję, że do jutra ani śladu zeń w tych oczkach nie będzie! — żartuje dziadzio, całując wnuczkę serdecznie. — Mamy dość czasu! Roztopi się z pewnością pod cieplutką kołderką!

Tak witano gorąco i radośnie goszczono Anię w tych jasnych, w tych drogich sercu Malinkach, gdzie wrażliwa duszyczka dziewczynki uchodziła mimowoli od smugi cienia, jaką los na nią rzucał z powodu choroby ojca w rodzinnym domu. Zaraz po rannem śniadaniu szła Ania z dziadziem do jego sypialni. Tu, w kącie pokoju wznosił się okrągły piec na wysokich nóżkach, a cała pod nim przestrzeń od dołu tworzyła okratowaną klatkę dla tulących się tam przez zimę przepióreczek. Z uciechą, przepełniającą małe serduszko, podnosiła dziewczynka zasuwkę i szara chmara przepiórek rozsypywała się wnet po lśniącej posadzce, świegocąc swe pozdrawiające i wielokrotne: Pit-pilit! Pit-pilit!...

— Moje ptaszynki! Moje kochane! Nie uciekajcie! Popieścimy się troszeczkę! Nie bądźcie takie dzikusy! Fe wstyd! — szczebiotała Ania, suwając kolankami po woskowanych taflach i wyciągając napróżno rączki dla pogłaskania puszystych grzbiecików.

— Pit-pilit! Pit-pilit! — śpiewały dziękczynnie lokatorki z pod pieca, dziobiąc rzucane im przez dziewczynkę ziarenka prosa, ale umykając wciąż zwinnie od rozpostartych nad niemi paluszków.

Dość długo trwała zwykle ta miła, choć bezowocna zabawa — wreszcie dziadzio wraz z wnuczką ogarniali z dwóch stron „niegrzeczne dzikuski“ i zapędzali je zpowrotem do ich ciepłego osiedla pod piecem. Pokój dziadzia krył jednak inne jeszcze powaby. Oto w trzech jego szerokich oknach wisiały u góry klatki z kanarkami. Było ich po dwie w każdej framudze, koncert zatem śpiewaczy głuszył niekiedy rozmowę, budząc w Ani zachwyty

nad perlistością tonów i wywołując z jej strony niemniej perlisty, radosny śmieszek. Najciekawszą wszakże okazywała się zielona klateczka z mieszkającą w niej parą przyjaciół: starą kanarzycą i niemłodym już szczygłem. Dziadzio Wojciech kochał ptaki i rozumiał ich pieśni bez słów, więc dawał czasem chwilową swobodę szczygłowi, który wylatywał przez okno do parku. Dość jednak było wysunąć przez lufcik rękę z zieloną klateczką, z wnętrza której niósł się piskliwy zew kanarzycy, aby wierny jej czerwonopióry towarzysz sfruwał natychmiast z drzewa i wracał pośpiesznie do rodzinnego żłobka. Z okien sypialni pana Wojciecha widniała grupa srebrnych, niebotycznych topoli, którym Ania również mówiła codziennie swym słodkim głosikiem: Dzieńdobry, wygłaszając następnie dwuwiersz, jaki dziadzio ułożył na ich cześć. Sadził je bowiem sam, wraz z ojcem, jako mały jeszcze chłopczyna.

Ania przemawiała zatem, patrząc na obnażone, śpiące zimowym snem topole:

— Teśmy drzewa razem sadzili, razem z nami rosły! Nam się karki schyliły, im — głowy podniosły! — i dodawała od siebie: — Żyjcie długo, kochane topole i zazieleńcie się na wiosnę! A teraz, dziadziusiu! — prosiła przymilnie — chodźmy do oranżerji, do tamtych ptaszków!

Dziadzio nastawiał marsa, ot tak, dla zabawy, patrzył na końce swych srebrnych wąsów i niby się ociągał, ale dziewczynka wiedziała dobrze, że to tylko „figielki“, ujmowała tedy delikatnie, ale stanowczo dłoń dziadzia i wysuwała naprzód jedną

nóżkę, ciągnąc go za sobą, poczem stawiała drugą, wołając:

— Hej, hej! Mam wór piasku wiślanego! Może ktoś kupi?! Hej, hej!

Tak dochodzili w najlepszej zgodzie i wesołości przez jadalnię do salonu, gdzie dwoje drzwi parapetowych wiodło do oszklonego przybytku zieleni i kwiatów. Tam — wśród palm pierzastolistnych, juk, dracen, kulistych różowych i białych azalij, rododendronów, drzew cytrynowych, fruwały, świegotały i darły się na wszystkie tony, otwierając szeroko gardziołka, przeróżne polne i leśne ptaszęta, łapane w sidła przez braci Ani, a ratowane następnie z niewoli przez dziadzia Wojciecha. Mroźne, zimowe miesiące spędzały one w tej uroczej cieplarni, a na wiosnę wypuszczał je właściciel Malinek na wolność, zachęcając do odlotu machaniem chustki.

— Dziadziu! — pytała dziewczynka już w oranżerji, patrząc na ptaszki: Gdzie im lepiej, czy tu, u dziadziusia, czy latem, w ogrodzie?!

— Naturalnie, że na wolności! — odpowiadał dziadzio bez wahania. — Klatka jest zawsze niewolą — duża, lub mała, złocona, albo drewniana — zawsze to brak wolności! Tylko wolny człowiek, wolny naród może być szczęśliwy! Kiedyś zrozumiesz to lepiej, dziecinko!

Dziewczynka poważniała nagle. Wprawna dłoń dziadka umiała wygrywać na wielostrunnej jej duszyczce melodje, jakich piękność odczuwała podświadomie niekiedy. Przytuliła się całą postacią do boku dziadziusia:

— Jak ja kocham Malinki! Jak mi tu dobrze! —

i zaraz dodawała pośpiesznie: — Ale nasz dom na Brzozowej także bardzo kocham! Niech dziadzio nie myśli, że dla ptaszków zapomniałam o moim chorym tatusiu!

Jednak — cudowne to były chwile, te ranne zabawy z gilami, sikorkami, makolągwami i z szarą zgrają ruchliwych jak żywe srebro przepiórek, ale nie potrafiłaby Ania z pewnością odpowiedzieć na pytanie, co woli: ranki, czy popołudniowe godziny w Malinkach?!

Wówczas to bowiem dziadzio Wojciech, który nigdy nie udawał się po obiedzie na drzemkę, lubiał spacerować dookoła stołu w jadalni, nazywając tę przechadzkę: „*les cent pas de Napoléon*". Naśladował w tej drobnej sprawie cesarza Francuzów, którego genjusz uwielbiał. Średniego wzrostu, szczupły, prosty jak trzcina, zawsze starannie ubrany, umiejący podnieść głowę z godnością i błysnąć nakazująco niebieskiem okiem, skoro tego zachodziła potrzeba — uderzał dziadzio Wojciech dziecięcą fantazję Ani podobieństwem do dawnych rycerzy polskich, z kolorowych obrazków w powieściach Przyborowskiego, które posiadała w swej bibljoteczce siostrzyczka Hala. Jakkolwiek dziewczynka nie zdawała sobie jasno sprawy, że w dziadku pociąga ją tak nieprzeparcie tężyzna ducha i woli, bijąca stale od niego, to jednak każde jego słowo było dlań wyrocznią, każde zdanie — wskazówką na przyszłość, każda rada — nieodwołalnym rozkazem.

Pod jednym tylko względem Ania nie potrzebowała rad, ani przestróg dziadka. Oto — nie znała kłamstwa. Jej czysta natura tak ją broniła przed niskością tej wady, jak biały puch łabędzi, ochrania-

jący pierś ptaków od zetknięcia ze stojącą, zanieczyszczoną wodą.

Dziadzio i wnuczka spacerowali z początku w milczeniu. Naprzód szedł pan Wojciech, ze skrzyżowanemi i założonemi w tył rękami, bielejąc ostrzyżoną na jeża czupryną i srebrnym zarostem. Za nim, w odległości paru kroków zaledwo, dreptała leciutko i bezszelestnie drobna dziewczynka w ciepłej, jasnej sukience, ze złocistemi lokami, w których zdawał się wić i mienić zbłąkany promień słoneczny, z malutkiemi rączkami, podobnie jak u dziadziusia założonemi nieruchomo na plecach. Ojciec pani Aliny posiadał w swych tekach sporą kolekcję sztychów i drzeworytów, przedstawiających obrazy i wydarzenia z historji Polski, rozwieszał je zatem kolejno na ścianach jadalni, ucząc wnuczkę w ten łatwy i poglądowy sposób dziejów i losów dawnej Rzeczypospolitej.

— Widzisz, Aniu! — mówił rozrastającym się mocą zapału głosem, stanąwszy przed nowopowieszonym, kolorowym sztychem w jadalnym pokoju. — To jest szkoła rycerska w Warszawie, założona przez ostatniego króla naszego, Stanisława Augusta. Wychowańcami jej byli kadeci, to znaczy młodzi żołnierze, przygotowujący się do bronienia Ojczyzny orężem. Stoją na tym obrazku w uniformach od parady: krótkie, białe spodnie sukienne, granatowe fraki z obszlegami ponsowemi, szpada uniformowa, a na głowach — kaszkiety ze strusiemi piórami. Każdy, wstępujący do Korpusu kadet, otrzymywał pościel, składającą się z siennika, prześcieradła, kołdry i wałka pod głowę. Wstawali oni o 6 rano, szli na mszę, potem spoży-

wali bardzo skromne śniadanie, gdyż hartowanie ciała szło narówni z hartowaniem ducha. Ty wiesz, przecież, Aniu, co to znaczy: hartowanie?! Kiedy zaś taki nowozaciężny kadet wstępował do tej szkoły, wołał go do siebie komendant i tak doń przemawiał: — Czy wiesz pan, jakiego zgromadzenia będziesz miał honor być członkiem?! — tu dziadzio obracał się w tył i spoglądał badawczo na stojącą poza nim wnuczkę, której wbite w sztych ciemno-niebieskie oczy zdradzały najusilniejsze przejęcie się wyłuszczanym tematem. Zadowolony, prawił dalej mocnym, wnikliwym tonem:

— Wiem! — odpowiada mu na to kadet. — To zgromadzenie jest Ojczyzny kosztem utrzymywane na to, żeby tu młodzi chłopcy wyrastali na dzielnych obywateli swego kraju. Dlatego też moim świętym obowiązkiem jest uczyć się jaknajpilniej i pamiętać o tem, że krwią, życiem i wszelkiemi siłami Ojczyźnie mojej służyć powinienem! — tu dziadzio przerywał na chwilę, jakgdyby pragnął, aby rzucane przezeń ziarenka zapadły głęboko w duszyczkę Ani, poczem znów głos zabierał:

— A kiedy taki kadet kończył nauki — to wszyscy oficerowie, profesorowie i koledzy składali mu życzenia, dodając sakramentalne, to znaczy uświęcone zwyczajem słowa: — Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem! — tu dziadzio zwracał głowę ku Ani, która z założonemi na plecach rączkami, wpatrywała się w głębokiem i skupionem milczeniu wiszącym na ścianie kadetom i pałacowi Kazimierzowskiemu, w którym mieściła się ich rycerska szkoła — i pytał, zatapiając przenikliwe spojrzenie w ciemno-niebieskich oczach dziewczynki:

— A wieszże ty, dziecko, co to jest h o n o r?!—
— Wiem, dziadziu! — odpowiadała mała bez chwili wahania. Dziecięcy jej głosik rozbrzmiewał z dziwną pewnością. Drobne, różowe łapięta, skrzyżowane na pleckach, nie zmieniły pozycji. Bez gestów, tak nieodzownych każdemu dziecku, mówiła z ogromnem przejęciem:

— Honor, to znaczy, dziadziusiu, żebym ja nigdy, nigdy nie pozwoliła, żeby mnie uderzył silniejszy chłopczyk i żebym ja nigdy, nigdy nie uderzyła słabszego chłopczyka!

Pan Wojciech pieścił wnuczkę ciepłym promieniem niebieskich oczu:

— Tak! To jest honor, chociaż taki kadet inaczejby go określił! Będą z ciebie ludzie, Aniątko moje najdroższe! Pamiętaj, całe życie postępuj wedle tego, co mi przed chwilą powiedziałaś, bo trzeba koniecznie, żeby słowa zgadzały się z uczynkami! Uczynki — to koniki, co ciągną, a słowa — machnął ręką lekceważąco — to tylko bat, co furczy w powietrzu; — i rozpoczynał znów swą milczącą przechadzkę popod ścianami wokoło pokoju, a za nim posuwała się równie bezgłośnie — miniaturowa jego naśladowczyni. Wreszcie dziadzio przystawał powtórnie i wyciągniętą z za pleców ręką, wskazywał dwa piękne sztychy na ścianie:

— Patrz, Aniu! Rzeź Pragi, przedmieścia Warszawy! Dowódca Moskali, Suworow, wkracza na czele rozjuszonych żołnierzy! Postanowił zasiekać szablami, zalać rzeką krwi — walkę narodu o wolność! W Warszawie już słychać rozpaczliwe krzyki mordowanych i dzikie: „Ura“! kozaków! Pociski padają na miasto, wzniecają pożary... Dzwony

biją w kościołach na trwogę, zlewają się z łkaniem, napełniają powietrze smętnym lamentem! Powstanie Kościuszkowskie dogasa! Rok 1794 — rok olbrzymich wysiłków i serdecznych nadziei — nie wyzwolił Rzeczpospolitej polskiej od narzucanego jarzma moskiewskich zwycięzców! A tu — widzisz, dziecko, stoi na szańcach Pragi generał Jakób Jasiński! Patrz! w jednej ręce ma zakrzywiony pałasz, drugą — wyciąga przed siebie, jakby mówił najeźdźcom: — Precz! Dopóki ja żyję — nie pokonacie mojej Ojczyzny! Niedarmo był ongi kadetem i od młodości się ćwiczył w najdoskonalszej cnocie ofiarności krwi i życia dla Polski! Patrz! Jego oko błyszczy bezbrzeżnem męstwem! Iluż on wrogów zabije i porani śmiertelnie, zanim sam padnie na wznak wśród huku pękających bomb i świstu kul — padnie, nie wypuszczając ze stygnącej dłoni swej okrwawionej szabli! Teraz już wiesz i rozumiesz, co to jest bohaterstwo, Aniu! — rozpłomieniony wzrok dziadzia spoczął z ufnością na wnuczce, ale ku jego wielkiemu zdziwieniu, dziewczynka odpowiedziała bez entuzjazmu, chociaż z wielką powagą:

— Rozumiem, dziadziu! Oni jego wszyscy chcieli zarąbać, a on ich chciał pozabijać i to się nazywa bohaterstwo!

— Ba, ba, mościapanno, gdyby tak wszyscy potępiali rozlew krwi nie byłoby nigdy wojny! — wpadł w chwilową zadumę. — Braterstwo ludów! — mówił dalej raczej do siebie. — Idea szczytna i piękna, ale czy ludzkość dojdzie kiedy do przyswojenia jej sobie jako nowej wytycznej w układach międzynarodowych?! Tymczasem — tu zwrócił się do wnuczki — czy można siedzieć z założo-

nemi rękami, gdy cię wróg napada i pali i niszczy?! Czy masz dobrowolnie wyciągać ręce, aby ci zaborca nałożył kajdany?! Hm, hm! Tak doskonale pojmujesz honor, a to zagadnienie widocznie jeszcze dla ciebie zbyt trudne! — obchodził w milczeniu jadalnię dookoła, wreszcie usiadł na niskim, staroświeckim fotelu z takiemi zabawnemi po dwóch jego stronach poduszeczkami pod głowę i skinął na Anię:

— Chodź tu, maleńka! — posadził ją na kolana. — Skończyłaś niedawno sześć lat, kochanie i duża już z ciebie dziewczynka. Dlatego przeznaczyłem dla ciebie w Malinkach inny pokój, niż ten, w którym dotychczas spałaś. Nie mówiłem ci o tem wczoraj, bo po podróży byłaś zmęczona i śpiąca, ale za chwilę pokażę ci ten twój nowy pokoik!

— To ja już nie będę spała z Bisią, dziadziusiu?! — pytała ciekawie.

— Nie. Trzeba przestać się mazać i zacząć żyć samodzielnie.

— Samodzielnie? — powtórzyła Ania. — Co to znaczy, dziadziusiu?!

— To znaczy, że masz sama działać, sama o sobie myśleć, sama spać, radzić sobie, gdybyś się czegoś w nocy przelękła, nie bać się ciemności, tylko przeżegnać się, wstać z łóżka i pójść śmiało do czegoś, co ciebie przestrasza! Niemądre niańki wiecznie opowiadają dzieciom o duchach! Żadnych duchów z bajek niema, dziecinko! A gdyby zleciały z nieba duchy umarłych, to nie straszyłyby nas, żywych, z wszelką pewnością! Więc gdybyś zobaczyła coś białego w kącie twego pokoju, to pójdź i dotknij ręką: przekonasz się, że to prześcieradło, albo ręcznik, wiszący na gwoździu! Ta-

kie to duchy! I jeszcze pamiętaj słowa dziadziusia: — niebezpieczeństwo, któremu się patrzy w oczy — przestaje istnieć! Istnieć — to znaczy być! — Niema go — i koniec. A teraz, daj mi rączkę! Pójdziemy razem obejrzeć twój nowy pokój.

Dwór w Malinkach zbudowany był w kształcie podkowy, przedstawiając się od podjazdu jako dość długi, niewysoki budynek, zakończony z lewego boku piętrową wieżyczką, na której gnieździły się stada gołębi. Dwa parterowe skrzydła przylegały doń od strony ogrodu, pomiędzy niemi zaś rósł zdawiendawna wspaniały świerk, rozrzuconemi szeroko ramionami opierając się niemal o szare gonty ich malowanego pokrycia. W wieżyczce mieściła się bibljoteka, zasłaniająca od dołu do góry ściany wysokiemi szafami z czarnego drzewa. Pośrodku stał ciężki, owalny stół, przykryty zielonem suknem, pod którego zwisające, obszyte sznurem cztery rogi, dzieci państwa Zygmuntostwa lubiły niezmiernie podpełzać i chować się (za czasów ich wcześniejszego dziecięctwa), okrążając na czworakach i przypatrując się z nienasyconą ciekawością i trwogą trzem krępym murzynkom z hebanu, stanowiącym podstawę stołu i trzymającym jego masywny blat na wzniesionych do góry rękach. Ciężkie, zielone zasłony sukienne u okien i wisząca pośrodku sufitu lampa, rzucająca jasny krąg światła na poukładane na stole dzienniki i tygodniki warszawskie — dopełniały umeblowania tego poważnego przybytku sztuki i wiedzy, na straży którego stały u góry, na bibljotecznych szafach, marmurowe popiersia najsławniejszych prozaików

i poetów całego świata. Słońce — bywało tu przyjacielem w dzień, żarzący się ogniem kominek — wieczorem, gdy przed rozpoczęciem przez dziatwę nauk szkolnych w Warszawie, państwo Zygmuntostwo mieszkali stale w Malinkach. W owej chwili ulubiony dawniej ten pokój został nieco zaniedbany z powodu choroby pana Zygmunta, uniemożliwiającej mu chodzenie po schodach. Parterowe zato pokoje, a przedewszystkiem unikany dawniej salon, w którym jesionowe, antyczne meble świadczyły o długim szeregu przodków — rozbrzmiewały w czasie wakacyj gwarem życia rodzinnego.

Ania szła z dziadziusiem przez ten salon, przylegający tuż do jadalni, zaciekawiona ogromnie, jaki to będzie ten „nowy pokój"?! Przez jedne z drzwi skręcili pod kątem do korytarza, gdzie stały szafy z pościelą i bielizną. Długoletnia zamożność poszczególnych pokoleń była tu skrzętnie chowana z biegiem czasu. W tem prawem skrzydle domu mieściły się trzy pokoje. Dziadzio roztworzył drzwi do ostatniego, narożnego i wszedł doń pierwszy, prowadząc za rączkę dziewczynkę. Pokój był duży i prawie pusty. Pod jedną ścianą stało żelazne siatkowe łóżko z cienkim materacem włosiennym, a przy nim sosnowy stołek, pod oknem prosty stół imponujących rozmiarów, w kącie zaś — umywalnia z olbrzymią miednicą. Szorstkie prześcieradło i dwa lniane ręczniki zarzucone na biało-lakierowany parawanik, obciągnięty kretonem w kwiaty, rzucały białą nutę w monotonję tego nieumeblowanego właściwie pokoju. Dwa drewniane krzesła odbijały się nieheblowanemi nóżkami w woskowanej podłodze. Sznurowa drabinka spuszczała się z su-

fitu, wprowadzając Anię w stan zupełnego już osłupienia.

— Widzę, że nie przeniesiono ci tu jeszcze twej pościeli od Bisi! — przemówił dziadzio niezadowolonym głosem i nacisnął guzik dzwonka elektrycznego, umieszczonego przy drzwiach wejściowych.— Jakże ci się tu podoba? — zapytał, wpatrując się bacznie w dziewczynkę.

Ania milczała. Surowy chłód tego pokoju wywarł na jej subtelną duszyczkę niemiłe wrażenie, szczególniej gdy przypomniała sobie swój śliczny białoniebieski pokoik w Warszawie. Gdyby mogła powiedzieć prawdę dziadziusiowi, to wyznałaby mu otwarcie, że „tu jest tak brzydko jakby w więzieniu“, gdyż właśnie tak przedstawiały się na obrazkach więzienne cele, chociażby tego ukochanego Kościuszki! Ale dziewczynka wyczuwała delikatnością ponad wiek przeciętnego dziecka, że takie powiedzenie sprawiłoby przykrość dziadziusiowi, a jakieś kłamstwo nie przeszło jej nawet przez myśl, więc zwiesiła główkę i zacisnęła usteczka. W rodzinie mawiano o takim nastroju Ani, „że się zacięła i że niema na świecie środka, któryby ją z milczenia mógł wyprowadzić, chyba jej własna wola!“

— Hm! — chrząknął mocno dziadzio i nikt nie byłby w stanie powiedzieć jakiego rodzaju uczucie to chrząknięcie wyraża.

W tej chwili zapukano lekko do drzwi i Jakób wszedł do pokoju.

— Aha! To ty?! Doskonale. Przenieśże, mój kochany, natychmiast poduszkę Ani, kołdrę i walizkę od panny Balbiny tu, do tej jej nowej sy-

pialni! — zakomenderował dziadzio, tonem niedopuszczającym cienia sprzeciwu.

— Słucham pana — odpowiedział na pozór ulegle stary Jakób i wyszedł śpiesznie, ale wnet zamamrotał gniewnie na korytarzu:

— Że też to starszy pan nie ma litości nad takiem biednem maleństwem! Pomimo tej ostrej krytyki wypełnił rozkaz co do joty, gdyż wiedział dobrze, że „żartów niema“ kiedy starszy pan czegoś wymaga. Współczujący gorąco krzywdzonej — wedle jego pojęcia — dziewczynce i obładowany pakunkami wrócił prędko do tej, Boże odpuść, sypialni dziecka:

— Już wszystko! — powiedział, składając pościel na łóżko i stawiając walizkę obok.

— Nie, nie! Nie wszystko! — wykrzyknęła nagle Ania, wyrwana ze swego zaciętego milczenia biegiem rozwijających się wypadków. — A moja Aldona?! A Wilejka?! I Miś i Hau-Hau! I ten przecudny kredensik, co dziadziuś kazał mi zrobić swemu stolarzowi! I ta duża kuchenka, większa jak w Warszawie! Czy można powiedzieć Jakóbowi, aby mi to wszystko przyniósł do tego mego pokoju?!

— Można, dziecinko! — zezwolił dziadzio z taką ogromną dobrocią w głosie, jakgdyby głaskał temi słowami wzniesioną proszącą ku niemu twarzyczkę dziewczynki.

Jakób wyszedł natychmiast udobruchany nieco tonem „starszego pana“. Chociaż nie pojmował jego zamiarów względem tego „drogiego pisklątka“, to jednak, powróciwszy parę razy, ustroił tę celę klasztorną — wdziękiem różnobarwnych, dziecięcych zabawek.

Tymczasem dziadzio wysunął krzesło na środek pokoju i usiadł na niem:

— Baczność, wnuczusiu! Urządzamy próbę! Połóż się na łóżku... Tak... Dobrze. Teraz — wyciągnij rączkę do dzwonka! Jest?! Świetnie! Gdybyś się w nocy przelękła swej samotności — powtórzysz tylko swój ruch z przed chwili i naciśniesz długo ten świecący wśród ciemni guzik. Umyślnie taki kupiłem. Bisia natychmiast do ciebie przyleci, bo druty idą do jej pokoju. Może będziesz wołała Jakóba, może nie zechcesz budzić swojej spracowanej „Bisieńki", to wówczas — masz drugi dzwonek, ten koło drzwi wejściowych. Ale — ja mam nadzieję, że będziemy wszyscy spali spokojnie tej nocy i że moja wnuczka okaże się mężną, dzielną kobietką! Co, jak sądzisz, Aniu?!

Dziewczynka milczała. Już sobie postanowiła, że „zanic, zanic!" nie zadzwoni w nocy, ale chwalenie się przed spełnieniem zamiaru było tak przeciwne jej naturze, że szepnęła tylko cichutko:

— Jeszcze nie wiem, dziadziusiu!

— Z rana — mówił dalej pan Wojciech, nie przywiązując napozór wagi do tej mglistej półodpowiedzi — przyjdzie do ciebie Józia, zleje cię pokojową wodą, wytrze tem szorstkiem prześcieradłem i poczeka, aż się sama ubierzesz. Potem — będziesz się gimnastykowała na tej drabince. Pokażę ci jak to się odbywa. Trzeba wyrobić sobie mięśnie i wyciągnąć się nieco. Przykroby mi było, gdyby moja wnuczka została przez całe życie taką drobniuchną królową elfów. A przedewszystkiem — chcę ciebie zahartować moralnie i cieleśnie. Chcę z ciebie uczynić odważną dziewczynkę, która się nie będzie bała

życia! Bo życie bywa bardzo trudne i ciężkie, dziecinko!

— Życie jest ciężkie, dziadziu! Co to znaczy?! — zdrowa ciekawość migotała w ciemnoniebieskich oczach Ani, która już zeskoczyła z twardego łóżka i zbliżyła się ufnie do kolan dziadka. Ów — objął ją mocno ramieniem i przygarnął do siebie. W jego spojrzeniu czytało się w tej chwili z łatwością niemą prośbę, rzucaną gdzieś w dalekie przestworza: Oszczędź, Stwórco świata, nadmiernych cierpień tej ukochanej dziecinie! — na głos zaś powiedział:

— To znaczy, Aniu, że nie zawsze będziesz miała rodziców i dziadzia i domek własny! Nikt nie wie, co go czeka! A może sama się kiedyś znajdziesz na wielkiej drodze życia i będziesz musiała walczyć o kawałek chleba, który ci teraz mamusia, albo Bisia z radością podaje! Wtedy to trzeba mieć odwagę do walki i siły do zwycięstwa i liczyć tylko na siebie! Pamiętaj, dziecko, liczyć tylko na siebie! Na to, co umiesz i na hart twej dzielnej, odważnej duszyczki! Bo człowiek wszystko może, Aniu — wszystko! Jedno tylko m u s i: umrzeć! Więc tak, jak w bajkach, które uwielbiasz, może każdy z nas pokonać smoki — trudności życia. I nie trzeba wcale na to być królewiczem i mieć zaczarowaną szpadę! Wystarczy zupełnie odwaga i patrzenie w oczy niebezpieczeństwu! Czy rozumiesz mię, Aniu?

— Rozumiem, dziadziusiu! — mała wsparła się łokciami o kolana pana Wojciecha i swym ulubionym ruchem ujęła główinę w malutkie dłonie. Jej oczy miały nieopisany wyraz zadumy, niezwykłej

w dziecięcym, pogodnym wieku. — Mnie się teraz podoba ten mój nowy pokoik. To będzie taka moja własna rycerska szkoła, rycerskie życie, tak jak u tego rycerza, co to Michaś wciąż wyśpiewywał:

— Jadał chudo — sypiał twardo. Patrzył Śmierci — w twarz z pogardą! — zanuciła cienkim głosikiem. — Dziadzio wie?! Mamusi tak to dokuczyło, aż raz zawołała: — Przestań Michasiu, bo mi się to przez uszy przelało! — Tak zabawnie, dziadziu! Przez uszy przelało! Niby woda, albo mleko! — i perlisty śmieszek, podobny do świegotów ptaszęcych, rozjaśnił nagle powagę wejrzenia, obijając się wesołem echem wśród bielonych ścian tej „rycerskiej szkoły".

Pan Wojciech przyłożył usta do jasnej głowy wnuczki i pocałował ją z zadowoleniem:

— Tak! Ty będziesz chlubą rodziny, mój najdroższy promyczku! — myślał. — Ziarno rzucone. Przyszłość okaże, jak sobie dasz radę na szlaku życia! Wierzę, że — zwyciężysz! Wychowam cię lepiej niż własną córkę, którą pozwalałem psuć i rozpieszczać! Ulegałem pod tym względem uwielbianej żonie i dziś potępiam siebie za to z całą szczerością! A teraz — powiedział głośno — dość już nagadaliśmy się o poważnych rzeczach! Prawda, dziewczynko?! Pójdziemy do krówek, potem do koników i do gołębi. Biegnij do Jakóba, maleńka i weź sporo pośladu. Sypniemy gołąbkom na powitanie. Czy dobrze, Aniu?!

Odpowiedział mu tylko tupot małych nóżek, oddalających się od jego kolan w stronę drzwi. Mignęła w szparze jasna sukienka i długie, złociste loki,

poczem w „rycerskiej szkole“ uczyniło się nagle tak cicho i mroczno, jakgdyby zgasło w niej światełko, rozweselające to zimne wnętrze.

* * *

Kiedy pan Wojciech wszedł wieczorem do nowego pokoju wnuczki, zastał tam Bisię, która po raz pierwszy w życiu obróciła się do niego wcale niegrzecznie plecami, udając że go nie widzi. Ania leżała już w łóżku, dochodząc piętami zaledwo do środka i z ogromnem przejęciem komenderowała posłuszną na każde jej skinienie panną Balbiną. Na widok dziadka mała wykrzyknęła z roztargnieniem:

— Dziadziusiu! Jestem bardzo zajęta! Bisieńko! Proszę mi podać Aldonę i Wilejkę! Tak, tak! Ależ nie tu — w nogi! Aha, dobrze! Niech i one wiedzą, co to rycerskie życie! Twardo wam, moje kochane?! Co?! Nic nie szkodzi! Śpijcie spokojnie! Bisieńko! Dżeka trzeba także położyć koło nich! To — nędzny tchórz! — (trudno wyrazić niesłychaną pogardę, jaką Ania włożyła w to określenie!) Jeszczeby mnie obudził w nocy! Miś niech leży przy Dżeku — on się go boi, może będzie cicho. A Hau-Hau — tu, na kołderce! To dzielny piesek! On ma odwagę i zaraz zaszczeka, gdyby jakiś złodziej chciał tu przyjść w nocy!

— Ależ to nie Warszawa, dziecko, tu niema złodziei, a zresztą stróż nocny chodzi wciąż z psami naokoło domu i całego folwarku — zapewniał Anię pan Wojciech trochę zaniepokojony rozmiarami bohaterstwa, jakie dziewczynka wkładała w swój pierwszy samotny nocleg. Pełne wyrzutu spojrzenie Bisi przecięło twarz jego tak dotkliwie, jakgdyby

zrysowała ją szpada, ale dziadzio uśmiechnął się tylko przyjaźnie i zapewnił miękkim głosem:

— Będzie tu zupełnie bezpiecznie. Nie bój się, Aniu!

— Ja się nic, a nic nie boję, dziadziusiu! — protestowała dziewczynka oburzonym głosikiem. — Już odmówiłam pacierz z Bisieńką i zaraz usnę jak zabita. Niech mię dziadziuś pocałuje! Raz za siebie, a dwa razy za mamusię! Dobranoc, dziadziu! A teraz — Bisia! Dobranoc, Bisieńko! Niech Bisia śpi i nie myśli o mnie! Dobranoc — wszystkim moim kochanym i wszystkim ptaszkom i wszystkim gwiazdkom na niebie! Już śpię! — i, obróciwszy się na bok, przymknęła powieki.

Dziadzio z panną Balbiną, uczyniwszy pół obrotu na palcach, szli lekko ku drzwiom, gdy nagle dźwięczny głosik zamącił tę pełną troskliwej dbałości ciszę:

— Dziadziusiu! —

— Wybijesz się ze snu, maleńka! — powiedział z wyrzutem pan Wojciech, zatrzymując się jednak na miejscu i zwracając w stronę łóżka. — Co się stało?

— Bo dziadziusiu, ja tylko chciałam zapytać, jak dziadzio myśli?! Czy do tego mego nowego pokoju przyleci mój anioł-stróż z Brzozowej, czy może wejdzie tu ten stary anioł z Malinek, co to kołysał do snu moją mamusię, kiedy była taka maleńka jak ja?!

Pan Wojciech milczał przez długą chwilę. Trzymana przezeń w ręku świeca rzucała na jego piękne, orle rysy rozjaśniające błyski, a niebieskie oczy płonęły w tym jasnym kręgu przedziwnym wyrazem.

Powoli, ważąc jakgdyby każde słowo, odrzekł dziewczynce:

— Ja myślę, Aniu, że za twojem łóżkiem stanie tu zaraz ten nasz stary anioł z Malinek, ten sam, który kołysał twoją mamusię do snu, kiedy była taka maleńka jak ty! Tylko, że ona nie spała sama i na tak twardem łóżku jak ty! Dobranoc, dziecko! — i wyszedł śpiesznym krokiem z tego przybytku dziecięcego hartu i wiary, a za nim panna Balbina z sercem rozfalowanem od nagłości wzruszenia. Znalazłszy się już na korytarzu, zamknęła drzwi od pokoju Ani, zostawiając usypiającą słodko dziewczynkę w samotnej ciemni jej pierwszej próby życiowej.

NIEBO SIĘ CHMURZY.

Pan Wojciech, przyodziany w ciepłą lisiurkę i barankową czapkę szedł miarowym krokiem od zabudowań folwarcznych w stronę dworu, podpierając się grubą laską nietyle z istotnej potrzeby, ile z przyzwyczajenia do zamaszystego nią rozmachu przy każdym stawianym kroku. Była połowa stycznia i pola okapturzone śniegiem rozciągały się dookoła niby wielkie, olśniewające bielą prześcieradła, chronione przed porywami wichrów, z wbitemi w nie czarnemi pniami melancholijnie nagich drzew. Powietrze było mroźne, a słońce igrało wesoło swemi złotemi palcami w koronie lodowej wszechwładnej Królewny Zimy. Pan Wojciech doskonale się czuł w tej przeczystej, rześkiej atmosferze styczniowej, lubując się długą przechadzką i wzmożonym obiegiem krwi w żyłach. Przed tygodniem wrócił z Warszawy, dokąd odwiózł sam Anię na święta Bożego Narodzenia, spędziwszy następnie dłuższy czas na Brzozowej. Uśmiech krążył po jego wargach, gdy, idąc, przypominał sobie różne wrażenia rodzinne. A więc przedewszystkiem — cichą krytykę córki, kiedy się dowiedziała od Ani o „rycerskiej szkole“ w Malinkach, o twardym materacu, sznurowej drabince i oddalonym pokoju. Wycałowała dziewczynkę gorąco, mówiąc:

— Wyśpisz się za to w domu, na swojem puchowem łóżeczku, córeczko!

— Kiedy ja jestem wyspana, mamusiu! — zaprotestowała Ania, czując, że ukochanemu dziadziowi mamusia wyrządza niechcący krzywdę. — Mnie się bardzo podoba takie rycerskie życie! O, niech mamuchna spojrzy! Jakie ja mam szalone muskuły na rączkach! Widzi mamusia! — i dziewczynka odwinęła rękawek, natężając ramię z całej siły,aby się pochwalić przed matką rezultatem systemu dziadzia.

Pan Zygmunt nie chciał sprzeciwiać się jawnie żonie, która przy tych popisach Ani uczyniła minę, wyrażającą dość średni zachwyt, ale — gdy zostali we dwóch z dziadziem — dał mu swe przyzwolenie:

— Niech ojciec kochany dalej stosuje swoją metodę do naszej maleńkiej. Uważam, że dziewczynka zmężniała i ruchy jej nabrały większej pewności. Nie jest już tak eteryczna i wiotka. Może straciła nieco swego poetycznego uroku, ale nabrała bezsprzecznie zdrowia, a to najważniejsze!

Michaś z Pawełkiem, dowiedziawszy się o owych „szalonych" bicepsach siostrzyczki wyzwali ją na bój lekkoatletyczny i położyli naturalnie kolejno na obie łopatki każdy. Ale mała nie uznała wcale porażki, wołając natarczywie:

— Podnieście mnie teraz w górę! — i taki uczyniła z siebie „kamyczek", że Michasiowi z wysiłku, aż żyły nabrzmiały na czole.

— Czy ty połknęłaś całe Malinki, że taka jesteś ciężka, Aniątko?! — śmiał się i gniewał naprzemian. — Chodź tu, Pawełku! Pomóż ją dźwignąć! Patrz! Ta mała drwi sobie z dwóch braci drągalów!

Czekajże, bączku! Będziemy i my przez lato w „rycerskiej szkole“ w Malinkach, a wtedy zadrżysz przed takim Waligórą i Wyrwidębem! Zobaczysz, figlarko! Ależ ty ważysz chyba dwie tonny, u licha! Dziadziu! Co to za czary?! — wykrzykiwał na całe gardło.

— Kochane dzieci! — wyrwało się mimowoli panu Wojciechowi, podczas gdy wyobraźnia przesuwała przed nim jakby w kinematografie jeden taki miły obrazek za drugim. Czarna sylwetka cwałującego po ośnieżonej drodze konia zwróciła jego uwagę, stawiając przed oczy rzeczywistość na miejsce wywoływanego świadomie wspomnienia:

— To Staszek tak goni z poczty! Dam ja mu, wisusowi! — i pogroził laską w kierunku opętanego jeźdźca, który oddając się snadź pokryjomej rozkoszy zwarjowanego galopu, nie widział „starszego pana“ i jego namacalnej przestrogi.

Zanim pan Wojciech doszedł do dworu, Staszek już wpadł przez boczną bramę przed stajnię dworską i, zeskoczywszy ze zlanego potem rumaka(woziwody, mówiąc nawiasem!) huknął chwacko do zdumionego stangreta:

— Jest list od paniczów z Warszawy do panny Balbiny! Nakazywała mi, żebym pędził z nim co tchu! Nic mi nie będzie! — poleciał na złamanie karku ze skórzaną torbą do dworu.

— Cygan! — splunął za nim niechętnie stateczny Antoni, biorąc konia za trenzle i wprowadzając go do stajni. — Chodź, Łysy, chodź, biedaku! Przykryję cię derką! Nic mu nie będzie, słyszyta?! A bodajeś sam oblał się siódmym potem jak to zgonione szkapisko! Żeby tak starszy pan zoba-

czył, no! Byłyby uszy w robocie, a może coś więcej jeszcze i słusznie! Szanuj uczciwe bydle — urwiszu!

Snadź jednak kroki starszego pana nie dorównywały w szybkości biegowi tego „zatraconego Staszka“, gdyż pan Wojciech mijał zaledwo grupę srebrnych topoli, kiedy z bocznego ganku wysunęła się w narzuconej na ramiona kraciastej chustce panna Balbina.

— Jest list z Warszawy! — wołała radośnie. — Staszek powiada, że do mnie! Zaniosłam torbę do kancelarji i zobaczyłam pana przez okno! Proszę najpiękniej, niech pan będzie taki dobry i zaraz otworzy torbę!

— A ja proszę, żeby panna Balbina natychmiast schowała się do pokoju! Mróz pod nogami skrzeczy, taki dziś luty, a pani wystaje bez futra na ganku! Marsz, marsz, mościapanno, bo otworzę torbę dopiero wieczorem! — sarkał dziadzio, przyśpieszając kroku.

Weszli do kancelarji i pan Wojciech uczynił zadość błagalnemu wejrzeniu ochmistrzyni, która stała przy biurku, drżąc z niecierpliwości.

Dziadzio przerzucał wydobyte z torby dzienniki i listy:

— Jest! — podniósł w górę rękę z podłużną niebieską kopertą! Staszek nie skłamał! Ale radbym wiedzieć — spoglądał z udaną srogością na rozradowaną widokiem listu pannę Balbinę — jaki zachodzi związek pomiędzy tym oto niebieskim prostokątem, a warjacką galopadą Staszka z miasteczka?!

— Powiedziałam mu tylko, że dostanie paczu-

szkę tytoniu, jeśli szybko się sprawi i list mi przywiezie! — wyznała Bisia, sięgając ręką po upragnioną wiadomość od „dzieci".

— Może to jego imieniny?! — oburzył się pan Wojciech. — Psuje pani tego łobuza! Dostanie on i odemnie podarek, ale wątpię, aby mu tak smakował jak wonny dymek! — Usiadł przy biurku i rozcinał kolejno listy, patrząc najpierw na podpis u dołu. Duża, ciężka koperta z pięcioma czerwonemi pieczęciami wysunęła się z pod zdejmowanej z numeru „Świata" szarej opaski, dokąd niewiadomo, jak się dostała. Dziadzio wziął ją do ręki z niejakiem ździwieniem i począł mimowoli czytać na głos napis, umieszczony na odwrotnej stronie:

— „Syndyk upadłości..." Co?! — krzyknął nagle tak przeszywającym głosem, że panna Balbina, zaczytana w liście z Warszawy, drgnęła i podniosła nań wystraszone oczy.

— Co panu się stało?! — przyskoczyła do niego i chwyciła za ręce. — Pan zbielał jak płótno! Może słabo?! Może wody, albo kropli laurowych?! Panno Święta! Ratuj nas! — wpatrywała się w pana Wojciecha z trwożnem zdumieniem, gdyż nigdy — od długiego szeregu lat — nie widziała go tak wstrząśniętym. Brak wszelkiej odpowiedzi potęgował jeszcze ciężar zagadki. Wreszcie milczący pan domu wrócił snać do równowagi i opancerzył się zwykłą swą hartowną wolą, która przed chwilą prysnęła pod obuchem piorunującej wieści, albowiem przemówił cichym, acz równym głosem:

— Nie trzeba mi wody, ani leków! Dziękuję pani! Zbankrutował mój największy przyjaciel! Andrzej!... Pani wie przecież... — i jakby uderzony

nagłą myślą, przerzucił szybko stos gazet. — Jest i depesza! — oznajmił lakonicznie, jakgdyby nie było to dlań wcale niespodzianką, rozłożył ją prędko i czytał:

— Andrzej nie żyje. Pogrzeb w Orle we środę. Zaleski. — Jego adwokat — wyjaśniał struchlałej i oniemiałej z wrażenia słuchaczce.

— Nieszczęście! — wymówiły blade i drżące usta kobiety.

— Nawet nie jedno, ale dwa! — spłynęły z warg pana Wojciecha niedosłyszalne prawie wyrazy. Podparł się łokciami o biurko i w dłoniach zatopił srebrną swą głowę. Panna Balbina stała przy nim bez ruchu, bez słowa, nie mogąc opuścić go w takiej chwili i nie chcąc drażnić wyrażaniem zbędnej pociechy. Wypromieniowywała natomiast z siebie taką falę gorącej, wiernej przyjaźni, że wyczuł ją dotknięty ciosem pan domu:

— Wolę być teraz sam, panno Balbino! — powiedział tak łagodnym głosem, jakgdyby przepraszał ją za brak uprzejmości. — Za jakąś godzinę proszę tu przyjść. Przeczytamy razem ten list od dzieci! — i zasklepił się znów w rozmyślaniach, które zdawały się oplatać jego srebrzyste włosy cierniowym wieńcem trosk i udręczeń.

Panna Balbina skierowała się w stronę drzwi, wiodących do dalszych pokoi. Stąpała cicho, stawiając ostrożnie nogi w gospodarskich trzewikach o grubej podeszwie i wyszła na korytarz, a stamtąd przez jadalny — dostała się do swego własnego pokoju. Tu — usiadła na łóżku i, powtórzywszy raz jeszcze: Nieszczęście! Jak ta rodzina da sobie radę! Biedny pan Andrzej! — wydobyła z kieszeni list

dzieci dla „rozweselenia serca“, jak to przed sobą z ulgą wyznała. Czytała, wchłaniając w siebie każde słowo, podobnie jak wchłania się zapach kwiatów, muskając jednocześnie leciuchnym dotykiem przeźroczyste ich płatki:

— „Bisieńko najmilsza! — pisała Hala. — List ten ułożyliśmy we troje z Michasiem i z Pawełkiem, tylko oni nie mają czasu wziąć pióra do ręki, bo jutro będzie wizytator w ich szkole i ma być ustny egzamin. Więc ja za nas wszystkich piszę do Bisieńki, że z temi gruszkami, co to Bisia przysłała przez dziadzia, był straszny skandal! Mamusia urządziła nam „tańcującą czekoladę“ na Trzech Króli, a my naspraszaliśmy tyle kolegów i koleżanek, że jak przyszło do podziału, to każdy dostał po jednej gruszce, a dla tatusia i dla mamusi nic nie zostało! Prawda, że krzyczeli wszyscy jak jeden mąż: — Delicje! To nie gruszki, ale smażone ananasy! Wiwat panna Bisia, twórczyni tych pyszności! — Było nam miło, ale skończyło się nieprzyjemnie. Ania podratowała trochę „honor rodziny“, bo swoją gruszkę zaniosła lalkom, a na drugi dzień podzieliła ją pomiędzy tatusia, a mamusię, którzy śmiali się z naszego łakomstwa i to było najgorsze! Bisieńko droga! Prosimy o ratunek! Niech nam Bisia przyśle odrobineczkę tych gruszek, to już my ich do ust nawet nie weźmiemy, tylko codziennie po obiedzie zaniesiemy tatusiowi i mamusi. To będzie „zmyty grzech“, prawda Bisiu?! I jeszcze opiszę strasznie zabawne zdarzenia, bo wiem jaka Bisia ciekawa dowiedzieć się o wszystkiem, co u nas się dzieje! Mamusia opowiadała nam cudowną powiastkę o takiej biednej sierocie, co to straciła swego ojczusia, a po-

tem i matkę jej Pan Bóg zabrał do nieba i ona została sama na świecie! Niech się Bisieńka nie martwi! Jej później, po latach było bardzo dobrze i wyszła za mąż za ślicznego i bogatego chłopca! Ale wtedy, jako dziecko, strasznie była nieszczęśliwa i poszła na grób swojej mamusi i tak płakała, że jak nasza mamusia mówi: „podlewała kwiatki, rosnące na mogile matki, swemi łezkami"! Jak ładnie, prawda, Bisieńko?! Tego wieczoru przyszła do Ani — jej przyjaciółka Marysia. Bisia wie?! My ją zawsze nazywamy: kozaczek! bo taka zuchowata jak chłopiec! I ona słuchała opowiadania mamusi i raptem— kiedy ta sierota tak płakała na grobie matki, a nasza mamusia powiedziała, że to Pan Bóg ją zabrał do nieba — to Marysia naraz wykrzyknie, grożąc piąstkami: — To Jemu trzeba powiedzieć, że tak się nie robi! — i tak się rozszlochała, że uspokoić jej nie mogliśmy wszyscy. Dopiero Ania zaczęła ją całować i podsunęła jej szklankę wody: — Napij się, Marysiu, to łzy pójdą na dół! — I śmiesznie było i rozczulająco. Marysia trochę się uspokoiła, a Ania wtedy powiedziała ze swoją zadumaną minką: — Nie można tak mówić, Marysiu! Jeżeli Pan Bóg tak zrobił, to widać tak trzeba! — Może nasza Ania będzie kiedyś misjonarką, choć wołałabym, aby wyszła zamąż i była szczęśliwa, jak ta sierota z powiastki! I co będzie, Bisieńko, z tymi gruszkami?! Bisiuchno! Obowiązuje nas świątynia przyjaźni! Co, prawda?! Już całuję Bisię miljony razy od siebie i od wszystkich. Ania — w tym kąciku ćwiartki, gdzie jest zrobione koło czerwonym ołówkiem — trzy razy pocałowała papier i mówi, że posyła tak Bisi swoje pocałunki. Dowidzenia, Bi-

sieńko najmilsza! Czekamy odpowiedzi z upragnieniem.

Hala, Pawełek i Michaś."

P. S. Dziadziusia ręce całujemy wszyscy stokrotnie i czule.

Ten list rozweselił nieco pana Wojciecha, którego oczy jednak pozostały tak smutne, jakgdyby legł na ich dnie ciężki głaz zgryzoty.

Od tej chwili, pamiętnej dla Bisi do końca jej życia — duchowe oblicze Malinek zmieniło się do niepoznania. Dziadzio wyjeżdżał często z domu do Lublina. Przychodziły doń listy i depesze, odczytywane zawsze przy drzwiach zamkniętych. Wzięty przezeń do pomocy, jako praktykant rolny, syn zagrodowego szlachcica, Marcinek — wyszedł pewnego dnia po długiej naradzie gospodarskiej z panem Wojciechem, któremu zawdzięczał swe wykształcenie, z silnie poruszonym wyrazem twarzy i od tego czasu dwoił się, troił w dbałości o każdy grosz swego opiekuna, starając się wycisnąć jaknajwiększe dochody z Malinek. Panna Balbina patrzyła w oczy dziadziowi z niemym wyrzutem, jakgdyby zwracając jego uwagę na siły i bezgraniczne oddanie się swej własnej osoby, ale pan Wojciech był nieugięty i nie zrzucał z bark tajemniczego ciężaru.

— Potrzebuję pieniędzy, panno Balbino! — odezwał się raz przelotnie. — Dużo pieniędzy! Nie wiem, czy damy sobie z tem radę?!

— Damy! — odpowiedziała mocno ochmistrzyni i, nie pytając już o żadne szczegóły, zaprzęgła się do pracy. Każdy sterałby swe siły. Ją — podtrzymywała cudowna moc uczucia.

Nastał koniec kwietnia i pan Wojciech, powró-

ciwszy pewnego dnia z Lublina, przepakował tylko walizkę i wyruszył do Warszawy, do córki.

— Ojczulek! — zawołała na jego widok pani Alina i radość jej wykrzyknika zmieniła się nagle w troskę. — Jak ojczulek schudł?! Nie chcę powiedzieć, że postarzał — nie! ale gdzież są te piękne rumieńce na twarzy?! Czy ojczulek ma jakieś zmartwienie, czy może chory, broń Boże?! — zarzuciła obie śliczne swe ręce na szyję ojca, tuliła się doń jak małe dziecko, trwożąc się w duszy, że los może pozbawić ją i jej rodzinę tego kochającego, mądrego nad wyraz opiekuna.

Pan Wojciech oswobodził się łagodnie z objęć córki:

— Nie martw się, kochanie! Zdrów jestem zupełnie! Ale — dodał żywo — jakże się miewa Zygmunt?! To daleko ważniejsze!

— Doskonale! — oznajmiła pani domu, pozostawiając swoją rękę w mocnym uścisku ojcowskiej dłoni. — Szczególnie od paru dni tak dobrze się czuje, że powiększył godziny pracy. Pisze teraz jakąś rozprawę dla Akademji Umiejętności w Krakowie.

Oczy słuchacza poweselały przy tych krzepiących wiadomościach:

— Pójdę zaraz do niego. Zostaw nas chwilę samotnych. Mam z Zygmuntem do pomówienia w pewnej ważnej sprawie. W przedpokoju stoi cały kosz wiejskich przysmaków od Bisi. Szczególniej jedno zawiniątko w pergaminowym papierze ma wzbudzić twój zachwyt! Każ rozpakować natychmiast, bo porządnie ciepło było w wagonie! Ale — dlaczego tak cicho w domu, jakby w klasztorze?!

— Bo jutro święto i starsza trójka poszła do Zachęty „rozwijać w sobie zamiłowanie piękna!“ jak twierdzi z patosem Hala, a faworytka dziadziusia jadła obiad dziś u Marysi, gdzie obchodziły zaręczyny Wilejki z angielskim marynarzem, którego przywiózł w podarunku dziewczynce jej wuj, kapitan marynarki rosyjskiej. Nadzwyczajne są te zabawki angielskie i nic się nie dziwię Wilejce, że zakochała się w tak pięknym chłopcu! — śmiała się mamusia swobodnie. — I mnie on się również bardzo podoba! Na kolację cała czwórka powróci do domu i dziadzio nasłucha się wtedy ich opowiadań i wykrzykników na różne tematy!

— Chętnie słuchałbym tych wybuchów młodości do rana! — zawyrokował pan Wojciech, przesuwając rękę po falistych włosach córki z niemą pieszczotą. — Idę do twego męża! — i ujął klamkę drzwi od salonu.

Uczony tak był pogrążony w pisaniu, że nie słyszał cichych stąpań teścia. Dzieło jego dojrzało snadź w tajemniczej podświadomości umysłu, gdyż ręka, trzymająca pióro tak szybko przesuwała się po papierze, jakgdyby nie mogła nadążyć za falą myśli, płynącą wartko bez przerwy. Dopiero kiedy cień od postaci, stojącego przy biurku pana Wojciecha, padł na rozłożone białe arkusze, piszący obrócił głowę i wykrzyknął z radosnem zdziwieniem i miłą żartobliwością:

— Czy ojciec kochany spadł z nieba, przypadkiem?! Nie słyszałem otwierania podwojów, ani odgłosu kroków! Ale i w suficie — dodał, podnosząc głowę do góry — nie widać żadnego otworu! Czarodziejska to jakaś sprawa — jak napewno powie-

działaby Ania! Witam ojca serdecznie i cieszę się z jego przyjazdu!

— A ja się cieszę z twego dobrego nastroju i lepszego zdrowia! Tęskno mi było do was i do szczerej, poważnej rozmowy z tobą, Zygmuncie! — usiadł przy oknie i powiódł w dal wzrokiem. — Całemi godzinami możnaby się wpatrywać w ten wspaniały widok na Wisłę i na Warszawę, jaki stąd się rozpościera! — ciągnął z zadumą, podpierając głowę napół zgiętą ręką. — Widać tu jak na dłoni bujny rozrost stolicy dawnej Rzeczypospolitej!

— Najpiękniejsze są tu jednak księżycowe noce, kiedy wyrastające jedne ponad drugiemi dachy i czerniejące pod niemi budowle, zalane seledynową poświatą, zdają się być siedliskiem milczących tajemniczo spiskowców, kujących w głuchych podziemiach oręż przeciwko Moskalom, zaborcom naszej wolności! — zabrzmiał z gorącym entuzjazmem głos uczonego.

— Tak! — westchnął dziadzio, jakgdyby do wtóru najtajniejszym swym myślom. — Tak! ileż to ofiar złożyliśmy już na ołtarzu owej straconej, a dziś tak drogiej narodowi wolności! — umilkł, a echo tych słów zdało się bić skrzydłami o ramy otwartych okien, poruszanych lekkim wiosennym powiewem.

Zapadał już zmrok i postacie siedzących mężczyzn roztapiały się zwolna w jego napływającej szarzyźnie. Chwilowe przerwy w rozmowie i cisza, snująca się wówczas bezszelestnem stąpaniem dokoła ścian pokoju, harmonizowały znakomicie z poważnym tonem głosów i wieczornym nastrojem.

— Wystarczy przypomnieć sobie dzieje mego ojca i jego towarzyszy — powstańców! — rozpłatał tę ciszę pan Wojciech, rzucając przez okno jakby wyzwanie Zamkowi, w którym mieściły się władze rosyjskie. — Szedł na Syberję pieszo, przykuty wraz z najdroższym przyjacielem, Piotrem, do jednego łańcucha. Mój ojciec — wątły, nerwowy, tamten — ze stali wykuty! Ileż dowodów poświęcenia, opieki, pieczołowitości dla młodszego, słabego więźnia składał Piotr w czasie tego ciężkiego pochodu!

— Wiem! — rzucił jeden wyraz, brzemienny głębią — pan Zygmunt.

— Jako młody chłopak pojechałem na Syberję dobrowolnie do ojca. Mój udział w zlikwidowanem powstaniu nie był jasno dowiedziony. Krótko się męczył w katordze. Niewola, tęsknota za rodziną, rozpacz z powodu nieudanej walki o wyzwolenie — przeżarły mu siły jak rdza. Umarł na mojem ręku, szepcąc błagalnie: — Przyrzeknij mi, że Piotr i syn jego Andrzej, będą dla ciebie przez całe twe życie równie bliscy, jak twoja własna rodzina! Przyrzekłem. — Głos dziadka był uroczysty i smutny.

— Pierwszy raz dowiaduję się o tych szczegółach od ojca! — poruszył się uczony na fotelu. — Słucham, ojcze, z głębokiem skupieniem.

— Przed rokiem — wpadł do Malinek Andrzej. Przedsięwziął olbrzymi jakiś interes, o którym opowiadał mi szeroko i długo. Mogło to dać istotnie ogromne zyski. Pochwaliłem sam plan rozwoju akcji. — Wojciechu! — powiedział mi wtedy, biorąc za obie ręce i wpatrując się magnetyzująco w oczy.— Potrzeba mi nagwałt znacznej sumy. Jeśli będę ją

miał — jestem pan, jeśli nie — przepadłem! — zakrył twarz dłonią i wyznał: — Mogę pójść do więzienia za długi! — głos pana Wojciecha załamał się w tragizmie wspomnień.

— I co?! — wpadł w drżące echo cichy szept słuchacza.

— Chętniebym ci pomógł, ale nie posiadam żadnych kapitałów, wyjaśniłem otwarcie! — Zażyruj mi weksel! — poprosił Andrzej i podsunął przygotowany znać papier. Spojrzałem. Wysokość sumy uderzyła mię jakby obuchem. — Mam własną rodzinę, Andrzeju! — powiedziałem. I nagle — z otchłani przeszłości wypłynęły ku mnie ojcowskie słowa: — Obiecaj mi, że będziesz bratem dla Andrzeja! — Wahałem się jeszcze. Wobec świętości danego przyrzeczenia — wahałem się, Zygmuncie! Kocham was!

— Biedny ojcze! — uczony wygłosił te dwa wyrazy takim tonem, jakgdyby wraz z niemi składał serce u stóp mówiącego.

Zapadło milczenie, nie cisza wszakże dzwoniła w uszach, ale silne tętnienie wzburzonej krwi. Zatopieni w roztrząsaniu sprawy, mającej dla jednego zupełnie wyraźne oblicze, dla drugiego przecież, będącej groźną zagadką — nie domyślali się obaj, że w tej minucie nie są już sami w salonie. Przed chwileczką — Ania wróciła do domu z Brygidką i weszła z nią przez kuchnię, gdyż wobec „niespodzianki", przywiezionej przez starszego pana z Malinek, Janowa, kucharka, zajęta była preparowaniem jej na kolację i nie mogła otworzyć drzwi frontowych. Mamusia układała na półkach w spiżarni resztę przysmaków wiejskich i porządkowała tam zawzięcie

przy tej okazji, na co trudno jej było zdobyć się wogóle. Ania przeszła tedy cicho do przedpokoju, rozebrała się sama i postanowiła wkraść się na paluszkach do salonu, gdzie — jak ją uwiadomiła Brygidka — „siedzi starszy pan u naszego pana!“

— Zawołam: A kuku, dziadziusiu! To dopiero będzie zabawnie! — myślała dziewczynka, podchodząc do niedomkniętych drzwi. Poważny ton rozmawiających drasnął niemile jej wrażliwą duszyczkę:

— Tak mówią jakby byli w kościele! — przeleciało jej przez główkę, ale wyciągnęła rączkę, aby ostrożnie połowę drzwi otworzyć i wlizgnąć się do pokoju, gdy słowa pana Zygmunta: — Biedny ojcze! — wypowiedziane z bolesnem wzruszeniem, powstrzymały ją na miejscu. Nagła cisza wprawiła małą w zakłopotanie.

— Co teraz mam zrobić? — wahała się niespokojnie. Przypomniały się jej słowa dziadka, że uczciwy człowiek nigdy nie podsłuchuje. Bała się ruszyć nóżką! Posadzka skrzypnie i co?!

— Wtedy Andrzej zatopił swój wzrok w moich oczach i zawołał: — Nie bój się, Wojciechu! Życie moje kładę tu w zastaw, że nie stracisz ani jednej kopiejki! Przeciwnie — podzielę się z tobą zyskami! Podpisałem — ale nie dla zysków, Zygmuncie! — brzmiał z tragicznym spokojem głos pana Wojciecha.

Znów cisza. Ania przytuliła się do drzwi i czeka. Może będą jakoś weselej rozmawiać, to wejdzie, a jest tak uwięziona we własną sieć pogardy dla „podsłuchiwania“, że boi się głośniej odetchnąć, aby nie zdradzić swej obecności.

— Domyślam się końca, ojcze! — mówi głucho, urywanym, jakby zdyszanym tonem uczony. — Zbankrutował i trzeba oddać pieniądze! Weksel ojca wart jest tyle, na ile opiewa!

— Tak. Tylko wiesz przecież, że mam wyciągnięty do ostatnich granic dług Towarzystwa Ziemskiego!

— Więc... głos zięcia łamie się w piersiach. — Trzebaby sprzedać Malinki.

— Tak, tak! — słowa dziadzia sieczą ostro powietrze.

— I nigdybyśmy już tam nie pojechali! — mówi uczony zdławionym głosem. — A w razie mojej choroby?... urywa i milczą obaj.

Ania opiera się plecami o drzwi i trzyma z całych sił klamkę, aby nie upaść. Co powiedział tatuś?!... Sprzedać Malinki!!!... Tak, tak!!!... świszczą koło niej słowa dziadka. — I nigdybyśmy już tam nie pojechali?!... wdzierają się w jej serduszko żale tatusia... Nigdy!... Boże, Boże!... Niech już rozmawiają głośno i dużo, byleby ona mogła uciec stąd do swego pokoju!... Drżą pod nią nóżki, a jak upadnie pod temi drzwiami, to już na całe życie przyklei się do niej ten wstyd, że „podsłuchiwała", że „szpiegowała"!... I dziadzio zapyta takim surowym głosem: — A gdzież twój h o n o r, Aniu?!...

— Nie trzeba mówić o tem Alince! Niech nie wie o niczem do ostatniej chwili! — przestrzega pan Wojciech.

— Oczywiście! — wyrzuca z siebie z trudem jedno, jedyne słowo uczony.

Przemyślałem całą tę sprawę, Zygmuncie i nie jest tak źle! — otrząsa się z przygnębienia nie zła-

many cierpieniem ojciec pani Aliny. — Zastosujemy się do nowego życia. Ty będziesz pisał podręczniki szkolne, doskonale są płatne, a przecież i w takiej pracy jest radość, kiedy się można przyczynić do wykształcenia naszej młodzieży. Ossolineum we Lwowie chętnie je od ciebie nabędzie. Ja zaś — dostanę posadę, może nawet niezgorszą w Centralnem Towarzystwie Rolniczem. Myślę, że zostanie nam jakaś sumka pieniężna ze sprzedaży Malinek. Życie potoczy się niby dawnem korytem, bo wszyscy będziemy mieszkali w Warszawie, tylko w sercu zostanie niezagojona rana! — Co powiedzą dzieci, Alinka, Ania?! A Bisia? Kochamy Malinki jak żywą istotę! Ha, trudno! Nie śmiem powiedzieć: Taki nasz los! — ale jak inaczej określić tragizm jakiegoś fatum, po za naszą wolną wolą?...

Ania nie słyszy tej długiej przemowy dziadka, który z umysłu tak się rozprzestrzenia, chcąc tchnąć nieco wiary w znękanego zięcia. Ucieka na wyprężonych paluszkach przez sypialnię rodziców do swego pokoiku i tam opada bez tchu na maleńki klęcznik z aksamitną, niebieską poduszką. Dziewczynka siada na niej, plecami do rzeźbionego w różanem drzewie ołtarzyka z wymalowaną na porcelanie Madonną Sykstyńską, do której Ania ma szczególną ufność, odkiedy sama się modli. Nic to, że nie jest zwrócona twarzą do tej Matki Bożej z malutkim Jezusikiem na ręku, ale w tej strasznej chwili pierwszej rozpaczy życiowej, skulona we dwoje maleńka czuje wyraźnie, że jest pod cudownym płaszczem swej Opiekunki. Nie może płakać, ani się modlić, tylko szepce urywanym, błagalnym

głosikiem: — Matko Boska! Ratuj Malinki! Daj Dziadziusiowi dużo pieniędzy!

Tymczasem w salonie pan Wojciech przerywa powtórnie gniotące ich obu milczenie:

— Nie chciałbym, abyś surowo osądził Andrzeja, mój drogi! Życiem ręczył za wartość swych planów i — już nie żyje! Sprawa nie jest jeszcze ostatecznie przesądzona. Może uda mi się spłacać podpisany przezemnie weksel częściowo? Może interesy nie są tak beznadziejne?! Wszystko to się za parę miesięcy wyjaśni! Nie trać odwagi, Zygmuncie! — mówi pokrzepiająco dziadzio, a sam myśli z żalem:

— Niepotrzebnie go tak zmartwiłem! Dopiero teraz widzę, że kilkuletnia choroba podkopała hart jego ducha. To nie ten Zygmunt, co dawniej! Nie stanie mi do pomocy, a zresztą — może naprawdę, chorzy patrzą trwożliwiej na życie wobec fizycznej ich bezradności. Źle się stało, źle. Ha! żal poniewczasie!

Salon napełnia się raptem wrzawą. Starsze dzieci wróciły z miasta i wybuchami „szalonej" radości witają gościa z Malinek. Brygidka nakryła dawno rozsunięty stół w jadalnym pokoju i mamusia woła czarownym swym głosem:

— Aniu! Aniu! Gdzie jesteś! Zaraz podadzą kolację!

Ania porywa się z miękkiej poduszki klęcznika. Przeciera szybko oczy, choć nie wylały ani jednej łzy, tylko bolą dziewczynkę niewiadomo z jakiej przyczyny. Biegnie do jadalnego pokoju, gdzie siedzą już wszyscy, a Brygidka wnosi z kuchni półmisek. Ania obrzuca rodzinę spojrzeniem. Tatuś

wygląda bardzo zmęczony i tak jakoś dziwnie patrzy, jakby był senny i miał na powiekach ciężary. Dziadzio uśmiecha się do małej, wyciąga ręce i tuli ją do siebie:

— Widzisz, maleńka?! Bisia przysłała wam kurczątka, po pół na każdego, bo to wielki teraz rarytas! W kwietniu — kurczątka! Pamiętasz, Aniu, jak chodziłaś z Bisią codziennie do inkubatora pilnować płomyczek lampki?! Masz teraz za to nagrodę!

Ania zsuwa się prędko z kolan dziadziusia, bo na takie rzeczywiste wspomnienie Malinek czuje straszny ból w sercu. Łzy podpływają jej pod powieki, więc siada na swem krzesełku i spuszcza nieco główkę, aby je ukryć.

Brygidka obnosi dookoła półmisek, wywołując gruntowne zachwyty Hali i głośne wykrzykniki Michasia.

— Jak oni mogą jeść?! — myśli Ania i patrzy z pod oka na całe grono. — Prawda, że Michaś, Pawełek i Hala i mamusia — nie wiedzą! Ale tatuś wie — i ma przed sobą kurczątko! I dziadziuś także zajada! Jak można w takim smutku ruszać ustami, kiedy te łzy tak się cisną do gardła?!

Mamusia kładzie na talerz dziewczynki połowę zrumienionego ślicznie kurczątka i dodaje jej galaretki z porzeczek, poczem zabiera się sama do ulubionej potrawy.

— Dziękuję! — mówi Ania cichutko. — Ja nie mam apetytu!

Wszyscy przerywają jedzenie i przyglądają się małej ze zdziwieniem:

— Nie masz apetytu na kurczątko?! — woła

mamusia niespokojnie. — Chyba jesteś chora?! Przyznaj się, Aniu! Może coś cię boli?!

— Nie! — wyznaje dziewczynka z trudem.

— Więc cóż to za kaprysy?! — unosi się gniewnie mamusia. — Odpowiedz mi zaraz: dlaczego nie chcesz jeść?!

Ania opuszcza jeszcze niżej główkę, aż złote loki spadają po dwóch stronach na jej ramionka i odkrywają białą szyjkę. Milczy zawzięcie, tylko prawą rączką wykręca aż do bólu — paluszki lewej. W ten sposób oderwać chce myśl swoją od Malinek, do których już nigdy, nigdy nie pojedzie! A te łzy! Jak na złość są już pod powiekami i Ania czuje, że jeszcze chwilka, a zaczną spadać kroplami na jasną sukienkę... A przecież to sekret i mamusia nie ma o niczem wiedzieć! Niemożna płakać, niemożna! — powtarza sobie dziewczynka w myśli i wykręca zapamiętale paluszki pod stołem.

— Znowu zacięłaś się, Aniu! — mówi mamusia ostro. — Taka byłaś grzeczna, myślałam, że to już przeszło nazawsze! Widzę, że trzeba ciebie ukarać! Jeśli raz jeszcze taki upór się powtórzy, to nie pojedziesz do Malinek na wakacje!

— Nie pojadę do Malinek!... Ach! gdyby mamusia wiedziała! — i nagle serduszko dziewczynki tak się skręca w strasznym porywie żalu, jakgdyby było wyżymaną przez praczkę bielizną, ociekając nie wodą wszelako, ale — rzęsistemi łzami, toczącemi się cicho po twarzy i niewidocznemi dla wszystkich, bo Ania opiera czoło o brzeg jadalnego stołu.

Dziadzio z uczonym porozumiewają się wzrokiem. Czyżby mała słyszała?! Ale nie! Nie było

przecież nikogo w pokoju, a potem wśród zupełnej ciszy — każdy szmer zwróciłby ich uwagę.

Fijołkowe oczy pani Aliny rzucają płomyki gniewu. Milczenie Ani doprowadza ją do wybuchu:

— Wstań od stołu i idź do swego pokoju! Zmów sama pacierz i kładź się do łóżka! Może przez noc przyjdzie na ciebie opamiętanie!

Nareszcie! Chwała Bogu! Ania zsuwa się prędko ze swego krzesełka i szlochając na cały głos, wybiega z jadalni. Już teraz może płakać i łkać ile się jej podoba! Nikogo to nie zdziwi, po takich przykrych słowach mamusi!

W jadalnym pokoju cisza. Starsze dzieci pomarkotniały. Biedne Aniątko! Mamusia jest rozdrażniona i fala wzburzonej krwi opływa jej śliczną twarz:

— To dziecko ma *„les défauts de ses qualités!“* — zwraca się do dziadzia. — Przyznaję, że ma wolę, ale złamię jej upór! Muszę złamać! — powtarza stanowczo. — Daj nam herbatę, Brygidko i idź do Ani. Pomóż jej rozebrać się i wejść do łóżeczka! Ja już tam dziś nie pójdę!

Ania klęczy na miękkiej poduszce klęcznika i modli się. Rączki ma splecione i wznosi je błagalnie do góry, niby dwa różowe kwiatki, oparte o stopy malowanej w ołtarzyku Madonny. Wątłe jej ramionka drżą od niepowstrzymywanego szlochania. Słowa najpiękniejszej modlitwy: Ojcze nasz..., słowa, rozumiane istotnie dzięki wielokrotnemu tłumaczeniu ich przez tatusia — rwą się wśród łkań z jej piersi.

— Chleba naszego... powszedniego... daj nam, Boże... z Malinek... Jezusiku maleńki... daj nam

chleba... z Malinek... Nie zabieraj Malinek... wplata dziewczynka dramat swej zbolałej duszyczki w pełne ufności wyrazy pacierza. — I przebacz nam... nasze winy...

Modlitwa skończona, ale dziewczynka jeszcze klęczy i szlocha. Brygidka wchodzi do pokoju, podnosi maleńką i tuli do swej szerokiej piersi:

— Cicho, Aniątko! — mówi poczciwym głosem. — Jutro przeprosisz mamusię i wszystko będzie dobrze! Schowałam dla ciebie pieczyste i galaretkę. Zjesz to sobie na śniadanko! Dobrze, pieszczoszko?! Dlaczego tak płaczesz, złotko?!

— Brygidko!... Brygidko!... łka Ania, składając główkę na ramieniu zażywnej dziewczyny. Nie może nic więcej powiedzieć, nie może podzielić się z nikim tą straszną nowiną!... Przed mamusią — to sekret, a dziadzio i tatuś możeby jej nie uwierzyli, że to tylko niechcący... i dziewczynka walczy samotnie z ciężarem, uciskającym jej małe serduszko.

— Jaki ja mam kamyczek na piersi! — myśli i oddycha głęboko. — Trzyma się ciągle. Czy ja będę z nim rosła?! — dziwi się niespokojnie.

Już mała rozebrana i umyta — leży za siatką w swem biało-niebieskiem łóżeczku. Brygidka wyszła, zaświeciwszy nocną lampkę pod szafirowym kołpaczkiem. Tak cicho w pokoiku, bezpiecznie, ale sen nie przychodzi na spłakane oczęta Ani, która przywarła całą twarzyczką do poduszki i leży zmęczona bez ruchu. Mamusia i dziadzio wsuwają się na palcach, stają na progu i patrzą:

— Śpi! — szepce pani Alina. — Widocznie zdrowa! — przebaczyła już swej córeczce to „zaci-

nanie się" i gotowa przesiedzieć przy niej przez noc całą.

— Nie budźmy jej! — odpowiada równie cichutko dziadzio — i z największą ostrożnością wychodzą z sypialni dziecka, nie wiedząc zgoła, że w tej chwili właśnie rodzi się w zbolałem serduszku ukochanej przez nich istotki — perła zmagania się z cierpieniem — owoc pierwszej walki z uroczystą tajemnicą — Losu i Życia.

ZERWANA STRUNA.

Ania spędziła noc niespokojnie. Widzenia senne, pełne okrutnej grozy, kilka razy mąciły jej wypoczynek. Zdawało się dziewczynce, że jest w salonie w Malinkach i że od sufitu zwiesza się olbrzymi pająk, sięgając potwornemi swemi chwytami do najdalszych kątów pokoju. Ania skuliła się, drżąc cała i przykucnęła za jesionową kanapą w rogu. Ale i tam dojrzała nad głową czarną, kosmatą łapę... Obudziła się zlana potem i usiadła wyprostowana na łóżeczku.

— Jestem na Brzozowej — pomyślała — i niema żadnego pająka! Jak to dobrze, że Brygidka zaświeciła lampkę! Kochana Brygidka! — i, obróciwszy się na drugi bok, postanowiła zasnąć.

Znów jest w Malinkach, w sypialni dziadzia. Jakaś okropna wiedźma siedzi pod jednem z trzech okien i przędzie na kołowrotku, aż furczy wrzeciono. Szare pasma lepkich, wstrętnych nici wypełzają z pod jej stóp i owijają się dookoła drobnej postaci Ani. Dziewczynka nie może się ruszyć, nie może wydobyć głosu ze zmartwiałej piersi i patrzy osłupiałym wzrokiem, jak te obrzydłe zwoje pełzną od nóg coraz wyżej... Już są koło gardła, duszą ją, dławią...

Ania wstrząsa się rozpaczliwie i otwiera oczy.

— Zrobię tak jak mi radził dziadzio! — myśli i żegna się pobożnie, ale nie śpi do rana. Dopiero kiedy pierwsze promienie słońca napełniają miłą jasnością pokój dziewczynki przez opuszczoną roletę — Ania usypia zdrowym, kamiennym snem i nie słyszy zupełnie dziwnego zamętu w sypialni rodziców.

Budzi się późno, wypoczęta, choć smutna. Kamyczek na piersi spoczywa wciąż nieruchomo i ciąży nieznośnie.

— Muszę się z tem pogodzić! — rozumuje bezgłośnie Ania. — Będę już teraz „dziewczynka z kamyczkiem“, tak jak w tej bajce była „królewna z myszką“. Ale ona była strasznie ciekawa i dlatego tak ją wróżka ukarała! A ja?! Jestem uparta! Może to za to kara?! Dlaczego nie przychodzi do mnie Brygidka?! Czy to tak wcześnie?!... Zadzwonię na nią! — i naciska paluszkiem elektryczny dzwonek.

Za chwilę wsuwa się do pokoju na palcach Brygidka. Oczy ma zapłakane i drżące usta. Podchodzi do Ani i mówi szeptem, z głębokim współczuciem:

— Tatuś chory, Aniątko! Taki tu był skręt nad ranem, że nie pojmuję jak mogłaś spać przy takim hałasie?!

— Tatuś chory?! — dziwi się Ania. — A wczoraj jadł z takim apetytem kurczątko!

— Bogać tam jadł! — pochlipuje cicho Brygidka. — Ot, podłubał tam trocha widelcem i tyla! Ja już wczoraj wieczorem, jak pomagałam panu przejść do łóżka, to widziałam, że ledwo dycha! Już nie jeden raz tak bywało, tylko pan zawsze na-

kazywał, żeby pary z ust nie puścić przed panią. Weźmie lekarstwo, prześpi się pan, a z rana wcale inaczej patrzy mu z oczu! Ale teraz to zupełnie jego zatchnęło, biednego, bo leży sobie i ani przemówi! — szeptała Brygidka, pochyliwszy się nad dziewczynką i ocierając fartuchem łzy, spływające uparcie po twarzy.

Ania słuchała jej z roziskrzonemi od lęku oczyma. Porwała się szybko z pościeli, ujęła ręką krawędź łóżeczka, przerzuciła kolejno nóżki przez dość wysoką siatkę i stanęła na krześle, poczem zsunęła się na posadzkę:

— Ja chcę zobaczyć mego chorego tatusia! — i pobiegła ku drzwiom.

— Zaczekaj, Aniu! Ubierz się! Niemożna w koszulce! — perswadowała Brygidka, ale dziewczynka już nacisnęła klamkę i popchnęła lekko drzwi.

Spojrzała przez uchyloną szczelinę. Na łóżku leżał bez ruchu uczony i ciężko dyszał. Dziadziuś siedział przy nim na krześle ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, nie odwracając smutnych oczu od zmienionego oblicza zięcia. Nikogo więcej nie było i w zupełnej ciszy pokoju, nagły szelest zwrócił na tychmiast uwagę pana Wojciecha. Zobaczył złotą główkę wnuczki, uśmiechnął się blado, wstał i na palcach zbliżył się do niej.

— Wróć, dziecko, do swego pokoiku i ubierz się! — powiedział półgłosem. — Weszli razem do dziecięcej sypialni. — Brygidko! Posiedź tymczasem przy panu — usiadł i wziął Anię na kolana:

— Tatuś bardzo chory, maleńka! Już był ksiądz z Panem Bogiem. On taki pobożny i pragnął zawsze,

aby jego spowiednik był przed doktorem w razie choroby! Wierzył — że to mu pomoże!

— Napewno pomoże, dziadziu! Tatuś tak kocha Pana Boga! Rozmawia z Nim co wieczora! — uradowała się mała, przytakując główką.

— Telegrafowałem po Bisię i myślę, że powinna zdążyć na pociąg. Będzie tu po południu, a tymczasem posłałem po panią Spendowską, aby zajęła się domem, bo mamusia tak desperuje, że do niczego nie jest zdolna! Zjedz śniadanie i idź do niej. Popieść ją i pocieszaj! Będziemy ratowali tatusia i przy pomocy Bożej — może to nam się uda! Zaraz przyjdzie doktor Wincenty z dwoma kolegami. Wracam do tatusia i przyślę ci w tej chwili Brygidkę. — Ucałował serdecznie małą i, postawiwszy ją na ziemi, wysunął się z pokoju. Tuż za drzwiami natknął się na Brygidkę, która oznajmiła mu szeptem:

— Proszę pana! Już przyszli doktorzy.

Zbytecznem jednak było to ostrzeżenie, gdyż wielki i szczery przyjaciel chorego, doktór Wincenty, brunet o żywych oczach, w których zacność splatała się harmonijnie z bystrością — wprowadzał już swych kolegów do sypialni uczonego. Zabrali się wnet wszyscy trzej do badania, przerzucając się od czasu do czasu medyczną terminologją w łacińskim języku. Twarze ich opanowane i mądre nie zdradzały żadnego wrażenia. Mieli przed sobą zaatakowany groźnie organizm ludzki i wytężali całą siłę rozumu i wiedzy, aby odgadnąć przyczynę choroby i, odgadnąwszy — pokonać!

— Może się czemś wstrząsnął, albo wzruszył?— rzuca pytanie najstarszy z przybyłych, profesor uniwersytetu warszawskiego, badając serce chorego.

— Wzruszył się! — odpowiada bez wahania pan Wojciech, stojąc naprzeciw lekarzy wyprostowany i nieugięty. — Złudzony jego pozornie dobrym stanem, miałem nieostrożność powiedzenia mu wczoraj o moralnym i materjalnym ciosie, jaki zagraża naszej rodzinie! — milknie, ale jego niebieskie oczy promieniują wyraźną myślą:

— Sądźcie mnie! Jestem winien!

Lekarze spoglądają na siebie. Dramat, rozgrywający się w tem dotkniętem gnieździe rodzinnem, przebija pancerze ich sztucznej obojętności i dociera do serc, wzruszających się ludzką niedolą. Wracają do przerwanego opukiwania, podnosząc ostrożnie chorego, który — wyrwany z nieprzezwyciężonej senności — bełkoce z trudem:

— Źle ze mną! — i opuszcza powieki.

— Nie jest wcale tak źle! — przemawia gorąco doktór Wincenty, biorąc żywo przyjaciela za rękę i potrząsając nią niepotrzebnie z nadmiaru uczuć. — Jesteś przytomny — to wielki atut! Mówię ci prawdę, Zygmuncie!

— Śpi! — szepce drugi doktór, podtrzymując ramieniem chylącego się nań bezwładnie chorego. — Trzeba wysłuchać płuca!

Badanie skończone. Doktorzy wodzą po sobie wzrokiem i rozumieją się bez słów. Pociągają w najodleglejszy kąt pokoju pana Wojciecha i otaczają go tam dookoła.

— Czcigodny i kochany Panie Wojciechu! — mówi zdławionym głosem doktór Wincenty, kładąc rękę na jego ramieniu. — Niepotrzebnie pan sobie czyni wyrzuty! Podtrzymywaliśmy już oddawna serce, które wciąż słabło. Ciężka krew, niedowład

nóg — sprawa jasna jak słońce! Podejrzewamy jeszcze pęknięcie naczyńka w mózgu. Sprawdzają się nasze obawy z przed kilku lat! Przytem ta śpiączka...

— Więc stan Zygmunta?!...

— Groźny! wyznają wszyscy. — Jest zaledwo dziesięć procent na sto — nadziei ratunku! Jedyna szansa, to jego przytomność! Kto wie?! Zapiszemy zastrzyki. Nie należy wątpić do ostatniej chwili! Zresztą — zdarzają się cuda! Niedocieczona jakaś przyczyna może niekiedy jak dźwignia podnieść z upadku najrozpaczliwszy stan pacjenta! W każdej porze gotowi jesteśmy na wezwanie! — i odchodzą, ściskając szczerze i ze współczuciem ręce pana Wojciecha.

Po obiedzie przyjeżdża Bisia. Jest zupełnie spokojna i trzeźwo na pozór rozstrząsa z dziadziem program dnia i nocy i plan całej wytężonej walki o życie chorego. Serce jej krwawi się jednak, gdy spogląda na przymknięte oczy, wpół otwarte usta, nieruchomą postać — i gdy słyszy chrapliwy oddech pana Zygmunta.

Przechodzi dni kilka wśród nieustających, troskliwych, rozpaczliwych wysiłków. Mamusia pielęgnuje również chorego męża i czyni to z niezrównaną umiejętnością, ale nie może nigdy zostać sama przy łożu chorego, bo poddaje się chwilami wybuchom rozpaczy i zanosi się wówczas spazmatycznym płaczem. Trzeba ją wyprowadzać z pokoju, bo słabnie jak wiotka trzcina.

Starsze dzieci chodzą do szkoły i przygotowują lekcje pomimo łez i ciężkiego zmartwienia. Nie dałyby potem rady z nawałem opuszczonego mater-

jału, a nie pozwalają im na pielęgnowanie tatusia. Nie mają doświadczenia i sprawa to zbyt wielkiej, przeogromnej wagi dla rodziny, więc tylko dziadzio i Bisia trwają niezmordowanie na stanowisku. Doktór Wincenty zagląda dwa razy dziennie na Brzozową, ale po każdej takiej wizycie posępnieje coraz wyraźniej. Cała bliższa i dalsza rodzina poruszona jest do żywego zapowiedzią tragicznej katastrofy, jaka zdaje się wisieć niby miecz Damoklesa nad głową drogiego wszystkim krewnego. Stryj Benedykt, jednolatek i kolega gimnazjalny Zygmunta, będący istotnie jego stryjem, ale wobec równości wieku uważany raczej za brata — ofiarowuje najchętniej swe usługi w czasie nocnych dyżurów przy łożu chorego. Ma złote serce, co nie przeszkadza mu wcale w szorstkiem mówieniu i pochrząkiwaniu często i mocno, ale co razem wzięte uniemożliwia najzupełniej rolę pielęgniarki, którąby spełniał z prawdziwą czułością, stąpając na podobieństwo mrukliwego niedźwiedzia. Jego żona, stryjenka Rozalja, nadawałaby się stokroć lepiej do tej opieki, ale jeden z trzech jej synów ma — dzięki zbyt wczesnym kąpielom w Wiśle — zapalenie płuc, lekkie wprawdzie, wymagające przecież nieustannej matczynej dbałości. Dwie siostry uczonego — wdowy — mieszkają na wsi, daleko. Są o lat kilka starsze od niego i ociężałe. Pojmują, że przyjazdem uczyniłyby więcej kłopotu, niż rzeczywistej ulgi, poprzestają tedy na codziennych depeszach z trwożnem pytaniem o stan chorego.

Ania wychodzi na przechadzkę i po zakupy do miasta z panią Spendowską, a w domu pociesza mamusię, gdy biedna leży, szlochając na łóżku w po-

koju Hali, albo też modli się, prosząc Matkę Boską z rzeźbionego ołtarzyka — o cud. Dziadzio jej tak powiedział, więc i ona wierzy, że „modlitwy małych dzieci są wysłuchane przez Opatrzność, która czuwa nad każdym ptaszkiem i nad każdą trawką!“ Trzeba tylko być bardzo grzeczną i nie sprawiać przykrości nikomu, to Matka Boża uśmiechnie się, kiwnie główką i powie, nie poruszając ustami:

— Dobrze, Aniu! Tatuś będzie żył!

Piątego dnia po południu dziadzio silnie poruszony i blady, wchodzi do pokoju małej.

— Chodź, dziecko, do tatusia! — mówi głucho i prowadzi ją za rączkę. Wchodzą do sypialni chorego. Duszny zapach lekarstw uderza dziewczynkę.

— Jaki tatuś blady! — myśli, wpatrując się w drogą twarz ojca. — Jakie ma chude policzki, jakby je wciągnął w siebie dla zabawy! I tak oddycha prędko, tak ciężko! Czy ma także kamyczek na piersiach?! — i chce już się o to zapytać dziadziusia, ale słyszy tuż obok jego łagodny i cichy głos:

— Uklęknij przy mnie, Aniu! — klęka więc koło łóżka tatusia, i czuje ramię dziadzia, opasujące ją tkliwem objęciem.

Pokój napełnia się zwolna całą rodziną. Bisia poszła po mamusię, która po strasznym ataku płaczu, ma taki ból głowy, że nie może jej unieść z poduszki, ale Bisia siada obok niej i przemawia tak dobrym głosem, jakgdyby cała jej męska energja ustąpiła miejsca kobiecej słodyczy:

— Czy możesz wstać, Alinko?! Powinnaś być teraz przy mężu! Chodź! Pomogę ci przejść do jego

pokoju! — i wyciąga ręce do pani Aliny, która podnosi się znagła na łokciu i woła z rozpaczą:

— Co Bisia chce powiedzieć?! O, mój Boże! mój Boże! — i opada na poduszki niby kwiat o podciętej łodydze. Strumienie łez zraszają jej śliczną, zbolałą twarz, przynosząc ulgę słabej naturze, niezdolnej do stawiania mężnego oporu Życiu, godzącemu w nią ostrzem cierpienia. Oparta o silne ramię Bisi zjawia się w sypialni męża, drżąc od powstrzymywanych łkań i klęka tuż przy nim, opierając głowę o jego nieruchomą dłoń.

Bisia, klęcząca opodal z panią Spendowską, rozpoczyna odmawiać z nią modlitwy o śmierć szczęśliwą. Brzmiące głucho w ich ustach, żałosne wyrazy splatają się ze szlochaniem dzieci i służby. Potoki łez płyną bez przerwy z zielonych oczu Hali, która wepchnęła sobie do ust chustkę, aby w ten sposób przytłumić nieco, podnoszące jej piersi łkania. Michaś przyklęknął na jedno kolano, podparł głowę ręką i przysłonił nią oczy. Usiłuje powstrzymać niemęskie oznaki wzruszenia i bólu, ale łzy toczą się po ręce i znikają w rękawie munduru. Tuż obok niego upadł na oba kolana Pawełek i rozpaczliwym wzrokiem przykuł się do twarzy umierającego ojca.

— Jakto?! — buntuje się przeciw losowi. — Ten najdroższy nasz przyjaciel, opiekun, ojciec rodziny, ma nas porzucić bez pożegnania?! Bez jednego ciepłego słowa?! I ci ludzie nauki nie mogą przywrócić mu na chwilę przytomności?

Pani Alina nurza się tak w boleści, że trwa w zgiętej napół postaci równie nieruchoma jak chory na łożu. Zimno, ogarniające zwolna schorzałe ciało i dłoń męża, o którą dotyka rozpalonem swem czo-

łem, przenika jej serce nawylot, niby lodowe ostrze. Odchodzi od niej tyloletni towarzysz, wierny, oddany, kochający bezbrzeżnie...

Rozdzierający okrzyk: — Zygmuncie! — rwie się z jej piersi.

I nagle — staje się cud. Duch umierającego, który wyzwala się już z więzów doczesności i rozpoczyna wędrówkę po zaziemskim szlaku — zawraca z drogi i powstrzymuje na jedną chwilę. Na dźwięk tego ukochanego ponad wszystko na świecie głosu, powieki uczonego podnoszą się wolno, głowa jego pochyla się w stronę żony, oczy patrzą przytomnie i błogi uśmiech okrąża pobladłe wargi.

— Tatusiu! — woła z radością Ania, która jest pewna, że stał się ów cud i że jej modlitwy są wysłuchane.

Powtórny uśmiech, będący jakgdyby wzmocnieniem pierwszego przywiera do ust odchodzącego wędrowca. Ale już znika minuta cudu. Powieki konającego zwierają się ciężko, głęboki, bolesny oddech podnosi pierś jego, która opada gwałtownie i trwa w kamiennym spokoju. Duch uczonego szybuje już ku Przedwiecznemu Źródłu, z którego przed laty wziął swój początek. Tylko z ust, opuszczonej przezeń cielesnej postaci, nie schodzi błogi, radosny uśmiech, świadczący o szczęśliwości ostatniej chwili ziemskiego istnienia.

Łkania wszystkich obecnych przepełniają sypialnię żałosnym odgłosem. Jedna Ania nie płacze. Jej ciemno-niebieskie oczy poją się widokiem uśmiechu ojca.

— Dlaczego oni tak szlochają?! — myśli. — Przecież tatuś jest szczęśliwy. Tak się uśmiecha we-

sołο! Rozmawia pewno z Panem Bogiem i mówi o nas!

Dziwi się dziewczynka wybuchom żalu rodziny, bo nie zna jeszcze Anioła Śmierci, który z nieporuszonem po spełnionym wyroku obliczem — stoi u wezgłowia zmarłego, powlekając kirem żałoby pogodne dotychczas i szczęśliwe gniazdo rodzinne na Brzozowej.

PIORUNY I TĘCZE.

Pan Wojciech wracał wolantem ze stacji kolei do domu. Żniwa były w całej pełni i roztaczający się przed nim krajobraz przecinały we wszystkich kierunkach szeregi czwororamiennych półkopków, ginących w bezkresie dalekiego horyzontu. Jadący nie zachwycał się wszakże urokiem żniwnego bogactwa polskiej ziemi, ale osunął się na sprężynowe poduszki i pochylił ciężko głowę na lewe ramię. Twarz jego powleczona była smutkiem, a skronie zapadły zlekka. W piersiach czuł chłód przejmujący pomimo lipcowego wieczoru.

Przed kilku godzinami podpisał w Lublinie akt sprzedaży Malinek, a chociaż warunki były wyjątkowo korzystne i nowy nabywca, pan Dominik Żaba, Litwin z rodu, a obecnie bogaty przemysłowiec i właściciel kopalni na Uralu — okazał się skończonym gentleman'em przy omawianiu ostatecznych warunków, ale sam fakt wyzbycia się Malinek wstrząsnął ich właścicielem do głębi. Prócz tego miał przed sobą perspektywę jeszcze trudniejszej przeszkody do wzięcia, a było nią — odkrycie rzeczywistego stanu rzeczy córce i wnukom. Osierocona bowiem rodzina Zygmunta zjechała jak dawniej na wakacje do dziadka. Czas złagodził już nieco pierwszy ostry ból rozstania, przepajając na-

tomiast serca czcią dla świetlanej pamięci zmarłego. Tylko Ania nie uznawała śmierci tatusia. Dla niej on zawsze żył, ale — w niebie, wśród chóru aniołów i w bliskości Boga, z Którym często i przyjaźnie rozmawiał. Z początku — dziewczynka, przychodząc na ranne śniadania, wołała, podnosząc do góry główkę:

— Dzieńdobry, tatuśku! — czem wywoływała spazmatyczny płacz matki.

— Nietrzeba rozdrażniać mamusi, Aniątko! — tłumaczył jej Michaś, wyprowadzając z jadalni i biorąc ją na kolana. Od czasu śmierci ojca chłopak ogromnie spoważniał i przejął się rolą „starszego brata" z całym zapałem swej impulsywnej natury. — Poco tak głośno wołać?! Powiedz to samo cichutko!

— Boję się, Michasieńku, że tatuś nie dosłyszy i smutno mu będzie, że zapominam o nim! — ciemno-niebieskie oczy małej spoczęły wahająco na bracie.

— Napewno dosłyszy, napewno! — wmawiał w nią chłopak z akcentem szczerości. — Słowa takiej małej córeczki lecą do nieba jak ptaszki i trafią tam, gdzie potrzeba. Bądź spokojna, Aniątko!

— Dobrze, Michasiu! To ja już będę szeptała: dzieńdobry i dobranoc, a o szarej godzinie pójdę zawsze do salonu na Brzozowej, albo w Malinkach i będę sobie rozmawiała z tatusiem po cichu! — przyrzekła Ania.

Dziewczynka poweselała nieco, przyjechawszy na lato do ukochanych Malinek. Obawy jej, że już nigdy ich nie zobaczy, przygasły, ale nie znikły wcale. Posłyszana, smutna rozmowa tatusia z dzia-

dziem wyorała zbyt głębokie ślady w wiernej pamięci dziecka, aby mogło ono teraz nie odczuwać lęku przed czemś nieznanem, groźnem, a tajemniczem!

— Dziadziu! — spytała kiedyś, podchodząc cichutko do stojącego na ganku i zagłębiającego śmiałe wejrzenie w nieznane dale mrocznej przyszłości. — Czy dziadzio tak patrzy w oczy niebezpieczeństwu?!

Pan Wojciech pochylił głowę, darząc wnuczkę ciepłym uśmiechem:

— Tak, dziecko! Odgadłaś!

— To znaczy — mała westchnęła z ulgą — że ono się zlęknie dziadziusia i pójdzie sobie i więcej nie wróci! Tak mi przecież dziadzio kiedyś tłumaczył! — słała doń szafirowe spojrzenie rozweselonych źrenic.

Wszystkie te wspomnienia wślizgiwały się do pamięci jadącego do Malinek, byłego, niestety, ich właściciela. Głuche warczenie oddalonego grzmotu targnęło jego słuchem w tej chwili. Jednocześnie baniemal Antoni odwrócił się na koźle, mierząc badawczym wzrokiem odległość nadciągającej burzy. Na zachodzie — słońce wisiało nisko, a piętrzące się zwały chmur przykryły je prawie zupełnie, osłaniając ciemnemi brzegami żarzącą się jaskrawym niewielkim krążkiem purpurę. Zresztą — paleta nieba mieniła się granatowo-stalowemi barwami, wysyłając nad głowami jadących, szare, nabrzmiałe kroplami chmurki, zwiastunki niechybnej ulewy.

— Trzeba popędzać, proszę pana, bo zmokniemy na amen! — zadecydował krótko. — Jak Pan Bóg chce ukarać, to rozum odbiera! Głupi jestem,

że nie wziąłem powozu z budą! — i trącił prawego biczem, na co jako raźna odpowiedź, oba jablkowate szpaki własnego chowu, wyciągnęły kopyta, rwąc naprzód wolant w ostrym i przyśpieszonym kłusie.

Grzmot znów zadudnił przeciągle, a czarne chmury zionęły raz po raz bladym migotem błyskawic. Widać już było wieżyczkę dworu w Malinkach i oczy pana Wojciecha przylgnęły do utopionej wśród fali zieleni siedziby rodzinnej.

— Tracimy to, co się nazywa w języku ludzkim: podstawą bytu! — pomyślał z bólem. — Cóż bowiem na świecie może zastąpić własny dach na własnej ziemi? Zygmunta niema. Mój wiek — podeszły, Alinka zaś tak niepraktyczna! I czworo dzieci do wychowania! Jest nad czem się zastanowić, niestety! Jak dobrze się złożyło, że pojechali wszyscy w sąsiedztwo na imieniny tej miłej i dobrej pani Janiny. Rozerwą się trochę, a ja w samotności przyjdę do siebie i wypocznę po ciężkiem przejściu. Niedobrze się czuję... Już kilka razy miałem takie przykre duszności... Ale myślę, że do jutra to minie i będę mógł ich powitać spokojną, pogodną twarzą!

Szpaki zajeżdżały wyciągniętym kłusem przed ganek i w tejże chwili grube krople deszczu posypały się gradem, zmieniając się szybko w pęczniejące wciąż sznury ulewy. Wicher przeleciał nad czubami drzew, zmuszając je do uniżonych i wykręcających się na wszystkie strony ukłonów. Kanonada grzmotów stała się bliższą, jakgdyby niewidzialny wróg zajął dogodniejsze pozycje.

Pan Wojciech wysiadł ociężale z wolantu i schro-

nił się pod okap ganku. Jakób otwierał pośpiesznie drzwi, a wślad za nim panna Balbina ukazała się w przedpokoju.

— W samą porę uciekł pan przed burzą! — powiedziała z zadowoleniem, a na widok przygasłego spojrzenia gospodarza domu, szepnęła mimowoli:

— Znów jakieś nowe przykrości?!

— Nie. Tym razem jedna — ale wystarczy za wszystkie! — zdobył się dziedzic na żartobliwą ironję i wszedł do jadalni, kierując się wprost do staroświeckiego fotelu. Usadowił się w nim powoli i zwrócił oczy ku stojącym opodal najzaufańszym swym domownikom:

— Za kolację dziękuję. Proszę natomiast o dwie szklanki gorącej herbaty z cytryną i rumem. Przeziębiłem się chyba, tak mi zimno dolega — przyłożył rękę do piersi. — Mój Jakóbie, podaj mi ten ciepły pled w kratę. Dobrze. Tak, tak, owiń mi kolana i nogi. No, no, stareńki, pocóż wytrzeszczasz gały?! — uśmiechnął się blado. — Do jutra przejdzie to wszystko!

— Możeby lepiej położyć się do łóżka! — zaproponowała ostrożnie panna Balbina, wiedząc, że dziadzio nie lubi rad co do zdrowia.

— Nie. Jestem nieco podniecony i nie uleżałbym w łóżku. Tak mi jest doskonale. Czekam na herbatę i proszę — zostawcie mnie w samotności.

Opuścili natychmiast pokój bez słowa. Za oknami szalała letnia, gwałtowna burza. Grzmoty przewalały się jedne po drugich w niewielkich odstępach ciszy, jakgdyby niewidzialny olbrzym sunął pięścią po hałaśliwej klawiaturze niebios, powtarza-

jąc z uporem swoje huczne „*glissando*“. Gdzieś niedaleko strzelił znienacka piorun, rozorując w ciemnej czeluści horyzontu wężykowatą, jaskrawą szczelinę.

— A teraz — zgaś lampę, Jakóbie! — nakazał pan Wojciech po wypiciu duszkiem niemal herbaty. — Ogrzałem się trochę. Idź do swego pokoju. Gdybym ciebie potrzebował — zadzwonię — i, przytuliwszy głowę do jednej z bocznych poduszeczek przepaścistego fotela — przymknął z ulgą powieki.

Migotanie błyskawic wpadało z dwóch stron do jadalni, zajmującej w Malinkach całą szerokość dworu i mającej cztery okna: od wschodu i od zachodu, co nieraz przedtem dawało szczęśliwemu posiadaczowi pretekst do żartów, że w jego królestwie nigdy nie znika słońce, podobnie jak ongi u dumnego króla Hiszpanów. Ale żarty były już teraz dalekie od znużonego umysłu dziadka Wojciecha. Pomimo rozgrzewającego napoju zimno nie opuściło go wcale, osuwając się raczej stopniowo z piersi ku nogom, okrytym grubym, wełnianym pledem. Sen nie przychodził również na zawołanie. Wicher natomiast obiegał stary dwór dookoła, nakształt czujnej i chytrej bestji, węszącej najsłabsze miejsce w szczelnie zamkniętej budowli. Syczał i gwizdał z brutalną dzikością, uderzał w szyby, wpierał się w blachę pokrycia, aż falowała z głuchym łomotem. Bicze ulewy tańczyły po niej dudniącą bez przerwy sarabandę, uzupełniając orkiestrę grzmotów nieustającym chlupotem.

Pan Wojciech otworzył oczy i spojrzał przez okno. W zimnych falach błyskawic gięły się i sza-

motały, poddając się beznadziejnie porywom oszalałej wichury — niebotyczne srebrne topole. Całe błogie dziecięctwo stanęło naraz w pamięci, walczącego z dziwnem obezwładnieniem, samotnego dziedzica Malinek. Potem — wraz z zamieraniem i odradzaniem się świetlnem błyskawic — przeniosło się przed nim w jędrnym i wyrazistym skrócie, całe jego życie — pracowite, owocne, czyste bez skazy. Widzi siebie młodzieńcem po powrocie z Syberji. Pracuje od świtu do nocy. Spłaca ojcowskie długi. Nie tak to łatwo było uzbroić cały oddział powstańczy z jednych niewielkich Malinek! Kocha się bez pamięci w cudownej dziewczynie! Ślub! Szczęścia jak słońca bez granic! I szczebiot dziecka! Alinka rośnie, pięknieje! Cień pada na blaski! Umiera żona! I drugi cień, złowrogi cień... Edmunda!...

Pan Wojciech się wstrząsa.

Za oknami ciemność głęboka. Przeciągły huk pękających piorunów tak brzmi rozgłośnie jak wspaniałe głosy pierwszorzędnych artystów na tle potoczystego chóru mrukliwych grzmotów. Gdzieś nad skrzydłem domu jęknęła blacha pod naporem ulewy i wichru. Załomotały drzwi i klamka stuknęła parokrotnie, jakgdyby dotknięta obcą, niepewną dłonią.

— Kto tam?! wejdź i niech się to raz skończy! — majaczy szeptem pan domu, starając się wyswobodzić z niegodnej słabości cielesnej i patrząc z pod zsuniętych brwi na ukazującą się i znikającą w niebieskawej pożodze błyskawic, drażniącą go klamkę. — Nie dam ci Alinki! Ona jest żoną innego! Precz!

Wicher gwiżdże upiornie w kominie. Brzemien-

na piorunami masa chmur przewala się snadź w tej chwili nad dworem, gdyż ogniste rakiety sypią się z góry, niesamowicie bliskim swym rykiem przywodząc pana Wojciecha do przytomności. Spogląda wokoło i chciałby sięgnąć po wino, stojące w szklance tuż obok niego, ale biernie zwisająca ręka odmawia wręcz posłuszeństwa. Nawałnica wielkim lejem powietrznym okręca się naokoło dworu, wrywając się ze świstem przez najmniejsze szczeliny. W gwałtownym, syczącym przewiewie wstrząsają się drzwi i okna — napływa z głębi uporczywe, głuche pukanie.

— Kto tam?! — oczy dziadzia patrzą w stronę drzwi śmiało i nieulękle. Już teraz wie, że Edmunda tu niema i być nie może. Więc kto?! Kto tam śmie pukać wbrew jego woli?!

— Kto tam! — powtarza. — Wejdź, nieproszony gościu! — chce wyszeptać omdlewającym głosem, ale słowa krzepną mu na ustach, śmiertelne zimno podpływa błyskawicznie do głowy i pan Wojciech wydaje ostatnie tchnienie wśród skomlących poświstów wichru, rozpryskujących się detonacyj piorunów i zimnego migotania błyskawic. Ciało jego zamiera i kostnieje powoli, tylko niebieskie oczy patrzą wciąż ze skamieniałym spokojem w stronę, skąd wdzierał się doń uporczywie niepożądany i niepotrzebny wędrowiec...

. . . .

. . . .

Kiedy pani Alina z czwórką swych dzieci podjeżdżała na drugi dzień przed dwór w Malinkach, ranek po burzy tak był uroczy, jakgdyby natura

pragnęła zatrzeć najczarowniejszym uśmiechem przykre wspomnienie o wczorajszym złowieszczym chaosie w swym łonie. Jadący nastrojeni byli na weselszą cokolwiek nutę po tym parudniowym pobycie w sąsiedztwie, gdzie starano się im czas uprzyjemnić, okazując jednocześnie delikatne i przyjacielskie współczucie. Toteż dzieciom nie zamykały się usta przy wspominaniu o takim lub innym szczególe, podkreślającym wartość zaznanej, rzetelnej dobroci obcych zupełnie ludzi, a na ustach ich matki przewijał się chwilami ów dawno niewidziany promienny uśmiech, sprawiający wrażenie zabłąkanego słońca.

Powóz stanął przed gankiem i stary Jakób, mocując się z sobą po cichu, aby nie buchnąć płaczem na widok „tych sierot", otworzył drzwiczki i w nagłym porywie czułości wyciągnął ręce do Ani, chcąc ją wynieść i postawić na ziemi.

— Dlaczego dziadzio nie wychodzi do nas?! — zaszczebiotała mała ze ślicznym dąsikiem. — Niegrzeczny dziadziuś! — i już w ramionach Jakóba, spojrzała mu filuternie w oczy.

Naiwny wykrzyknik dziecka zerwał pieczęć opanowania z duszy starego sługi. Łkający głos wyrzucił z piersi okrutną prawdę:

— Już niema naszego pana! — poczem, zostawiając Anię w drzwiach ganku, przylgnął głową do słupa i tylko po wstrząsanych raz po raz plecach można było odgadnąć, że szlocha.

— Jakóbie! — zawołała z wyrzutem panna Balbina, nadbiegająca w tej chwili z wnętrza domu. — A tak prosiłam!... Wysiadajcie, moi kochani! — zwróciła się z niezmierną czułością do za-

stygłej jakgdyby w powozie rodziny pana Wojciecha.

— Bisiu! — krzyknęła naraz pani Alina, czepiając się wątłej nitki nadziei. — Co Jakób mówi?! Czy ojczulek wyjechał?!

Na smagłej twarzy Bisi nie było znać żadnego wrażenia prócz niewysłowionej dobroci:

— Chodźcie do wnętrza, drodzy moi! Zaraz wam o wszystkiem opowiem.

Weszli do dworu, strwożeni i niemi.

— Zdejmijcie okrycia, kapelusze, tak, dobrze! — objęła Bisia komendę wobec skamieniałej bezradności przybyłych. — A teraz — pójdziemy do jadalni. Wy naprzód, a ja za wami! — otoczyła całą gromadkę swemi silnemi ramionami, popychając ją lekko w stronę drzwi, weszła z nią do pokoju i usadowiła wokoło stołu, naprzeciw staroświeckiego fotelu, poczem usiadła tuż przy pani Alinie, biorąc Anię na kolana. Mówiła wolnym, kojącym głosem:

— Wczoraj wieczorem pan Wojciech powrócił z Lublina i czuł się niedobrze. Zasiadł tu, w tym fotelu i kazał sobie podać herbaty. Napędził nas stąd i pozostał sam. Straszną mieliśmy burzę, ale około dziesiątej niebo się wyjaśniło i pioruny ustały. Nie mogłam spać tak byłam niespokojna o naszego dziadzia (głos mówiącej drgnął, ale tylko na chwilę). Nie rozbierałam się nawet. Podeszłam na palcach do drzwi od tego pokoju. Cicho. Czyżby zasnął?! Otwieram powolutku, a tu trzeba tego zdarzenia, że klucze, które zawsze noszę za paskiem, wysuwają mi się i lecą na posadzkę. Brzdęk! Cicho w pokoju. Pan Wojciech ani się poruszy, a wiemy przecież

wszyscy jaki miał czujny sen! Chyba zemdlał! — myślę i wchodzę na palcach. Cicho, tak cicho, że zaświecam swoją elektryczną lampkę. Pan Wojciech siedzi nieruchomo w tym oto fotelu, oczy ma otwarte i patrzy w przeciwległe drzwi z wytężeniem i z taką odwagą, że... głos załamał się w piersi pannie Balbinie.

— Ja wiem, Bisiu! — odezwała się nagle Ania z przejęciem. — Dziadziuś tak patrzył w oczy niebezpieczeństwu, żeby do nas nie przyszło! Dziadziuś sam mnie to kiedyś powiedział!

— Co ty mówisz, maleńka! — wykrzyknęła ze zdumieniem pani Alina, podczas gdy ochmistrzyni struchlała w duszy:

— Nieszczęścia rozwijają dziecko nad wiek! — pomyślała z bólem, nawiązując urwaną nić smutnej opowieści: — Zbliżam się do naszego dziadzia, stanęłam przy nim. Nie drgnął, nie poruszył się wcale!

— Bisiu! — jęknęła rozdzierająco córka. — Ojczulek nie żyje?! Czyż to możliwe?! Boże, Boże! I za co walą się na mnie takie straszliwe ciosy?! — załamała swe cudne, różowe dłonie, wyciągając je jakgdyby z prośbą o zmiłowanie ku niebu, a gwałtowne łkanie podniosło jej pierś, zalewając potokami gorzkich łez skryte tam, wedle pojęcia Ani, słoneczko.

Wśród szlochań całej gromadki, do której przyłączyły się już teraz łzy Bisi, Jakóba i Marcinka, stojących już dawno w rogu jadalni, zabrzmiał nagle głosik Ani, która objąwszy za szyję tulącą ją Bisieńkę, schowała na jej piersi jasną swą główkę, niby spłoszona i szukająca pewnego ukrycia ptaszyna:

— Ja chcę zobaczyć mego dziadziusia! Bisiu?! Gdzie jest mój dziadziuś?!

— W salonie! — powiedziała panna Balbina, wstając z krzesła. — Chodźmy wszyscy do niego! — i, biorąc Anię za rączkę, roztworzyła zamknięte drzwi.

Salon był zmieniony w przecudny ogród, a pośrodku palm, drzew cytrynowych i wazonów z kwiatami leżał pan Wojciech, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami. Ogromny spokój i hart pełen męskości biły z tej pięknej, na wieki zastygłej twarzy. Ania wpatrzyła się weń zadumanym i przenikliwym wzrokiem.

— Już mnie nie weźmie na kolana! — myślała. — Nie może się ruszyć, bo umarł. Biedny mój dziadziuś! Nie popieści mnie! Nie zaprowadzi do rycerskiej szkoły! Schowają go pod ziemię i nie zobaczę już nigdy jego oczu, jego twarzy, jego białych zębów kiedy się do mnie śmiał tak wesoło! Dziadziusiu! Dziadziusiu! — zawołała naraz z taką rozpaczą, że wszyscy szlochający zwrócili głowy w jej stronę. — Dziadziusiu! Mnie smutno! — zaniosła się nie dziecięcym płaczem, pojmując w nagłem objawieniu jednej z prawd życia — znaczenie t ę s k n o t y, przed paru jeszcze miesiącami niedościgłe dla jej maleńkiego serduszka...

. . . .

Jeśli hołdy, składane pamięci zmarłego i objawy współczucia okazywane jego rodzinie, mogą ukoić nieco ból po takiej najcięższej stracie, to pani Alina i jej dzieci powinny były czuć się podniesione na duchu w chwilach powtórnej żałoby. Pogrzeb pana

Wojciecha stał się wspaniałą manifestacją ze strony całego okolicznego ziemiaństwa. Mowy nad jego trumną zdradzały rzeczywiste głębie uczucia i poważania bez granic, a wieńce przybrane szarfami, utworzyły stos kwiecia na jego grobowcu. Wedle przyjętego na wsi zwyczaju, stypa we dworze zgromadziła wszystkich przybyłych, pogłębiając jeszcze wyraz ogólnej szczerej sympatji dla osieroconych. Późnym wieczorem rozjechali się wszyscy sąsiedzi do domów, w przekonaniu, że pani Alina z dziatwą, jako jedyna sukcesorka zmarłego, ma zapewniony byt zupełnie dostatni i pewny.

W kilka dni po pogrzebie, licha dorożka zatrzymała się przed gankiem w Malinkach i Jakób wyszedł na spotkanie wysiadającego z niej obcego mężczyzny. Niezmierna staranność w jego ubiorze, sposób trzymania głowy, ruch jakim wydobył z pugilaresu i podał mu wizytową kartę — przekonały tyloletniego domownika Malinek, że „nie byle z kim ma do czynienia!“

— Proszę to zanieść do pani i spytać, czy zechce mnie przyjąć? — odezwał się nieznajomy z chłodną grzecznością.

Jakób rzucił okiem na trzymaną w ręku kartę: „Dominik Żaba“. Nigdy nie słyszał takiego nazwiska! Może to jakaś nowa zgryzota?! Bo jak się zło wali na człowieka, to już sobie używa! Ostrożność nie zawadzi! — pomyślał i rzekł:

— Pani chora, leży w łóżku. Ale gdyby wielmożny pan chciał, to może się zobaczyć z panną Balbiną. To była prawa ręka nieboszczyka pana, a i głowę ma nie od parady na karku!

— Dobrze! — zgodził się powściągliwie przy-

były, wysiadając z dorożki. Odjedź nieco od dworu i poczekaj na mnie! — wydał rozkaz tonem nawykłym do posłuchu i wszedł do dworu.

— Wielmożny pan zechce spocząć w salonie. Zaraz uwiadomię pannę Balbinę! — Jakób zdejmował okrycie z nieznajomego i poważnym gestem wskazał mu wejście do jadalni. — Stąd widać nawprost drzwi do salonu! — dał wyjaśnienie i szybkim krokiem poszedł do oficyny, gdzie się panna Balbina zajmowała w tej chwili pakowaniem masła w mleczarni.

Przybysz wszedł do jadalni i bystrem spojrzeniem obiegł pokój dookoła. Wyraz jego twarzy nie odbił żadnego wewnętrznego wrażenia, tak był doskonale snadź opanowany. Równym, miarowym krokiem zbliżył się do drzwi od salonu i jedną ręką podniósł przysłaniającą je ciężką portjerę. Opadła za nim w chwili, gdy się już znalazł po za nią, chłonąc promieniami wzroku każdy szczegół staroświeckiego umeblowania. Jego śmiało zarysowane usta rzuciły z uznaniem dwa niegłośne wyrazy:

— Pięknie i swojsko! — poczem wróciły znów do zwykłej im linji spokojnej stanowczości. Nieznany gość usiadł na jesionowej kanapie ze swobodą, pełną wrodzonej dystynkcji, zatapiając oczy w zielonej nawie drzew ogrodowych.

— Panna Balbina prosi wielmożnego pana do kancelarji! — Jakób ukazał się z tą wiadomością na progu salonu. — Pójdę naprzód i wskażę drogę? — dodał pytająco i z szacunkiem.

Nieznajomy wstał i skinął głową twierdząco. Skąpym był znać na słowa, albo też każde jego słowo musiało mieć wagę złota.

Panna Balbina czekała na gościa, stojąc za biurkiem pana Wojciecha. Postać jej była jak zwykle prosta i silna, twarz — energiczna, oczy, patrzące z pociągającą szczerością i prawdą, tylko zaczerwienione od bezsennych nocy powieki świadczyły o ciężkich chwilach, jakie tak dzielnie i cicho niosła na barkach. Podała rękę przybyszowi, wskazując mu jednocześnie uprzejmym gestem wygodny fotel: — Witam pana i słucham! — usiadła sama.

— Dowiedziałem się od służącego państwa — wyłuszczał zwięźle przybyły — że pani była prawą ręką zmarłego. Wobec tego pani wie jaki interes mię tu sprowadza.

— Wiem — to jest, wyczytałam to w liście, jaki pan Wojciech zostawił.

— Więc nigdy przedtem o tem pani nie wspomniał?

— Nie. Ani mnie, ani nikomu z krewnych, albo sąsiadów. Dla wszystkich będzie to prawdziwa niespodzianka, jeśli do tak bolesnej sprawy można zastosować ten raczej radosny wyraz.

— Proszę mi wierzyć, że i dla mnie wszystko, co się stało, jest również bolesne i niespodziewane! Rozumiem przecież, że głębokie wstrząśnienie było powodem tego śmiertelnego ataku sercowego, ale pocóż w takim razie sprzedawał Malinki?! Z taką pogodą podpisywał akt notarjalny. To żelazny człowiek!

Spojrzeli na siebie oboje. Panna Balbina powiodła oczyma po wytwornej postawie, wygolonej, mądrej twarzy, zatrzymała przez chwilę wzrok na szlachetnej powadze czoła pana Dominika Żaby i uczuła dlań rosnącą sympatję. On zaś jako praw-

dziwie wytrawny sędzia, ocenił już dawno wartość moralną tej „prawej ręki“ niepospolitego człowieka. Panna Balbina wydobyła z szuflady dużą kopertę i podała ją gościowi:

— Może pan zechce przeczytać! Dowie się pan w ten sposób o wszystkiem!

Ze wzruszenia, jakie przebijało mimowoli w jej głosie i z pietyzmu z jakim spojrzała na pismo zmarłego, pan Dominik pojął odrazu jak wielki spotkał go zaszczyt.

— Dziękuję pani najszczerzej! — i zagłębił się natychmiast w czytaniu wydobytych z koperty paru ćwiartek papieru. Wreszcie dobiegł wzrokiem ostatniego wyrazu:

— Teraz rozumiem wszystko! — powiedział spokojnie, ale oczy jego zeszklone potężniejszem od woli wzruszeniem, spoczywały przez długą chwilę na białych kartkach, zapisanych czytelnym rysem ręki pana Wojciecha.

— Gdyby ten kryształowy człowiek powiedział mi to, co w tym liście napisał — pożyczyłbym mu najchętniej nie tak znaczną dla mnie kwotę! — głos pana Dominika mienił się akcentami żalu i siły. — I ja jestem synem powstańca. Mego ojca zesłano również na Syberję, żona podążyła za nim, a ja tam się urodziłem i tam zostałem. To kraina niewyczerpanego bogactwa dla ludzi z inicjatywą. Dorobiłem się i posiadam własne kopalnie na Uralu, a zatem — miljony. Nie one są jednak moim skarbem, ale coś zgoła innego! — podniósł zlekka brwi i po chwilowej przerwie mówił dalej: — Wróćmy do interesów. Ten list — to testament zmarłego. Pisał go u rejenta, w drugim pokoju, oczekując na

wciągnięcie do ksiąg naszego aktu. Wiem o tem, bo mi sam to oznajmił. Z naszych rachunków zostaje jako nadwyżka — dziesięć tysięcy rubli. Złożyłem już je w Lublinie na imię córki nieboszczyka. Oto kwit. Służę pani!

— W porządku! — odparła rzeczowo panna Balbina, przesuwając szybko oczy po leżącem przed nią na biurku pokwitowaniu bankowem. — Czyżby pan Wojciech czuł się już wtedy niedobrze, pomimo uspokajających słów jego listu?!

— Nie. Uczynił to „na wszelki wypadek". Opiekunem rodziny ma być wedle jego woli „stryj Benedykt". Czy wolno wiedzieć jaki to człowiek?— wzrok mówiącego wyrażał zainteresowanie się, pełne dyskrecji.

— Najzacniejszy! — odpowiedziała krótko ochmistrzyni.

— Ale czy praktyczny? — rzucił wolno miljoner. — Pani mi daruje, że pytam. Wszedłem tak tragicznie w życie waszej rodziny, iż czuję się odpowiedzialnym do pewnego stopnia za dalsze jej losy. Gdzież jest ów opiekun, bo nie wątpię, że gdyby znajdował się w Malinkach, to rozmawiałbym nie z panią — pochylił głowę z kurtuazją — ale z nim właśnie!

— Jest w Tatrach, na wycieczce z trzema synami! — wyjaśniła panna Balbina, uśmiechając się mimowoli wobec szczerego zdziwienia przemysłowca. — To wcale nie stary człowiek i zapamiętały turysta-piechur. Nie wiem, kiedy go znajdą na wirchach i turniach depesze o naszej stracie! W każdym razie, gdy wróci — obmyśli wszystko najlepiej. O to można być zupełnie spokojnym.

— Więc dobrze. Muszę panią uprzedzić, że mieliśmy z panem Wojciechem układ nigdzie nie zapisany, a który teraz spada na panią — spojrzał jej w oczy z najwyszukańszą grzecznością. Bisia poważnem skinieniem głowy dała znak, że gotowa spełnić to ustne zobowiązanie.

— Pan Wojciech miał tu gospodarować do końca września, otrzymując wzamian całe utrzymanie dla swojej rodziny i wszystkie dochody z udoju krów. Czy zechce go pani zastąpić, jako jego „prawa ręka"? — zamilkł, wyczekująco.

Po śniadej twarzy panny Balbiny przemknęło wyraziste zdumienie. Spodziewała się czegoś zgoła innego:

— Przecież pan wpłacił wszystkie pieniądze, więc dochody należą do pana. Ale skoro pan twierdzi, że taki był układ, to — zawahała się chwilę — przyjmuję! — skończyła. Ciepły i szlachetny ton dźwięczał w jej głosie.

— Dziękuję pani za zaufanie — rzekł z prostotą władca kopalni — Marcinek oczywiście, zostaje na stałe w Malinkach, nieprawdaż? Mówił mi o nim pan Wojciech z prawdziwem uznaniem.

— O, tak! Marcinek — to unikat pod względem uczciwości w pracy. A przytem — kocha Malinki. Dla nas wszystkich to było gniazdo rodzinne! — dzielna kobieta pokonała mimowolny skurcz bólu na twarzy.

— Została jeszcze jedna sprawa do omówienia — ciągnął pan Dominik obojętnym napozór tonem. — Oto, czy zechce pani uczynić tę wielką dla mnie dogodność i po skończonym wrześniu zatrzymać nadal swe urzędowanie w Malinkach,

na warunkach, jakie mi pani łaskawie poda? Czekam na decyzję! — oparł ręce o kolana, rozstawiając nieco łokcie, a mądra jego twarz opromieniona była wyrazem spokojnej dobroci.

Śniade oblicze Bisi opłynęło falą krwi ze wzruszenia. Wyciągnęła do tego nieznanego przed godziną człowieka obie swe dłonie:

— Dziękuję panu za sposób, w jaki pan wyraził tę propozycję! Przyjmuję z wdzięcznością.

— Nie lubię długów i zwracam ją pani natychmiast! — zaśmiał się gość szczerze i krótko. — Zdejmuje mi pani ogromny ciężar z głowy. Za jakieś dziesięć dni jadę na Syberję zpowrotem. Zostawię pani adres. Kupiłem ten majątek dla mojej córki. Na imię jej — Krzyśka. To zuchowate spieszczenie mówi wyraźnie o charakterze mojej dziewczynki, która jest w całem tego słowa znaczeniu — dzielna! Oto mój skarb prawdziwy, nie tamte złote i srebrne miljony.

— Ileż ma lat ta ukochana jedynaczka?! — spytała z rzeczywistem zainteresowaniem panna Balbina, której się coraz bardziej zdawało, że zna oddawna tego opanowanego, wytrawnego człowieka.

— Dwanaście. Ma różową buzię, gęstą, po piastowsku uciętą czuprynę, siwe oczy, ocienione długiemi rzęsami i wie o mojej miljonowej fortunie, ale nic sobie z niej nie robi! Nie uznaje dziedzictwa, rozumie pani?! Chce być w przyszłości doktorem, zdobyć niebywałą sławę i pieniądze. Dopiero te — staną się jej własnością i słusznie, bo zarobione! Jak na dwanaście lat — dość postępowe teorje! Mam prawo mówić o jej dzielności, nieprawdaż?!

— Oczywiście! — potwierdziła słuchaczka

z przejęciem. — Ale coby pan powiedział o sześcioletniej dziewczynce, która, jedyna wśród nas, wiedziała o zamierzonej sprzedaży Malinek i nie zdradziła się ze swym dziecięcym bólem i żalem — nikomu?!

— Ciekawe! Któż to jest ta bohaterka?! — pan Dominik łowił uchem odpowiedź.

— Najmłodsza wnuczka pana Wojciecha, Ania. Było to tak. Ponieważ na kopercie, zawierającej ostatnie rozporządzenia pana Wojciecha, napisane było jego ręką, jak to pan sam widział: „Przeczyta najpierw panna Balbina, a potem wedle jej uznania, moja córka, stryj Benedykt i dzieci“, więc postanowiłam nic nie mówić chwilowo Alince. Ona i tak upada pod ciężarem dwóch ciosów! Pana Benedykta niema, a że nowy właściciel mógł lada moment tu zjechać i upomnieć się o swoją własność, więc zgromadziłam w tym pokoju czworo wnuków i Marcinka, jako wychowanka zmarłego, aby im wyjawić bolesną prawdę. Przeczytałam cały ten przepiękny testament dziadzia na głos. Nie wiem, co przeważało u tych biednych dzieci: zdumienie, czy rozpacz! Malinki — to dla nas wszystkich żywa istota. Jedna tylko Ania nie dziwiła się wcale. Powiedziała zamierającym głosikiem:

— Ja się tak bałam o Malinki, a dziadzio umarł! A teraz niema Malinek i niema dziadzia! I teraz rozumiem, Bisieńko, co to znaczy: „ciężkie życie“!

— Gdybym miał taką córkę, truchlałbym o nią bezustannie! To są powiedzenia nad wiek poprostu! Widocznie prawda przesączyła się jakąś szparką do tej maleńkiej główki! Ale jak?! W jaki sposób?! —

zagłębiał się w dociekaniach pan Dominik, odczuwający coraz wyraźniej splot współczucia i przyjaźni dla rodziny, z której patrjarchą los zetknął go na szlaku życia.

— Tego nie dowiemy się nigdy! — wygłosiła Bisia stanowczo. — Jest jakaś przyczyna upartego milczenia Ani, kiedy potem w samotności starałam się ją wybadać! Starsi dwaj chłopcy — ciągnęła swe wywnętrzania — zajęci teraz myślą w jaki sposób zarobić na utrzymanie domu w Warszawie. Korepetycje — to ich upragnione marzenie! Hala również ma taki cel i nadzieje. Zwracam uwagę pana, że Michaś ma czternaście lat, a Pawełek i Hala są jeszcze młodsi.

— Chciałbym poznać tę miłą i dzielną czwórkę! — powiedział pan Dominik i wstał z fotela, jak człowiek przyzwyczajony do urzeczywistniania swych życzeń w lot. Panna Balbina ruszyła się również z miejsca, gdyż wahanie w decyzji nie leżało zgoła w jej charakterze:

— Dobrze — odparła pogodnie. — Pójdę naprzód i uprzedzę dzieci o przybyciu pana do Malinek i o jego uprzejmym zamiarze — zrobiła parę kroków w stronę drzwi, gdy słowa nowego właściciela Malinek zatrzymały ją na miejscu.

— Chce je pani zapewne uprzedzić, że nie tak straszny ze mnie wilkołak! — przyjazny uśmiech łagodził to zdanie, ale pannie Balbinie wydało się ono niestosownem. Jakby uderzona nową zupełnie myślą, zwróciła się żywo do gościa stojącego w wyprostowanej i nacechowanej kurtuazją postawie: —

— Zmieniłam zamiar! Czy zechce pan pójść za mną?!

Pan Dominik skłonił się na znak oczywistej zgody. Wyszli razem na długi korytarz. Panna Balbina obejrzała się na swego towarzysza i przyłożyła palec do ust. Zbliżyli się bezszelestnie niemal do okna. Pomiędzy dwoma skrzydłami domu, siedziała na ławeczce pod świerkiem czarno ubrana gromadka sierot. Poważne jakieś i tajemnicze wiedli narady, gdyż rozmawiali przyciszonemi głosami.

— Niech pan stanie tu, z boku! — szeptała Bisia. — Nie spojrzą w tę stronę, tak są niesłychanie zajęci. Widzi pan? Ten wysoki szatyn w płóciennem ubraniu z żałobną przepaską na ramieniu — to Marcinek. Jak peroruje, nieprawdaż?! Gotowa jestem założyć się z panem, że wmawia w nasze dzieci: — Wasz dziadek mnie wychował, zawdzięczam mu wszystko! Cała moja pensja do was należy!

— Jakiż to miły chłopak! — odszepnął ostrożnie, przypatrując się bacznie zebranym — miljoner. — Uczciwość pali mu się w oczach! A to jest Ania? Na kolanach u Michasia? Czy tak?! Śliczne maleństwo! I te loki na czarnej sukience, niby płynne złoto. Obok siedzi Hala, nieprawdaż?! Nie mówiła mi pani o jej bajecznej urodzie. Oczy — koloru morza, głębokie i zmienne. A Pawełek stoi przed nimi i słucha. Widzi pani — poznałem odrazu wszystkich. Podobają mi się te kochane dzieciaki i radbym zapoznać je z Krzyśką. Ale to dopiero na przyszły rok!

— Otworzę cichutko okno. — Panna Balbina wykonywała tę czynność powoli. — Niech się pan trochę cofnie. Ot, tak, doskonale. Zaraz do nich pójdę. Będzie słychać każde słowo naszej rozmowy. W ten sposób pozna ich pan rzeczywiście. A gdyby tak

wypadło z toku dyskusji, to niech pan wraca co tchu do jadalni! — i na palcach odsunęła się od okna, przemierzając szybkiemi, lecz cichemi krokami cały długi korytarz i znikając za drzwiami.

Pan Dominik oparł się ramieniem o ścianę i czekał. Pod świerkiem toczyła się dalej ożywiona rozprawa.

— Bisieńko kochana! — zabrzmiał nagle świeży głos Hali, wpadający wyraźnie do słuchu przemysłowca. — Gdzie się Bisia podziewa?! My tu spieramy się z Marcinkiem, który nas chce przekonać, że może się obyć bez grosza. Co Bisia na to?!

— Roztrząśniemy tę kwestję później! — rozległ się poważny ton panny Balbiny. — Czy wiecie, że pan Dominik Żaba przyjechał do Malinek?!

(Stojący za oknem przysunął się nieco i wyjrzał ostrożnie).

— Co?! Czy Bisia... wyrwał się Michaś krzykliwie, ale wnet urwał, gdyż Ania zatuliła mu usta maleńką dłonią:

— Cicho, bratusiu! Mamuchnę główka boli!

Chłopak zniżył głos o połowę:

— Czy Bisia kazała wyprząc konie?! Czy przyjęła gościnnie pana Żabę?! — Byłoby mi okropnie przykro, gdyby choć na chwilę przypuścił, że mamy jakiś żal do niego! Przecież dziadzio pisze w tym ostatnim liście: „postępowanie jego ze mną było bez zarzutu!"

— Jak ja się cieszę, że zobaczę na własne oczy „szlachetnego miljonera"! — rzuciła Hala, wpatrując się błyszczącemi oczami w Bisię. — Nawet w książkach rzadko się takie typy zdarzają!

— Powiedział mi, że chce przyjść do was, aby

się z wami zapoznać! — rzuciła jakby od niechcenia panna Balbina.

— On chce przyjść do nas?! — zdziwili się wszyscy. — Ależ to my pójdziemy do niego! — mówił z przejęciem Pawełek. — On przecież starszy! A potem — trzeba okazać mu nasz szacunek! „Był gentlemanem w stosunku do mnie!“, tak pisze dziadzio. — Idziesz z nami, Marcinku!

— Idę. Wy nawet nie wiecie — powiedział z zapałem — do jakiego stopnia pieniądze psują bogaczy! To jakiś unikat! Lepiej od was znam życie, bo jestem dwa razy starszy od Pawełka!

— A ty, Aniątko, pocałujesz tego pana serdecznie! Prawda? — Michaś pochylił się nad przytuloną doń siostrzyczką, pewny twierdzącej odpowiedzi, ale ciemno-niebieskie oczy nie wyraziły zgody.

— Ja chciałabym jego pocałować, Michasieńku, ale nie mogę! On jest „niebezpieczeństwo!“ Zabiera nam Malinki! — odezwał się smutny głosik.

— On temu nie winien, maleńka! Nikt temu nie winien! Zrozumiesz to kiedyś, siostrzyczko! — bronił gorąco nieobecnego „starszy brat“. — Chodźmy. Nie można kazać mu tak długo czekać na siebie! — i wstali wszyscy z ławki, okrążając wysunięte w parku skrzydło dworu.

Pan Dominik wychylił się nieco odważniej, spozierając na odwróconą doń plecami gromadkę.

— Michasiu! Powiedziała nagle Ania, ciągnąc brata za rękę. — Chcesz?! Ja jemu ukłonię się prawą nóżką! — i uczyniła rozczulająco powabny dyg na wyżwirowanej alei.

— On jest tak mądry i pełen prostoty, że nie opamiętasz się, Aniu, jak go pocałujesz z ochotą,

gdy weźmie cię na kolana i zacznie z tobą rozmawiać! — doleciał jeszcze słuchu nowego właściciela Malinek głęboki dźwięk głosu panny Balbiny.

Stał przez chwilę na miejscu, zatopiony w myślach i nagle się opamiętał:

— Mam przecież „rozkaz" — uśmiechnął się lekko — wracać co tchu do jadalni! Jak ona zna te dzieci! Przewidziała bieg całej rozmowy! Kochane dzieciaki! A ta maleńka! Krzyśka kazałaby mi odrazu podarować im te najdroższe Malinki! Ale nie! Popsułoby to mi linję ich charakterów! Niech się wyrabiają w walce z przeciwnościami. Ale swoją drogą — przywiozę tu Krzyśkę na przyszłe wakacje i ich zaproszę na całe lato. Co za atmosfera w tym domu! Jakby im dopomóc?! Może naprawdę dobrze płatne korepetycje?! *Un coup d'épaule* od czasu do czasu i — niech płyną sami, — rozmyślał, krążąc już dookoła stołu w jadalnym pokoju, wyprostowany i smukły, z włożonemi w kieszenie ciemnego ubrania rękami i ktoś, z boku patrzący nie domyśliłby się nigdy, sądząc po tej opanowanej, spokojnej twarzy, że pod skrojoną wytwornie i zapiętą na wszystkie guziki marynarką — bije serce, przepełnione ojcowskiem niemal uczuciem dla gromadki osieroconej młodzieży.

ROZBITE GNIAZDO.

Poranne słońce sypało olśniewające blaski na ogołocone i zastygłe w wiekowym bezruchu łańcuchy Tatr, gdy na jednym ze szczytów ukazała się wysoka, koścista postać mężczyzny w sportowem ubraniu i trzewikach, podkutych gwoździami. Chuda twarz, wydłużona jasnym zarostem, o spłaszczonych nieznacznie skroniach, promieniała zdrową uciechą. Wędrowiec zerwał z głowy kraciastą czapkę i powiewał nią z triumfem ku wdrapującym się jego śladami trzem młodym chłopcom:

— Hallo, niezdary! Kto z nas lepszy taternik?! Co?! — i chrząknął basem.

— Oczywiście, że ojciec! — zaśmiał się wesoło najmłodszy, podążający wszelako tuż za nim. — Uff! I ja jestem na czubie olbrzyma! Jak tu cudownie! Sowitą mamy nagrodę za tak długą mordęgę. Prędzej, prędzej! — naglił dwóch braci, wspinających się z pewnym namysłem. — Jesteście nareszcie! Patrzcie i podziwiajcie!

Najstarszy taternik rozciągnął się z rozkoszą na podniebnej wysokości górskiego grzbietu i, zdjąwszy okulary w rogowej oprawie, wodził w milczeniu wzrokiem po zazębiających się w sinej mgle oddalenia — konturach węgierskich i polskich szczytów. Młodzi zrzucili plecaki i posiadali na kamienistem podłożu z minami pełnemi zadowolenia.

— Tak nas zachęcasz, Władku, do zachwycania się tą panoramą tatrzańską, jakgdybyś był przewodnikiem z agencji Cooka, a my Anglikami! — zawołał z komicznym wyrzutem starszy o parę lat odeń Staszek.

— Nie umie patrzeć i milczeć! — wyjawił krótko najstarszy z trójki, przystojny, lecz małomówny jak ojciec, Zymek.

— Za to ty milczysz za wszystkich! — odpalił żywo atakowany przez braci Władek. — Doskonale się stało, żeś obrał sobie zawód architekta! Obraz do ciebie ani razu, ale i ty tak samo do obrazu, czyli planu w tym wypadku!

Młodzieńczy śmiech chłopców odbił się na ustach ich ojca, a Władek mówił dalej z humorem i swadą:

— Już to trzeba przyznać, że morowe z nas chłopaki! Ja jestem miły, Staszek jest milszy, Zymek najmilszy! I odwrotnie — Zymek jest cichy, Staszek — cichszy, a ja najcichszy! Obraliśmy też sobie odpowiednie drogi: Zymek będzie budował milczące kamienice, Staszek zdobędzie wkrótce pole do wykazania daru konwersacji, gdy skończy za rok akademję handlową i weźmie w obroty klijentów, ja zaś jako inżynier in spe mam szczery zamiar przekopania kanału pod gibraltarską cieśniną! Ani mniej, ani więcej! Wiwat! Niech żyją synowie państwa Benedyktostwa!

— Lepiej zagotuj nam wody w kociołku! — zaproponował pan Benedykt, uśmiechając się lekko.— Napiłbym się herbaty z przyjemnością! — chrząknął donośnie.

— Chętnie, ojcze! — Władek porwał się z miej-

sca, skoczył do plecaka i jął wydobywać zeń różne paczki — właściwie, hm! — rzucił ukośne spojrzenie na wyciągniętych braci. — To prawda, nie grzech, że było nas trzech! — zaśpiewał.

— To rola mizynka! — zauważył wolno Zymek, którego ślicznie zarysowane usta rozchyliły się w półuśmiechu, chociaż oczy i twarz pozostały poważne.

— Poświęciłeś się przecież dla dobra bolejącej ludzkości, ty zapalony wyznawco socjalistycznych teoryj! — wygłosił z odpowiedniem namaszczeniem Staszek. — Prosimy tedy o czyn! — spoglądał na brata, podpierając się łokciem.

— „Byle nie gorzej!“ Nieprawdaż, ojcze?! Wobec sztychów tych wygodnisiów, muszę dodać sobie odwagi znaną nam wszystkim „teorją stryja Benedykta“! — mówił wesoło Władek, rozkładając serwetę i wyjmując bułki z wędliną.

— Gorzej jest w zimie, kiedy z niewiadomych powodów marzniesz w ręce bez rękawiczek, albo prześwieca ci na łokciu, pod rękawem mundura, arcybiała koszula, bo pieniądze gdzieś fiutt! ulotniły się! — gwizdnął przeciągle student, patrząc jednak z przebłyskiem dumy na tego najmilszego Władyńcia, który mając w klasie ubogich kolegów, poprawiał wciąż niedokładności struktury społecznej i stąd — goły był zawsze jak święty turecki.

Pan Benedykt spojrzał również na najmłodszego syna wzrokiem, w którym malowała się cicha pochwała uczynków, o jakich wspomniał przed chwilą Staszek. Pomimo bowiem pozorów tak szorstkich, „jak szczotka“, mawiali o nim ci, którym dała się we znaki jego bezwzględność w wypowiadaniu

prawdy — złote serce taiło się w tym niezmiernie dokładnym i prawym człowieku.

— Nie zaczepiajmy spraw osobistych! — odezwał się z niezadowoleniem Władek po chwili milczenia. — Herbata gotowa! Proszę jeść i pić! Więcej zapraszać nie będę, bo sam jestem głodny jak wilk!— i zatopił białe, zdrowe zęby w bułeczce z szynką.

Nie trzeba było zachęcać do pożądanego dla wszystkich naśladownictwa i wkrótce zapasy znikły, pozostawiając tylko niewymownie miłe po wielkiem znużeniu uczucie sytości i wypoczynku.

Zymek wydobył lornetkę i wpatrzył się przez nią w piętrzące się na horyzoncie łamane linje szczytów, poznając je po zarysach dla każdego odmiennych i rzucając głośno ich nazwy.

Pan Benedykt śledził je razem z synem, czasem się z nim spierając, gdyż wzrokiem dalekowidza wyławiał świetnie zatarte mgłą oddalenia szczegóły.

Dwaj młodsi patrzyli w przestrzeń, tonąc w podziwie nad wspaniałością tej plastycznej wizji jakiegoś innego świata. Bezmierna cisza spowiła te góry w gorące i złote pieluchy słońca. Wpierały twardo śnieżne swe czoła w gorący błękit nieruchomego nad niemi sklepienia.

— Podniebne z nas ptaki! — wołał Władek z zapałem. — Chmury pod nami, owiewa nas wiatr wprost od morza lecący, kąpiemy się w oceanie rozpylonego złota! Siedziby ludzkie — dalekie!

— W porę o nich wspomniałeś! — przyznał pan Benedykt — bo czas nam się zbierać i ruszać powoli zpowrotem do Zakopanego. Wyszliśmy przed tygodniem z domu i matka nas dziś oczekuje. W drogę, chłopaki!—wstał i chrząknął dwukrotnie.

Podnieśli się wszyscy i, zarzuciwszy przez ramię plecaki, jęli schodzić nadół w kierunku oddalonego schroniska, gdzie noc spędzili. Do Zakopanego był stąd porządny szmat drogi, więc dopiero około piątej popołudniu znaleźli się na ulicy Zamojskiego, podążając szybkim, wytrenowanym krokiem ku jednej z will, od szeregu lat przez siebie wynajmowanej.

— Mama idzie na nasze spotkanie! — wykrzyknął z uciechą „mizynek".

— Czy mi się wydaje, czy też naprawdę sprawia wrażenie czemś bardzo zmartwionej?! — rzucił Staszek wahająco pytanie. — Ojciec lepiej od nas widzi, co, ojcze!

Ale pan Benedykt dopatrzył pierwej, niż syn objawy głębokiej troski na twarzy zbliżającej się żony i w porywie niepokoju puścił w ruch długie swe nogi z takim impetem, że oddalił się od młodych o kilka metrów. Bez słowa, wzrokiem jedynie przebiegł po zasmuconem obliczu pani Rozalji, która uścisnąwszy mocno jego dłoń, wyrzekła śpiesznie:

— Pan Wojciech nie żyje! Jest depesza i list szczegółowy od Bisi! Są jeszcze i inne komplikacje! Najlepiej będzie, gdy przeczytasz sam w domu! —

Chłopcy już nadbiegali i hiobowa nowina doleciała ich uszu, budząc wstrząs prawdziwego żalu. Zmarły był dla nich wzorem hartownej szlachetności charakteru i serca.

— Nie żyje?! — zakrzyknął Władek, nie wierząc jakgdyby własnemu słuchowi.

— Co się stało?! Dlaczego?! — pytał gorączkowo Staszek.

— Nagły atak sercowy! — odpowiedziała.

Pan Benedykt z Zymkiem stali jak wryci, nie mówiąc słowa. Ogromna powściągliwość w okazywaniu uczucia nakładała im zawsze pieczęć milczenia na usta, powodując tem głębsze cierpienie wewnętrzne.

— Chodźmy do domu! — zaproponowała matka, wsuwając rękę pod ramię męża i idąc wraz z nim zpowrotem do niewielkiego domku, nad którym widniał napis: „Krzemień". Trzej młodzi podążali za rodzicami, straciwszy naraz cały swój bujny, młodzieńczy rozmach. Przytłumiony dźwięk matczynego głosu, wyłuszczającego zapewne milczącemu towarzyszowi bliższe jakieś szczegóły, dolatywał ich uszu bez uławiania wszelako treści. Widzieli chwilami regularny profil matki, jej policzek świeży niby jabłko tyrolskie — patrzyli w zadumie na jej wysoką, szczupłą postać, na zgrabną główkę, na czarne włosy, które pomimo czterdziestu lat z górą, nie posiadały ani jednej srebrnej nitki i myśleli z trwogą — jak to zwykle bywa w razie nagłej śmierci w rodzinie — że ten zatruty grot, mógł albo może ugodzić w tę oto drogą i uwielbianą jego zwiastunkę.

Pani Rozalja cieszyła się taką miłością nietylko wśród swoich, ale i między licznymi przyjaciółmi i znajomymi. Dopomagał jej w tem niezrównany istotnie takt i wrodzona wesołość. Niezmiernie pracowita i czynna, patrzyła na ludzi z pobłażliwą dobrotliwością, twierdząc spokojnie, że: „Daleko jest więcej na świecie głupich, niż złych naprawdę!" Taki pogląd ułatwiał jej znoszenie różnych, nieodzownych w życiu przykrości i bronienie tych, którzy je częstokroć jej wyrządzali. Z mężem dobrali

się, jak to mówią: „w korcu maku“. Oboje byli czcicielami higjeny i hartu ciała, (łącząc to umiejętnie z kulturą umysłu i charakteru), toteż kamieniczka ich na Starem Mieście w Warszawie była nieustannie wietrzona, pościel i sprzęty trzepane, a wszyscy jej mieszkańcy pojmowali wyśmienicie znaczenie gimnastyki szwedzkiej i zimnej wody.

Kiedy się cała dobrana piątka znalazła we wnętrzu „Krzemienia“ i usiadła na zydlach góralskich, pani Benedyktowa wydobyła z szuflady stołu pokaźną kopertę i położyła ją przed mężem:

— Tu jest list Bisi i przepisany przez nią testament pana Wojciecha! Malinki sprzedane! Cicho! Nic nie mówcie! Dowiecie się zaraz o wszystkiem!

— Przeczytaj, Rozalko! — pan domu chrząknął, jakgdyby go coś zadławiło w gardle.

Pani Rozalja posiadała dar pięknego czytania na głos, a ponieważ każde słowo ostatniej woli dziadka Wojciecha było ogniwem spoistego łańcucha podniosłych myśli, więc ton czytającej mienił się akcentami szlachetnego wzruszenia, mąż jej i Zymek patrzyli przed siebie, jeden chrząkając uparcie, drugi — siedząc bez ruchu, z drgającemi tylko delikatnemi nozdrzami, co było oznaką silnego wzburzenia. Staszek podparł brodę ręką i zasłuchał się bez pamięci, a Władek utopił jasną głowę w obu dłoniach i z wszelką pewnością — wilgotne miał oczy.

— „Nie pytałem nikogo o radę, gdym podpisywał weksel Andrzejowi, zatem i teraz nie proszę nikogo o pomoc, gdy przyszła brana w rachubę już wówczas przezemnie — katastrofa!“ — czytała w dalszym ciągu pani Rozalja. — „Poręczyłem tę sumę własnem nazwiskiem, z którem się splata ho-

nor rodziny. Sprzedaję Malinki, żeby uiścić się z długu, bo w życiu jest zawsze tylko jedna rzetelna droga — inne są majakami niezdrowej fantazji!

— Proszę gorąco kochanego pana Benedykta, którego uważam za jednego z najszlachetniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem, aby został opiekunem mojej rodziny w razie mej śmierci, której się wszelako nie spodziewam tak rychło! Chodzimy jednak wszyscy w cieniu wyroków, nie znając aż do ostatniej chwili częstokroć, ich prawdziwego oblicza, dlatego piszę te słowa...“ głos czytającej drżał lekko i rozpłynął się w ciszy, gdy dobiegła do końca ostatniej kartki.

— Poraz drugi tracą opiekuna i w dodatku majątek rodzinny! To straszne! — wyrzucił Staszek, opanowując wzruszenie.

— Byle nie gorzej! — zawyrokował ostrzegająco pan Benedykt.

— Co ojciec mówi?! — Władek porwał się z zydla i załamał ręce. — Trudno już gorzej! — wołał z głębokim żalem.

— Nie mów tak, chłopcze! — powstrzymał go ojciec. — Nie wywołuj wilka z lasu! Zawsze może być gorzej! — odchrząknął głośno.

— Bisi list krótki — nie dała przyjść do słowa Władkowi, matka. — Pisze że szczędzi chwilowo Alinkę i nie wyznała jej dotąd prawdy o majątkowym ich stanie. Pobyt i utrzymanie w Malinkach mają w najdelikatniejszy sposób zapewnione do września. Ten nowy właściciel ma być — wedle Bisi, której bezwzględnie zaufać należy — prawdziwie zacnym i tęgim człowiekiem. Wyjeżdżając, prosił o częste wieści i ofiarował pomoc pieniężną

w formie, jaką Bisia uzna za odpowiednią. Jest synem powstańca i miljonerem. Posiada na Uralu kopalnie.

— Byłoby to może najłatwiejsze wybrnięcie z sytuacji! — osądził rozważnie Staszek, którego zmysł praktyczny i wybitne zdolności do matematyki, popchnęły na drogę handlową. Jako niedowarzony młodzik chełpił się tem, że potrafi brać wszystko „na rozum" i przesadzał często w udanej oschłości.

— Nie! — orzekł stanowczo pan Benedykt. — Żoną i dziećmi mego drogiego Zygmunta zaopiekować się może tylko rodzina. Pomoc obcych — to ostateczność! (Chyba po mojej śmierci! — słyszało się wyraźnie niedopowiedziane słowa).

— Zgadzam się z tobą! — podjęła żywo pani Rozalja. — Bądź spokojny, Benusiu! Przyjmuję narówni z tobą te obowiązki, miłe dla mego serca!

— My także! — rzucił dwa wyrazy Zymek, nie ruszając się z miejsca. Mimo jego pozornej objektywności — wiedzieli już zgromadzeni, że nałożył w tej chwili na siebie i na dwóch braci, zobowiązanie, mające być wykonane — wzorowo. Tak, wzorowo! Z Zymkiem żartów nie było. „Najstarszy brat" zawzięty z natury, wymagał posłuchu.

Ale tym razem nie zachodziła tego potrzeba. Dość było spojrzeć na twarze dwóch młodszych, aby się upewnić w żarliwości ich zgody.

— Dobrze — powiedział ojciec, przysłuchujący się uważnie głosom rodziny. — Na ten temat dyskusja zamknięta. Nie mam poco jechać teraz do Malinek. Napiszemy do nich wszyscy zbiorowo, a tymczasem przedstawię wam plan akcji, który

powstał błyskawicznie w mej głowie. Każdy ma prawo głosu i krytyki. Zaczynam — i wyłuszczył zebranym, projekt, mający na celu ulżenie ciężkiemu losowi pani Aliny i wyprowadzenie „na ludzi" osieroconych dzieci.

Rozstrząsany sumiennie przez wszystkich, poprawiany lekkiem dotknięciem w tych, lub innych szczegółach — projekt ów, twór rozumu, hartu i serca, został akceptowany jednogłośnie po długiej i szczerej naradzie rodzinnej. Pan Benedykt miał go przedstawić wdowie dopiero w Warszawie, gdzie znajdą się wszyscy z początkiem roku szkolnego. Na cały sierpień wyjeżdżają do Ojcowa, bo każdego lata zwiedzają Polskę po troszę.

W pierwszych dniach sierpnia wybuchnęła niespodziewanie wielka wojna światowa. Wkrótce ukazało się moratorjum, zawieszające wszelkie wypłaty wekslowe i hipoteczne, a do Ojcowa przyszedł list od Bisi tej treści:

— Szanowni i kochani Państwo! Po raz pierwszy od tych kilku miesięcy załamałam ręce z rozpaczą, przeczytawszy w dziennikach moratorjum dla zobowiązań pieniężnych. Mój Boże! Dlaczego to się nie stało o parę tygodni wcześniej?! Żyłby nasz dziadzio kochany i nie stracilibyśmy Malinek! Teraz możemy już tylko modlić się o pociechę, lecz nie o ratunek. Mam zamiar odwieźć Alinkę z dziećmi do Warszawy w ostatnich dniach sierpnia i wówczas spotkamy się tam wszyscy. Pan Dominik pisał do mnie z Warszawy, że wobec rozpoczętych działań wojennych, spłacił dług Towarzystwa i Malinki są czyste zupełnie. Obawia się, że w związku z przegraną (wszystko przewidzieć należy!) wy-

buchnęłaby w Rosji rewolucja, jakiej jaskrawą próbkę dał nam rok 1905. Czy udałoby się ją opanować powtórnie — któż zgadnie? Chce tedy mieć wolny od ciężarów kawał ziemi w Polsce. Wierzy, że z tego szamotania się narodów — wypłynie wolność naszej Ojczyzny! Co do mnie — cieszę się mocno, że Zymek uwolniony od służby w wojsku rosyjskiem z powodu grożącej mu rzekomo tak silnie astmy. Czekajmy, co będzie i nie wyciągajmy dobrowolnie kasztanów z ognia ani dla jednych, ani dla drugich zaborców! I tak dość krwi się naszej poleje — z musu! Moc serdeczności od nas wszystkich dla całego domu szanownych Państwa przesyłam, zostając z głębokiem poważaniem... pod temi słowami widniał podpis.

— Ojcze! — powiedział wieczorem Władek, gdy wyszli we dwóch przed willę, aby zbadać pogodę na dzień jutrzejszy. — Chciałbym pójść do legjonów Piłsudskiego! Pytam, bo wiem, że mam do czynienia nie z ojcem, drżącym o swego syna, a z gorącym patrjotą polskim — ujął jego rękę i mocno ją trzymał.

— Zbyt jesteś młody. Za rok powiem — dobrze! — gwałtowne chrząknięcie przerwało cichy spoczynek lasów, kamieni i gór.

— Za rok, ojcze?! Nie wiem, czy wtedy będę potrzebny? Przecież to tak długo trwać nie może! Dzieło Blocha wyłuszcza to jak na dłoni.

Patrzyli obydwaj w niebo, wyiskrzony gwiazdami. Mocny zapach sośniny, rozgrzanej w dzień upalnem słońcem, przepajał czyste, górskie powietrze.

— Czem jest przewidywanie uczonych wobec nieodgadnionych zygzaków rzeczywistości? Są one

niedostępne dla rozumu ludzkiego! Dla Anglji potęga Niemiec jest solą w oku, a trzeba czasu, by stępić ostrze ich miecza. Oto jedyna podstawa mego twierdzenia. Przytem — legjoniści idą z Niemcami!

— Nie, nie, ojcze! — chłopak się rzucił niby pchnięty żelazem. — Idą tylko w imię własnej sprawy i z Komendantem! To fałszywe pojęcie! Fałszywe do gruntu!

— Przekona mię czas — chrząknął pan Benedykt tym razem spokojnie. — A ty jak postąpisz? —

— Jak ojciec mówi! Zaczekam ten rok — wymruczał Władek, pasując się z buntem młodości. Ulegał silniejszej odeń wierze w niezachwianą prawość, stojącego tuż przy nim ojca. Ów — otoczył chłopca ramieniem:

— Posłałbym was wszystkich trzech, gdybym wiedział, że to naprawdę dla dobra Polski! — rzekł krótko i prosto.

Milczeli. Gwiazdy świeciły im w twarz, a Władkowi już się marzyło, że jest na polu bitwy i rwie pęta niewoli. Krew tryska mu z piersi. Leży ranny, na boku. Słuchawkę telefoniczną ma w ręku. Telefon polowy, drut ginie gdzieś w krzakach. Rwącym się głosem wyjawia pozycję wroga. — Na mnie walcie! Wprost na mnie! — szepce w zapale półgłośno.

Pan Benedykt przyciska go mocniej do piersi:

— Odniosłeś zwycięstwo?! — pyta i w głosie jego drga głębia pragnienia, utajonego na samem dnie zamkniętego serca.

Władek nie odpowiada. Dobrze mu w ramionach ojca i w tym pół-śnie, pół-widzeniu. Żeby już prędzej dopaść rzeczywistości i patrzeć bez zmruże-

nia powiek na rozdęte chrapy i ognistą grzywę rumaka wojny!...

Wakacje się kończą i cała rodzina wraca na zimowe leże — do Warszawy.

Pan Benedykt podąża wnet po obiedzie do wdowy i dzieci, których jest opiekunem. Otwiera mu Michaś. Wyrósł i schudł na twarzy. Ciężkie przeżycia starły kwiat jego radosnej beztroski. Na widok stryja, o którym ojciec jego zwykł mawiać: — To złoty człowiek! — chłopiec rzuca mu się na szyję:

— Ach, stryjciu! — krtań ma zdławioną i nic więcej powiedzieć nie może.

Opiekun chrząka i klepie młodzika po ramieniu:

— Uszy do góry, Michasiu! — przygarnia go do siebie i całuje w czoło. Szorstki ma zarost, ale tyle jest uczucia w tem delikatnem wtuleniu się ust, że chłopiec odzyskuje nieco spokoju.

— Czy jest matka? — pyta stryj, wieszając laskę i kapelusz na szaragach. — Jakże się czuje? Wie o wszystkiem, nieprawdaż?

Michaś składa ręce żałośnie. Słowa lecą z jego warg, przepychając się jedne przez drugie. Impulsywna natura bierze znów górę nad wszystkiem:

— Mamusia zmieniona do niepoznania. Prawie nie płacze, tylko jest jakby martwa. Żeby stryjcio wiedział, co się działo, gdy Bisia wyznała jej dlaczego mieliśmy wizytę pana Dominika Żaby w Malinkach! Boże! Pierś jej zaczęła konwulsyjnie falować, oczy wbiły się w jeden punkt, suche i nieprzytomne. Wgryzła się tak zębami w dolną wargę, aż pokazały się kropelki krwi. I nic — ani słowa. — Alinko! — woła Bisia. — Zlituj się! Spójrz na mnie! — i potrząsa nią z całej siły. Mamusia — nic. Żadnego

wrażenia. Dopiero jak Ania przybiegła i krzyknęła: — Mamuchno! Czy i ty chcesz pójść sobie do Bozi?! — mamusia zadrżała, jęknęła, rozszlochała się strasznie i przytuliła do siebie gwałtownie Anię. Ale, proszę stryjcia do salonu. Stoimy tak w przedpokoju. Zaraz pójdę do mamusi i oznajmię przybycie stryja.

— Czy panna Balbina jest jeszcze w Warszawie? —zapytał pan Benedykt, wchodząc do salonu i przesuwając się niezgrabnie wśród rozstawionych tam stolików i eleganckich sprzętów. Usiadł dość ciężko na misternej kanapce. Stanowczo lepiej się czuł na czubie Giewonta, niż na tej woskowanej posadzce.

— Bisia wyszła z Anią na spacer i miała zajść do stryjostwa, dowiedzieć się czy już wrócili z Ojcowa — wyjaśnił Michaś i, odsuwając haftowaną portjerę, wybiegł z salonu.

Opiekun pozostał sam i rozglądnął się wkoło. Ten salon — to gust żony Zygmunta. Tyle portjer! Gniazda bakcylów. Biedny ten Zygmunt! Jak on mógł znaleźć tu nastrój do tworzenia swych dzieł nieśmiertelnych?! Albo te jego rozmowy z żoną — o strojach? Tego już nie rozumiał pan Benedykt zupełnie. Zniżać tak wielki umysł — do fatałaszków! Nie lubił żony synowca, która ze względu na znaczną różnicę wieku, mówiła doń podobnie jak i jej dzieci: stryju. Nazywał ją: „ta laleczka“, uważając fakt, że jest córką pana Wojciecha, jako niesłychany wybryk natury. Teraz jednak — wobec tego pasma nieszczęścia, jakie spadło na jej pogodne życie — przyszedł tu, pełen najlepszych chęci i szczerego, acz nieroztkliwiającego się współczucia.

Drzwi uchyliły się zlekka i małe nóżki w czarnych pantofelkach prześlizgnęły się tak bezszelestnie po lśniących taflach, że dopiero woń perfum różanych wyrwała pana Benedykta z zadumy. Podniósł głowę. Przed nim stała pani Alina w żałobnej sukni. Jasne puszyste włosy zdawały się być ułożone niby wieniec cierpienia. Białe, prześliczne ręce zwisały biernie wzdłuż sztywnych fałdów. Wychudzone jej lica olśniewały białością. Fijołkowe oczy były tak głębokie i ciche jak leżące gdzieś w górach jeziora. Jej usta wdzięczne i pełne jak kropla krwi purpurowa, drżały od utajonej boleści.

Opiekun chrząknął dwukrotnie, wstał i ujął wdowę za obie dłonie. Podniósł je do ust i przykrył rudawemi wąsami:

— Biednaś ty! — powiedział z serdeczną prostotą. — Usiądź. Tu — będzie ci wygodnie na tym fotelu. — Usiedli oboje. Pani Alina w najwdzięczniejszej pozie, stryj — od niechcenia. Przyznawał w duchu, że „ta laleczka“ istotnie jest tak czarowna jak kwiat białej róży, a prócz tego żałował ją w duchu najszczerzej. Pierwsze jednak słowa rozmowy pokryły szronem niechęci rozgrzane serce mrukliwego krewnego.

— Nie było dnia, żebyśmy o was nie pomyśleli, kochana Alinko! A teraz musimy pomówić o waszej przyszłości! — pochylił się zlekka ku niej, opierając się kanciastemi łokciami na kolanach: — Zostało ci dziesięć tysięcy, nieprawdaż? — wpatrywał się w nią z pod rogowych okularów.

— Tylko osiem! — wymówiła pani Alina z trudem.

Pan Benedykt się zdumiał. Czytał testament dziadzia i znał stan interesów *á fond*.

— Gdzieżeś utopiła tak prędko te dwa tysiące? — zapytał wolno.

— Zamówiłam dwa pomniki, dla ojczulka i dla Zygmunta — wyznała nieśmiało.

— Mając dziesięć tysięcy całego majątku i czworo dzieci! — wpadł jej w słowo szorstko opiekun. — Romantyczne szaleństwo! Lepiej było pomyśleć o żywych, niż o umarłych — w tym razie, oczywiście! — żuł swą naganę bez słów, sztywny i wyprostowany, z rękami założonemi na piersiach.

Pani Alina spuściła jasną głowę, mnąc i rozkładając batystową chusteczkę. Dotknięta była do żywego tonem tego „niedźwiedzia".

— Traktuje mnie jak głupią, psotną dziewczynkę! — myślała. — Skoro tak, nie powiem mu wcale, żem to uczyniła przed wyjaśnieniem Bisi. Pewna byłam wówczas, że posiadamy Malinki.

— Czy zechcesz powierzyć mi tę resztkę pieniędzy?! — otworzył usta stryj.

— Najchętniej! — zgodziła się natychmiast wdowa.

Ton głosu „niedźwiedzia" złagodniał. Brzmiał w nim szczery akcent przyjaciela, chcącego przyjść z pomocą:

— Umieszczę ci je w akcjach tramwajów i będziesz miała pewność i procent — pomilczał chwilę. — Nie możesz wychować i wykształcić czworga dzieci. Trzeba ci zdjąć ten ciężar z bark! — rzucił okiem na jej delikatne ramiona. — Otóż Michasia zabieram do siebie. Podejmuję się przeprowadzić go przez gimnazjum i politechnikę. Gdzie jest na trzech,

znajdzie się i na czterech. Odpada ci jeden. Pawełek i Hala znajdą mądrą i czułą opiekę u siostrzeńca Rozalki, Kazimierza i jego żony. Stracili, jak wiesz, przed rokiem dwóch synków w jednym dniu na dyfteryt, a że kiedyś zachwycali się przed nami waszemi dziećmi, więc zaproponowałem im tę opiekę. Zgodzili się z radością. Bogaci są i kulturalni. Będzie tam dzieciom jak w niebie. Nie tracisz ich wcale — przeciwnie. Co niedziela i święto przyjdą wszyscy do ciebie na cały dzień, a wierz mi, że i ty będziesz w jednym i drugim domu — najmilej widzianym gościem — umilkł. Tak długie opowiadanie nie leżało w jego naturze. Wdowa milczała również. Oczy miała spuszczone, twarz bladą, bez żadnego na pozór wyrazu.

— Ania zostanie przy tobie — ciągnął dalej stryj po długiem wytchnieniu. — Oderwać od ciebie to egzaltowane, wątłe i przeczulone dziecko — byłoby zbrodnią! — głos opiekuna nabrał jeszcze cieplejszych tonów. — Odnajmiesz część tego dużego mieszkania, bo zapewne — wolisz pozostać tu, w tych ścianach? — powiódł wzrokiem po nieruchomej twarzy synowicy — chrząknął donośnie. — Prócz tego, wyrobiłem ci posadę w biurze, gdzie sam od dwudziestu lat pracuję. Wraz z procentem od tych — skrzywił się jakby połykał niesmaczną pigułkę, tak nie mógł jej darować tego „romantycznego szaleństwa" — od tych ośmiu tysięcy, będziesz żyła spokojnie, a nawet względnie dostatnio. Chodzi o przetrzymanie kilku lat. Gdy Michaś dojdzie do stanowiska — otoczy cię dobrobytem z pewnością. Tymczasem jednak będziesz miała niezależność, a to — najważniejsze! Radbym posły-

szeć twe zdanie! — oparł się brodą o piersi i spozierał na synowicę z pod brwi.

Za każdem słowem stryja ogromny smutek wzbierał się w sercu pani Aliny.

— Rozbite gniazdo! Rozbite gniazdo! — powtarzała sobie w duchu. — Zabierają mi dzieci, a ja nawet protestować nie mogę, bo za jakież fundusze wychowywać je będę?! Niezależność?! Ładna mi niezależność! — uśmiechnęła się nagle gorzko i podniosła głowę:

— Muszę się zgodzić na wszystko, co mi stryj przedstawia. Są fakty, z któremi trzeba się godzić, ale niepodobna zachwycać się niemi. Stryj wysławia moją niezależność. Innego widocznie jesteśmy zdania, bo lokatorzy w tych drogich ścianach, a szef w biurze, to najstraszliwsza na każdym kroku zależność! — urwała a w jej fijołkowych źrenicach łyskały iskierki buntu.

Stryj Benedykt nie zmieniał postawy. Kiwał wolno prawą nogą, założoną na lewe kolano. Wrzał cały od pełnej politowania wzgardy, ale twarz jego była nieprzenikniona:

— Niemożna widocznie mieć żadnej stycznej z „tą laleczką“! — rozważał. — Piękne pojęcie o niezależności! No! — i nagle wyrzucił bezwzględne słowa:

— Pisała mi Bisia, że ten miljoner, Dominik Żaba, chętnie płaciłby ci jakąś rentę. Czy wolisz taką jałmużnę?

— Stryju! — porwała się z miejsca pani Alina. — Takie wyrazy — ranią!

— Więc nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć i wykonać mój program — orzekł pan Bene-

dykt, wstając również powoli. — Czy powiesz to sama dzieciom?

Wdowa spojrzała mu w oczy z takim wyrazem, że zdumiał się szczerze. Był on głęboki, z najtajniejszej treści duchowej płynący:

— Nie, stryju! — wybuchła. Ja im tego nie powiem! — i, przyłożywszy maleńką chusteczkę do oczu, uciekła z salonu, szlochając na głos. Został po niej tylko zapach róż, a ściany pokoju, w którym jej mąż pisywał przy olbrzymiem biurku, odesłały echo łkania jego osieroconej boginki.

Opiekun stał jak skamieniały i patrzył w stronę drzwi, za któremi znikła wiotka postać w żałobie, uwieńczona koroną złotawych włosów.

— Serce matki upomina się o swoje prawa! Biedna kobieta! — pomyślał i poszedł do dzieci.

ISKRY W POPIOŁACH.

W znanej firmie handlowej „Philipps i Spółka" wrzał ruch gorączkowy. Olbrzymie pomieszczenie, przeznaczone na biuro, tętniło klekotaniem maszyn piszących i stłumionym z umysłu gwarem niezbędnych wśród urzędników krótkich, rzeczowych rozmów. Przy jednym ze stolików pod oknem siedziała młoda kobieta w żałobie. Jej śliczne, delikatne palce wystukiwały z pewnem wahaniem długi list po angielsku na stojącym przed nią Underwoodzie. Tak była zajęta nieustannem sprawdzaniem identyczności oryginału z dokonywaną kopją, iż nie zauważyła woźnego, który stanąwszy tuż przy niej oznajmił przyciszonym głosem:

— Pan Dyrektor prosi panią do siebie na chwilę.

Złotowłosa urzędniczka wstała śpiesznie z krzesła, a siedząca nieopodal maszynistka, której biegłe palce zdawały się wygrywać od niechcenia różne pasaże i gamy na dużym „Continentalu" — zaśmiała się do koleżanki życzliwie:

— Może to awans, pani Alino?!

Zagadnięta machnęła wątpiąco białą ręką o błękitniejącej sieci drobnych żyłek.

— Jeśli tak, to zapisuję się z góry na koleżeńskie oblanie takiego daru fortuny! — podniósł oczy od

rozłożonej księgi młody pomocnik buchaltera i wzrokiem pełnym zachwytu przeprowadził aż do drzwi oddalającą się wykwintną — pomimo skromnej sukienki — postać w żałobie.

Tymczasem urzędniczka wyszła na korytarz i, zapukawszy dyskretnie do drzwi od pokoju dyrektora zarządzającego, weszła do wnętrza. Stanęła jak wryta, gdyż nieoczekiwany widok wstrząsnął nią tak jakgdyby piorun przeszył ją całą nawskróś. Delikatne nozdrza zadrgały. Oczy błysnęły bólem:

— Edmund! — poruszyły się wargi bezgłośnym szeptem.

Nie chodziło tu wcale o ich krótkotrwałą miłość, ale wraz z pojawieniem się tego towarzysza młodości — cała szczęśliwa przeszłość stanęła przed nią niby porywająca wizja! Malinki — ojciec — ciocia Misia — i jej własne radosne, beztroskie życie!

Wytwornie ubrany brunet przerwał na szelest kroków naradę z szefem firmy i wbił czarne oczy, w których wzbierało zdumienie, w znieruchomiałą urzędniczkę:

— Alinko?! Co ty tu robisz?! — wstał i złożył na jej ręce pocałunek pełen istotnej radości.

— Pracuję jako korespondentka! — wyjaśniła bez wahania, siląc się na spokojny ton głosu.

— Widzę, że państwo się znają?! — powiedział z odcieniem ciekawości dyrektor, śledząc wzrokiem gwałtowne wzburzenie na twarzy swej urzędniczki i wyraz oczu klijenta, przygryzającego dolną wargę w zadumie.

— Od najwcześniejszego dzieciństwa! — potwierdził gość z melancholijnym nieco uśmiechem.— Łączy nas bliskie pokrewieństwo!

— Ale my zabieramy drogi czas panu dyrektorowi! — oprzytomniała pani Alina i spojrzała ujmująco na swego szefa: — zostałam wezwana do gabinetu, więc — słucham!

Dyrektor podał jej arkusz papieru:

— Chciałem panią prosić o przetłumaczenie na angielski umowy, zawartej z panem właśnie — skłonił głowę w stronę Edmunda uprzejmie — jako z przedstawicielem Domu Handlowego w Kijowie. Poślemy to następnie do naszej centrali w Londynie.

— Czy mam dziś się z tem załatwić? — spytała pośpiesznie, rzucając szybkie spojrzenie na ścienny zegar, wskazujący wpół do trzeciej po południu, a na zaprzeczenie szefa, zwinęła arkusz w rulon, ukłoniła się obecnym ze swym zwykłym, niewysłowionym wdziękiem i opuściła pokój.

Gdy po upływie pół godziny wyszła z biura na ulicę, Edmund podszedł do niej z rozjaśnioną twarzą:

— Czekałem na ciebie, moja droga, z niecierpliwością sztubaka! Ileż to lat nie widzieliśmy się? Czekaj! Zaraz obliczę!... Szesnaście! Tak, tak! Ktoby to powiedział, patrząc na ciebie?! — ogarnął spojrzeniem pełnem zdumionego podziwu szczupłą, kształtną postać, otuloną w fokowe, połyskliwe futro, nie mógł spuścić oka z delikatnego profilu, z brwi sobolowych i brzoskwiniowej barwy zwróconego ku niemu policzka. Ostry wiatr marcowy usiłował się wślizgnąć pod wysoki kołnierz skunksowy, od którego odbijały się pięknie jasne włosy.

— Wiedziałem zawsze wszystko o tobie dopóki żyła moja matka! — ciągnął dalej niezrażony jej milczeniem. — Od roku wszakże dochodziły mię

tylko jakieś niepewne wieści! Ktoś mówił mi, że nowy właściciel Malinek proponował ci wydzierżawienie ich i że podobno zgodziłaś się na ten projekt. Możesz sobie tedy wyobrazić moje źdźiwienie, gdym ujrzał cię, wchodzącą do gabinetu „Philippsa“! Czy pozwolisz, abym odprowadził cię do domu?!

Pani Alina odwróciła ku niemu twarz z całą swobodą:

— I owszem! — zgodziła się chętnie. — Zostałam w dawnem mieszkaniu, tylko wygląda ono nieco inaczej, niż za życia Zygmunta! — westchnęła, łowiąc jednocześnie ukośnem spojrzeniem skurcz niezadowolenia na wyrazistem obliczu towarzysza. Ochłonęła zupełnie z pierwszego wrażenia, a upewniwszy się niejednokrotnie przy obcowaniu z mężczyznami o potędze swego dawnego, niegasnącego czaru, postanowiła wyrównać przykre rachunki z kuzynem.

— Kochałam go wówczas! — myślała. — Nie chciał mnie! Teraz on pokocha, a ja — nie zechcę!

— Twój szef zaznajomił mię z waszem położeniem — mówił Edmund miękkim, ciepłym głosem, idąc obok kuzynki. — Jest dla ciebie nadzwyczajnie życzliwy i to wcale nie z powodu przyjaźni ze stryjem Benedyktem! Podbijasz wszystkich jednem wejrzeniem tych feerycznych, ametystowych oczu! Zostałaś tą samą boginką leśną, co ongi, przed laty! Pamiętasz?! — zatopił w niej wzrok, którym starał się dotrzeć do tej głębi serca, gdzie tają się niespełnione marzenia, ale młoda kobieta zawołała wesoło:

— Przesadzasz, Edmundzie! Lepiej opowiedz mi swoje dzieje? Jak ci się powodzi? Sądzę, że do-

brze! — zerknęła nań figlarnie. — Mam podstawę do takiego mniemania, gdy widzę gentlemana, któremu Petroniusz mógłby pozazdrościć elegancji!

Lekki ton Alinki drażnił jej towarzysza. Ładnie skrojone usta, skrzywiły się nieco kapryśnie pod przystrzyżonym, czarnym wąsikiem. Zdobywca kobiet, pławiący się dotychczas w promieniach gwiazd i gwiazdeczek z wyższego świata i z za kulis — napotykał opór w przyciąganiu nowego światełka ku sobie. Trudna gra zaczynała go nęcić. Postanowił zwyciężyć.

— Nie ożeniłem się! rozpoczął wolno. — Nie mogłem! — zawiesił głos. Młoda kobieta nie odzywała się, stawiając kroki z mimowiedną gracją nimfy, której zły los każe stąpać małemi, cienkiemi w kostce nóżkami po bruku Warszawy. Mijani przechodnie niejednokrotnie już oglądali się za nią, albo też rzucali jej oczyma brutalne pochlebstwo:

— Śliczna jesteś, bestyjko, i wiesz o tem!

Edmund podniecał się coraz bardziej. Czuł, że gra drugie skrzypce, a jego kuszące melodje nie wywierają należytego wpływu. Zmienił nagle rytm:

— Pytasz, czy mi się powodzi? — odezwał się poważnie. — I tak i nie. Zarabiam dość, aby prowadzić życie dostatnie, ale moralnie — czuję pustkę wokoło siebie. Zwłaszcza od czasu śmierci mojej matki mam stałe wrażenie, że nikogo los mój nie obchodzi! Mógłbym umrzeć dziś jeszcze i zdaję sobie doskonale sprawę, że w kwadrans, no — w godzinę, dajmy na to, wszyscy moi znajomi przeszliby nad tym faktem do porządku dziennego! Każdy z nas potrzebuje jednak wiernego serca! Gdybyś wiedziała z jaką przykrością wracam po całodzien-

nej pracy do mego pustego mieszkania! Nie dziw się, że corychlej wynoszę się z tych chłodnych ścian i ruszam w świat! Bałamucę się, podkochuję potroszę, ale te miraże szczęścia tak są jałowe, tak zwiewne, że mniej zostawiają po sobie śladu, niż dym z wypalonego papierosa!

— Ja tego nie mogę powiedzieć! — wyznała pani Alina, podbita tą spowiedzią. — Kocham moje dzieci i myśl mam niemi zajętą. Szczególniej Ania, najmłodsza! To mój promyczek radości i pociechy! Oplecie moją szyję małemi łapkami, przytuli usteczka czerwone jak dwie malinki i obsypuje swoją matusię pocałunkami bez liku! Wiem — poco żyję!

— Tem więcej powinnaś mieć współczucia i serca dla takiego zgorzkniałego samotnika jak ja! — szepnął z gorącą prośbą.

Kuzynka spojrzała nań przychylniej:

— Proście, a będzie wam dane! Dochodzimy już do mego mieszkania. Może tedy, jako wspomnienie naszej młodości, zechcesz bez ceremonji wstąpić do mnie na obiad. Skromny będzie, o wiele skromniejszy, niż w Malinkach, ale zapracowany przezemnie. Nie przypuszczałam dawniej, że to ma tyle uroku! Życie nas łamie i wyrabia. Nieprawdaż?! — szli po schodach i za chwilę klucz, wyjęty z torebki przez złotowłosą „boginkę“ otworzył drzwi wejściowe.

Tupot małych nóżek dał się natychmiast słyszeć z głębi mieszkania tak jakgdyby ktoś niecierpliwy wyczekiwał na tę chwilę i Ania w czarnej sukience z takąż dużą kokardą na jasnych włosach przybiegła pędem do matki.

— Spóźniłaś się, matuchno! — wołała dźwięcz-

nym głosikiem. — Brygidka dawno już mnie przyprowadziła z mojej „szkoły“! i spostrzegłszy obcego „pana“ stropiła się i zamilkła, wtulając się w gładkie futro matki i obserwując w milczeniu nieznanego przybysza.

— Więc to jest twoja najmłodsza córeczka?! Jak się masz, mała?! — powiedział Edmund tonem, w którym przebijało się lekceważenie i nieprzychylne uczucie dla dziecka „tamtego“.

Ania wyczuła to odrazu, chociaż nie mogła odgadnąć przyczyny niemiłego spojrzenia, wwiercającego się w nią z chłodem toczonej stali.

— Podobna do ciebie, jak dwie krople wody, z tą tylko różnicą, że ty masz w oczach fijołki, a to dziewczyniątko — szafiry! — zapewnił gość znacznie łagodniejszym głosem, pragnąc zatrzeć ujemne wrażenie, jakiego doznała pani domu wobec wyraźnej antypatji kuzyna do jej pieszczoszki. Udało mu się to w pewnej mierze, gdyż pochlebne słowa trafiły do celu.

Matka pogłaskała maleńką po główce:

— To jest twój nowy wujaszek, Aniątko! Nie znałaś go dotychczas, bo mieszka daleko stąd, w Kijowie. Pamiętasz Bolesława Chrobrego?! No, to wiesz gdzie jest ten Kijów, nieprawdaż?! A teraz — biegnij do Brygidki! Niech nam podaje coprędzej obiad! Dobrze córuchno?! Czekaj, czekaj! Pocałuj tego wujaszka! Serdecznie. Słyszysz?! — ale dziewczynka rzuciła się nagle w bok, ku drzwiom i wołając na cały głos:

— Brygidko! Mamusia przyszła! Obiad! Obiad! — znikła w jednej chwili z przedpokoju.

— To małe, czupurne stworzenie prowadzi nie-

świadomie politykę twego ojca — zaznaczył gość delikatnie. — Naucz mię, w jaki sposób można skruszyć zapory tego nieufnego serduszka?!

Pani Alina uczuła, że harmonja pomiędzy nimi rozprzęgła się na chwilę. Postanowiła traktować całe to zajście lekko:

— Najlepiej nie zwracaj teraz na nią uwagi! Ania jest uparta, może się zaciąć. *Suivez la femme, elle vous fuit — fuyez la, elle vous suit!* Znasz to przysłowie?! — zauważyła. Jej uśmiech odbił się na jego ustach:

— Czy mam je stosować i do matki?! — powiedział żartobliwie.

— Brygidka już niesie wazę! — umknęła zręcznie z pod jego wzroku. — Chodźmy do jadalni. Jesteś już, Aniu?! Doskonale. Siadaj tu przy mnie. A ty, Edmundzie, zabieraj miejsce po drugiej stronie. Tak. Może nam opowiesz coś o Ukrainie. Czy tam jest naprawdę tak bajkowo pięknie?!... Czy Kijów jest istotnie tak malowniczy na wiosnę w zieleni ogrodów?!...

Edmund wyszedł od kuzynki późnym wieczorem i podążył w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Był oczarowany i podrażniony zarazem. Owa słodka Alinka, poddająca się ongi bez zastrzeżeń jego wpływowi, dziś — wyzywała go do walki całem swem zachowaniem się. Jej przekorna wesołość i podkreślany z umysłu hart ducha nie omamiły go ani przez chwilę. Jako wytrawny znawca kobiecej duszy, wyczuwał bowiem, że te pozorne objawy zadowolenia z losu, nie płyną z wewnętrznego poczucia, że są raczej efektownym gestem, mającym za cel dosięgnięcie go w jego męskiej ambicji. Wy-

rywały się jej niekiedy słowa, mącące harmonję poprzednich wynurzeń. Naczelnik biura, „nieznośny mantyka“ zwracał jej nieraz listy, podkreślając złośliwie nie fachowo ujętą korespondencję handlową. Namozoliła się dobrze zanim go zadowolić zdołała. To znów głos jej zadrżał i oczy zasnuły się bólem, gdy mówiąc o starszych dzieciach, westchnęła cicho:

— Przychodzą do mnie często, ale widzę jasno, że życie odrywa je odemnie. Przywiązują się do nowych opiekunów! Nic dziwnego! Więzy się rozluźniają mimowoli!

Jak smutnym był jej głos przy tych słowach i jak znamiennem to nagłe przerzucenie się w skrajną, chociaż w najlepszym smaku, wesołość. A ta maleńka dziewczynka, której wzrok spoczywał na nim tak przenikliwie, badawczo i niechętnie zarazem. Edmund musnął ją w czasie obiadu kilkakroć przelotnem spojrzeniem i spostrzegał zawsze, że szafiry jej oczu chowają się szybko pod spuszczone powieki. Czuł jednak doskonale, iż ta córeczka Alinki nie jest zwykłem, przeciętnem stworzeniem. Miłość dla matki opromieniała też same szafiry taką siłą uczucia, że „nowy wujaszek“ widział się zepchniętym do całkiem drugorzędnej roli wobec gorącej tkliwości kuzynki dla dziecka.

Rozpamiętywał te wszystkie wrażenia, idąc niespiesznym krokiem w stronę „Bristolu“, gdzie zamieszkał i mijając przechodniów, nie frasujących się podobnie jak i on — możnością napadu lotników niemieckich. Był to już drugi rok wojny europejskiej i ówczesna Kongresówka została w znacznej części okupowana przez mocarstwa centralne. Uderzenie jednak na Warszawę nie udało się Niemcom w je-

sieni 1914 roku, gdyż zostali wówczas odparci przez wojska rosyjskie i zatrzymali się na linji Bzury i Nidy, przypominając się wszelako często pamięci mieszkańców syreniego grodu w postaci bomb, rzucanych z aeroplanów na miasto.

Pękające „wizytówki“ nie czyniły wiele ofiar wśród ludzi i Warszawa przyzwyczaiła się wkrótce do tych niepokojów wojennych, znosząc je z całym stoicyzmem. Panika, wywołana okrucieństwami Niemców w Kaliszu, zdołała już opuścić umysły ludzkie, dążące wciąż bezwiednie do złudzeń nadziei. Życie zresztą samo narzucało ludności cywilnej inne ciężkie zadania do rozstrzygnięcia: rosnącą nędzę wśród rodzin robotników, wziętych do wojska i opiekę nad rzeszami uchodźców z okupacji niemieckiej, wysiedlonemi z miejscowości, objętych pożarem wojennym i szukającemi w warszawskich murach dachu i chleba. Spekulacja produktami spożywczemi dawała się również we znaki, nic więc dziwnego, że ludzie snujący się po ulicach miasta, sprawiali wrażenie dążących do jakiegoś celu, nie cierpiącego zwłoki i gniotącego ich ciężarem prymitywnej zagadki bytu. Edmund szedł również pogrążony w myślach, ale zgoła innego rodzaju. Sam fakt, że słabowolna, rozpieszczona jedynaczka umiała teraz zdobyć się na udawanie wobec niego wielkiej tężyzny, świadczył o wzmocnieniu jej sił duchowych. Ileż w niej przytem było uroku! Nieposkromiona wyobraźnia rysowała przed oczyma idącego wysmukłą postać kuzynki, olśniewającą biel jej zębów, uśmiech, spojrzenie fijołkowych oczu...

— Wzięła mię!... Wzięła mię!... — powtarzał w myśli, konstatując jednocześnie radosne wzru-

szenie, jakie go ogarniało powoli. Miłość lat młodzieńczych odepchnięta ongi, zlekceważona, stanęła dziś przed progiem jego serca natarczywa i pożądana zarazem. Wspomnienie Ani mąciło jej skrzącą powierzchnię. Z nielogicznością, jaką mężczyźni przejawiają zawsze, gdy idzie o kochaną kobietę Edmund darowywał Alinie, że stała się żoną Zygmunta — instynktownie natomiast nie znosił Ani, jako córki tamtego. Przeżywał chwile przykrej rozterki duchowej. Egoista, ścielący sobie dotychczas życie jaknajwygodniej, esteta, unikający z zasady najlżejszych zgrzytów i nieprzyjemnych powikłań — nie wróciłby już zapewne na Brzozową, gdyby nie czar kuzynki, spotęgowany świetlanem wspomnieniem dni pierwszej młodości. Że Edmund był samolubem, że jego ambicje życiowe przerodziły się wobec powodzenia w chorobliwą pychę, co mu ogólnie zarzucano — nie było jego tylko winą. Przeciwnie — spaczenie to charakteru zdolnego i uczciwego człowieka sięgało przyczyn głębszych, wynikających z pożycia jego rodziców. Ojciec Edmunda, pan Zdzisław, niezwykle piękny mężczyzna, świetny adwokat i krasomówca, zapamiętały wielbiciel kobiet, czarujący poprostu lekkoduch, zawracał głowy wszystkim napotykanym mężatkom i pannom, nie myśląc wcale o więzach hymenu. Można sobie wyobrazić osłupienie przyjaciół i znajomych, gdy wśród nich spadła jak bomba wieść o zaręczynach niepokonanego dotychczas „*charmeur'a*" z panną Anną Rysińską, córką ziemian z Podola.

— A więc i on miał swą piętę Achillesową! — śmiali się z zadowoleniem żonaci już koledzy.

— Śmierć i żona od Boga przeznaczona! — ki-

wały z rezygnacją głowami matki panien na wydaniu, szalejących wprost z ciekawości, jaką była ta, która je wszystkie zwyciężyła.

Jeśli pod względem zewnętrznym młoda para narzeczonych była istotnie „dobraną“, to z punktu widzenia duchowego ilustrowała znakomicie trafne powiedzenie francuskie: „*Les extrêmes se touchent*“! Panna Anna Rysińska była to smukła i wysoka szatynka o pociągłej twarzy i niezmiernie regularnych rysach. Jej piękne, czarne oczy mieniły się blaskami rozumu i dobroci, postać tchnęła cichą, pełną prostoty godnością. Cała jej głęboka wartość moralna promieniowała od wewnątrz, podczas gdy pana Zdzisława stać było tylko na powierzchowne, ale zato świetne efekty. Już w parę lat po ślubie stało się jasnem dla wszystkich, że psotny Amor strzelał w te dwa serca na ślepo. Pan Zdzisław otrząsnął się z kajdan małżeńskiej wierności i wskoczył z ulgą w zrzuconą skórę dawnego „*charmeur'a*“, młoda zaś jego żona, przebolawszy ciężki zawód co do wartości ukochanego człowieka i uważając to za krzyż zesłany jej z woli Boskiej — oddała się wychowaniu jedynego synka z całą gorącością i egzaltacją uczuć opuszczonej kobiety. Przeniosła się do dziecięcego pokoju, nie odstępowała „Muneczka“ na chwilę, otuliła go poświęceniem matczynego serca, czyniąc zeń w domu wymagające i coraz bardziej samolubne — bóstwo.

Ojciec kochał również jedynaka, który pochlebiał jego próżności, ale kochał go po swojemu, czyli pieścił i psuł, dogadzając wszystkim zachciankom małego, tak jakgdyby pragnął tem nierozsądnem postępowaniem zrównoważyć obojętność dla żony.

Muneczek nie wiedział co znaczy słowo: Niemożna! Wszystko było możliwe i łatwe do osiągnięcia, chociażby kosztowało sumy pieniężne, a znaczne zarobki adwokackie pana Zdzisława ulatywały z wiatrem na wystawne życie w domu i po za domem. Edmund zdał maturę i przygotowywał się do wyjazdu zagranicę na wyższe studja, gdy nagła śmierć ojca wskutek piorunującego zapalenia płuc — położyła kres istnieniu bez troski. Jako cała podstawa bytu dla nich dwojga został tylko kapitalik matki, owa słynna „czternastka“ majątku, jaką rząd rosyjski wyznaczył dla córek, faworyzując tem samem synów rodu. Pomimo to pani Anna nie zmieniła ani na jotę ułożonego oddawna planu. Muneczek powinien był skończyć akademję handlową w Antwerpji i będzie miał na to potrzebne środki dopóki jej tchu starczy w piersiach. Zawsze wysmukła i prosta, w żałobnej sukni, w czarnej koronce na włosach posrebrzonych tyloletniem cierpieniem, gdyż męża kochała niezmiennie — objawiła synowi taką swą wolę. Wola ta była identyczna z najgorętszem życzeniem Edmunda, zgodził się więc na nią z łatwością, nie zagłębiając się wcale w trudności urzeczywistnienia kosztownego zamiaru.

Pani Anna zdawała sobie wszelako sprawę jak ciężkie zadanie bierze na swe barki, ale ze zwykłem sobie cichem męstwem zabrała się do pracy. Z domu rodzicielskiego wyniosła świetną znajomość obcych języków, lekcjami tedy postanowiła przysporzyć niezbędnych dochodów. Grono jej uczni rosło z każdym miesiącem, albowiem rozum i dobroć rzadko sprzęgają się z sobą, a w takim wypadku przyciągają ludzi jak magnes. Mogła więc dzielna kobieta posy-

łać jedynakowi dość znaczne pieniądze, które on trwonił lekko i z wdziękiem, wierny tradycji ojcowskiej. Dopiero list pana Wojciecha, wyjaśniający prawdziwy stan rzeczy, wstrząsnął młodzieńcem. Dusza Edmunda nie była tak jałowa jak piaski pustynne. Oprócz wad ojca odziedziczył on również i zalety matki. Był bezwzględnie uczciwym i miał wstręt do wszystkiego, co niskie. Wyzyskiwał matkę! Oto myśl, jaka oślepiła go nakształt błyskawicy w ciemności, przy czytaniu ostrego listu wuja. Wziął się do pracy z zawziętością podrażnionej ambicji, skończył akademję chlubnie i powrócił do kraju. Przejście miłosne z Alinką nie pozostawiło w jego sercu głębszych śladów. Walczył w Kijowie o uznanie i stanowisko i dopiął celu. Został prokurentem bogatej firmy handlowej, miał znaczne dochody i mógł zapewnić matce życie dostatnie. Nie zabrał jej jednak do Kijowa, o czem marzyła stale w cichości wiernego serca, gdyż jej obecność w mieszkaniu byłaby przeszkodą dla jego kawalerskiej swobody. Przyjeżdżał tedy do Warszawy od czasu do czasu, witany zawsze jak królewicz z bajki przez uwielbiającą go matkę i przez jej długoletnią, oddaną służącą, Jagusię. Choroba pani Anny sprowadziła Edmunda na dłużej. Dowiedział się od doktorów, że stan pacjentki jest beznadziejny i w obliczu nadchodzącej Śmierci wyzwolił się po raz pierwszy w życiu z egoizmu, który stał się jakby drugą jego naturą. Pielęgnował matkę po nocach, czujny na każde jej westchnienie, na każdy jęk bólu. Uśmiechem pokrywał własne cierpienie, gdyż kochał tę siwą, wychudzoną staruszkę głęboko i szczerze. Z każdym dniem, choć żyjąca

jeszcze, odchodziła odeń dalej i dalej, nie szczędził więc jej uczucia, składając dowody gorącej synowskiej miłości. Te chwile przed zgonem były najlepsze, najsłodsze w szarem życiu pani Zdzisławowej, szeptała niekiedy, wodząc za jedynakiem oczyma, błyszczącemi od żaru gorączki:

— Jestem szczęśliwa... Dziękuję ci, synku!...

Z tym szeptem na ustach umarła po kilku tygodniach, opłakiwana przez Edmunda i przez zacną, niezastąpioną Jagusię. Zdawało się, iż cios ten przerodził samoluba w zgoła innego człowieka. Dawne lekkie, beztroskie życie wyszumiało mu z głowy, opanowała go tak silna tęsknota za matką, że jeździł codziennie na Powązki i tam godzinami siadywał przy wspaniałym pomniku, jaki wystawił dla zmarłej, wskrzeszając w pamięci każde jej słowo każdy gest i pełne tkliwości spojrzenie. Zajął się losem Jagusi, darował jej część mebli matczynych, kupił maszynę do szycia, aby mogła zarobić na życie jako doskonała bieliźniarka i zainstalował ją w małem, własnem mieszkanku. Toteż uwielbienie Jagusi dla „panicza“ graniczyło wprost z bałwochwalstwem. Uważała go za człowieka najdoskonalszego na świecie całym i gdyby nawet pomawiano go o zbrodnię, to Jagusia w prostocie swego gołębiego serca, znalazłaby jedyną odpowiedź: Widocznie tak trzeba było! Jej „panicz“ bowiem nie byłby w stanie popełnić czegoś nieszlachetnego, pozbawionego wzniosłości serca i duszy!

Trafnie jednak mówi przysłowie: „*Chassez le naturel, il revient au galop*“. Edmund odjechał do Kijowa, gdzie go oddawna wzywano i jął powoli ostygać. Skorupa egoizmu, stopiona w cierpieniu,

narastała bezwiednie, poprzedni tryb życia wciągał go nieznacznie w urozmaicone koło rozrywek, piękne Kijowianki gotowe były ocierać mu łzy z oczu wonnemi chusteczkami, koić jego żal czarem uśmiechów i spojrzeń. Zwolna, lecz pewnie, ów romantyczny, poświęcający się dla matki Edmund, rozwiewał się we mgle wspomnienia, ustępując miejsca dawnemu, dbającemu wyłącznie o siebie sybarycie. W owej chwili, gdy po powrocie od kuzynki, brał u portjera klucz od swego pokoju i jechał windą na drugie piętro w „Bristolu", minęło lat parę od śmierci pani Anny. Zasadnicze cechy charakteru uwielbianego przez nią jedynaka, nie poskramiane wolą, wybujały jak przejaskrawione kwiaty zła, rozrosły się niby dzikie płonki, nie przycinane ręką dbałego ogrodnika.

Pracowity, solidny, układny w stosunkach handlowych — w życiu prywatnem nie zwykł przystosowywać się do okoliczności i ludzi. Nałamywał raczej wszystko do siebie, nie bacząc na cierpienie i krzywdę moralną, jaką zadawał dla dogodzenia swym chwilowym miłostkom. Był nieobliczalny i dlatego właśnie czarował kobiety. Niekiedy — zrażony najlżejszą trudnością, odchodził z wielkopańskim gestem pożegnania, bez żalu. Byleby nie naruszyć doskonale zbudowanej, egoistycznej harmonji wewnętrznej!

Zagłębiony w rozmyślaniach, jakie przetrawiał przez całą drogę od Starego Miasta na Krakowskie Przedmieście, rozbierał się teraz w elegancko umeblowanym pokoju hotelowym, zdejmując wykwintne ubranie i lśniące obuwie. Położył się do łóżka, ale długo usnąć nie mógł tak miał nerwy rozkołysane.

Żadna kobieta nie wywarła na nim tak silnego wrażenia, jak Alinka! I to nie ta dawna, wiośniana dziewczyna, ale — matka czworga dzieci, kobieta w rozkwicie urody i wieku! Mniejsza o tamte dzieci! Wyszły z domu i zawadzać mu nie będą! Ale Ania?! Ta mała, poważna dziewczynka, którą matka otacza ogromną tkliwością! Nie podobał się jej — to jasne. Hm, nic dziwnego. Sympatja i antypatja są zawsze wzajemne. Wszakże i ona drażni go swą obecnością. Może wyrzec się widywania kuzynki?!... Nie! — krzyknął niemal głośno, tak uczuł się nagle porwanym przelotną wizją uroczej kobiety.

Co za komplikacje!... Chyba ożenić się i dziewczynkę usunąć z domu... Oddać ją do klasztoru, albo na pensję. Wstrząsnął się i dalej rozważał, szarpnięty zazdrością. Przecież to śmieszne! Śmieszne! On — miałby sobie uszczuplać wydatki, odmawiać estetycznych rozkoszy, poświęcać długoletnie przyzwyczajenia do piękna, do komfortu i to w jakim celu?! Aby starannie wychować córkę — Zygmunta?!... Nie! Zacisnął z gniewem zęby, gdyż czuł się zagnanym w jakieś położenie bez wyjścia. Postanowił wreszcie iść po linji najmniejszego oporu i płynąć ze sprzyjającą falą. Nie zastanawiał się wcale, że pod tem mglistem określeniem taić się mogły zamiary niezbyt pochlebne dla ślicznej wdowy i uspokojony rozstrzygnięciem dręczących go wątpliwości — usnął nad ranem.

NIESPODZIANKA.

Marnie żywiona szkapina „sałaciarza“ warszawskiego wiozła pannę Balbinę z dworca Brzeskiego na Stare Miasto. Wielkanoc w owym pamiętnym 1915 roku przypadała w dniu 3 kwietnia, roboty w polu, powstrzymywane przez ranne przymrozki, nie rozwinęły się dotąd w całej pełni, więc stęskniona „Bisieńka“ postanowiła spędzić parę dni świątecznych z panią Aliną i z dziećmi w Warszawie. Twarz zacnej ochmistrzyni nosiła wyraz pogody, snadź rany jej serca zdołały się nieco zabliźnić, a dzielny charakter i odwaga życiowa pomogły jej do odkrycia nowych dobrych stron w zmianach własnego losu.

Wszakże pan Dominik Żaba idealnym był chlebodawcą, a Krzyśka wkradła się już swemi przemiłemi listami do grona tych osób, które panna Balbina najgoręcej kochała. Córka miljonera wiedziała, że ojciec kupił dla niej Malinki. Pomimo, że nie uznawała dziedzictwa dla siebie, to jednak wchodziła energicznie w prawa przyszłej właścicielki, gdyż szło jej o innych. Zastrzegała więc często w słowach przymilnych i uporczywych zarazem, aby tradycja obdarzania mieszkańców z Brzozowej przysmakami wiejskiemi, utrzymywana była przez „najdroższą Bisię“ i nadal. Taką drobnostkę niech „fenome-

nalna Bisieńka" uważa jako słuszny, acz mikroskopijny dodatek do swej miesięcznej pensji.

Gdy pod jednym z takich serdecznych listów podpisał się i pan Dominik, skrupuły panny Balbiny stopniały jak śnieg marcowy, a głęboka jej radość, że i ona weźmie udział w przysporzeniu dobrobytu Alince, skojarzyła się z rosnącem przywiązaniem do nowych chlebodawców. W ową Wielką Sobotę tedy, jadąc truchcikiem przez ulice Warszawy, panna Balbina ogarniała chwilami pieczołowitem spojrzeniem dwie spore walizki z wzdętemi rozkosznie bokami, niepodobnemi zgoła do sterczących ostro kłębów wojennej Rosynanty. To dopiero będzie Święcone! Iście staropolskie i sute!

Dorożka zatrzymała się wreszcie przed domem, gdzie mieszkała pani Zygmuntowa, stróż, pomny na hojne napiwki, chwycił toboły z rozmachem niezwalczonego atlety i panna Balbina jęła szybko wspinać się na schody. Na dźwięk elektrycznego dzwonka Brygidka rozwarła drzwi i, krzyknąwszy na całe gardło:

— O mój Jezusiczku! A dyć to nasza panna Balbisieńka! — przypadła do rąk nieoczekiwanego gościa.

Z jadalnego pokoju wybiegła Ania, spojrzała, wyciągnęła rączki i rzuciła się na szyję panny Balbiny, która z matczynem iście wzruszeniem pochyliła się ku tej drobniutkiej, kochanej dziewczynce.

— Bisieńko! Bisieńko! — powtarzała mała, jakgdyby mieszcząc w tem jednem słowie całą niedomówioną treść swych myśli i uczuć.

Jakiś dziwny ton uderzył niemile wrażliwy słuch przyjaciółki rodziny.

— Czy zdrowi jesteście wszyscy, Aniątko? — spytała, a na potwierdzającą odpowiedź dziecka, rozplotła łagodnie zaciśnięte mocno rączyny, mówiąc:

— Gdzież jest mamusia? Może zasnęła? Zrobimy jej niespodziankę! — śmiała się ochoczo, szczęśliwa, że ma przed sobą chwile obopólnej radości. Srebrne monety, wciśnięte do ręki uniżenie kłaniającego się stróża, dźwięknęły głośno, a przybyła, zdejmując pośpiesznie okrycie, spojrzała na Anię, zdziwiona.

— Mamusi niema! — mówiła dziewczynka. — Wyszła zaraz po obiedzie i jeszcze nie powróciła! — wyraźna nuta smutku przebijała tym razem w głosie maleńkiej.

Panna Balbina doznała przelotnego wrażenia, iż jakaś nowa niedola czai się gdzieś za tym progiem, ale skarciła siebie wnet z całą energją. Dziecko jest przeczulone i chciałoby nie rozstawać się ani na moment z matką.

— Załatwia pewno sprawunki przedświąteczne! — rzuciła lekko. — Jutro pierwszy dzień Świąt, a paczka z Malinek nie przyszła! To dopiero będzie podwójna uciecha! Chodźmy tymczasem do jadalnego pokoju, Aniątko! Porozmawiamy sobie, czekając na mamuchnę. — Otworzyła drzwi do jadalni i stanęła na progu zdziwiona widokiem pięknego białego bzu w doniczce i rozłożystej, wspaniałej azalji, ustawionych na środku stołu.

— Prześliczne! — wyrwało się jej mimowoli, podczas gdy myśl podsuwała wątpliwość: — Czyżby Alinka była tak nierozsądna?!

— To przysłał ten nowy wujaszek! — powiedziała Ania niechętnie.

— Jaki „nowy wujaszek"?! — spytała panna Balbina coraz bardziej zdumiona.

— A ten z Kijowa. Mamusia mówi do niego: Edmundzie! Jakie to brzydkie imię, prawda, Bisieńko?! Mnie się on nie podoba! — mówiła szybko, wyrzucając z głębi serca, utajone tam przykre wrażenia. — Bisia wie?! On mi dał łóżeczko dla Aldony i pudełko z czekoladkami, ale ja nie pokosztowałam ani jednej!

Panna Balbina uczuła nagle, że cała krew spłynęła jej do serca, a potem gwałtownie uderzyła do głowy. Doznała lekkiego zawrotu. Ręką przetarła oczy i osunęła się na szeroką turecką sofę. Edmund tu, w tem mieszkaniu, obdarzający Alinkę tak kosztownemi kwiatami, zabiegający najwidoczniej o jej względy, przyjmowany — życzliwie... Po tylu latach!... Wbrew woli zgasłego ojca!... Wbrew jego stanowczej i ujemnej opinji o charakterze tego pyszałka, tego samoluba, depcącego z wyniosłą obojętnością wszystko — co stawało wpoprzek jego chwilowym zachciankom! Zmartwiałej kobiecie wydało się, iż jakieś przemyślne zło wtargnęło do kochanej przez nią rodziny. Jak temu zapobiec?!... Jak przekonać Alinkę, nie naruszając jednocześnie więzów przyjaźni i zaufania?!...

Myśli panny Balbiny kotłowały w jej głowie, sprzęgały się jedna z drugą w nierozerwalny łańcuch przyczyn i skutków, których zaczątki i końce nie w jej — niestety! — znajdowały się mocy. Zapomniała gdzie się znajduje i dopiero ciepło, tulą-

cego się do jej twarzy policzka Ani, przywiodło ją do opamiętania. Dziewczynka, zaniepokojona upartem milczeniem Bisieńki i jej dziwnym, jakgdyby szklannym wzrokiem, wdrapała się na kolana starej przyjaciółki, garnąc się do niej całą swą drobną istotką. Serce panny Balbiny doznało naraz wstrząsu bezmiernego współczucia. Czyżby życie gotowało dla ukochanej wnuczki pana Wojciecha nową czarę cierpienia?!...

Objęła Anię mocno rękami, oparła pieszczotliwie głowę, przyprószoną już zlekka siwizną, o złotowłosą główinę dziecka i, kołysząc je lekko, zaczęła przemawiać z gorącem uczuciem:

— Moje Aniątko najsłodsze! Moja dziewczynko maleńka! Moja ptaszyno złocista! — ale dziewczynka przerwała te dobre słowa, mówiąc poważnym głosikiem:

— Ja nie jestem wcale Bisieńki! Ja nie jestem niczyja, tylko swoja!

— Co to znaczy?! — zagadnęła stropiona zacna kobieta, rozluźniając nieco swój uścisk i zaglądając w oczy Ani badawczo.

Mała nawijała na paluszek długą frendzlę przy włóczkowym szalu Bisi:

— Ja już nieraz tak sobie myślałam, Bisieńko, tylko nikomu nie mówię! Bisia ma pana Dominika i Krzyśkę! Pawełek i Hala mają wujcia Kazia i ciocię Jankę! Michaś ma stryja Benedykta i ciocię i braciszków! A ja — miałam tatusia i dziadzia! Ale oni tak daleko, w niebie! Chciałabym do nich polecieć, ale nie mogę! — spuściła główkę na piersi.

Panna Balbina podniosła z ogromną delikatno-

ścią ruchów, ślicznie zarysowany podbródek dziewczynki:

— Moja ty pieszczotko najmilsza! Jak możesz tak myśleć?! Przecież masz swoją mamuchnę, która cię kocha nad życie i którą ty również kochasz z całego serduszka!

Szafirowe oczy Ani nie rozjaśniły się jednak po tych słowach promiennym błyskiem radości. Przemyślała snadź po wielekroć to wszystko, co teraz sączyło się z jej obolałej duszyczki, niby strużka wody z pękniętego dzbanka. Pokręciła główką przecząco:

— Ach, Bisieńko! Ja zawsze kocham mamuchnę, ale mamuchna gniewa się na mnie!

— Doprawdy?! Za co?! — dopytywała się Bisia z leciutkim uśmiechem w kącikach ust.

— Mamusia kazała mi kochać tego nowego wujaszka, a ja nie mogę, Bisieńko, nie mogę! Mamusia mówi, że on jest dobry, bo ciągle mi coś ładnego przynosi, a ja nie chcę jego pocałować! Mamusia gniewa się na mnie, że jestem uparta, że się „zacięłam"! Cóż ja zrobię, Bisieńko, kiedy ja jego nie lubię! On na mnie zawsze tak patrzy! — i dziewczynka, naśladując ostry wzrok Edmunda, rzuciła wbok ukośne, niechętne spojrzenie.

Ręka panny Balbiny przesuwała się z pieszczotą po włosach siedzącej na jej kolanach Ani. Milczała. Całą duszą była po stronie winowajczyni, ale przecież niepodobieństwem było występować przeciwko powadze matki. Otwierała już usta, aby pocieszyć dziecko i tchnąć w nie pewność miłości matczynej, gdy wtem posłyszała cichy, urywany głos małej:

— Ja wiem, Bisieńsko, że to wielki grzech nie

słuchać swojej mamuchny! Pewno dlatego mamusia mnie już tak nie kocha, jak przedtem! Dlatego ja już nie jestem mamusina, tylko... swo...ja!...

Wezbrane łzy zerwały naraz tamę powściągliwości Ani, gwałtowne łkania wybuchnęły z maleńkiej piersi, serduszko kołatało z taką siłą jakgdyby chciało wyskoczyć nazewnątrz. Dziewczynka wtuliła główkę w ciepły szal ochmistrzyni, szczupłe jej ramionka opadały i wznosiły się, potrząsane wybuchem jakiejś niezmiernej żałości. Panna Balbina, bliska sama płaczu, całowała i pieściła „swoje ukochane ptaszątko", aż wreszcie zaniosła drogie maleństwo do sypialnego pokoju i tam, położywszy Anię na jej łóżku, usiadła przy niej. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce, a jej opiekunka wyszła na palcach i wróciła do jadalni.

— Tu — oddała się rozmyślaniom, które nie były naogół pogodne. Siedziała bez ruchu, oparta o stół łokciami, z głową zatopioną w dłoniach, aż wreszcie jej odporny, zrównoważony umysł zdołał wydobyć z chaosu uczuć plan jasny i mądry. Gdy tedy metaliczny dźwięk otwieranego przy drzwiach wejściowych zatrzasku, doszedł jej słuchu, wyszła do przedpokoju na spotkanie Alinki z wesołą, uśmiechniętą twarzą.

Okrzyk nieudanej radości wydarł się z piersi pani Aliny:

— Bisieńka! Droga, kochana! Co za niespodzianka! Jakże się cieszę, moja złociutka! — padły sobie w objęcia, ściskając się najserdeczniej.

Wreszcie panna Balbina odsunęła nieco od siebie rozpromienioną panią domu i przyjrzała się jej kochającemi oczyma:

— Śliczna jesteś, Alinko! Nikt-by nie powiedział, że to matka czworga dzieci! Wyglądasz na lat, no — dwadzieścia pięć najwyżej! Cóż to za pyszne fijolki masz w ręku! Pozwól, niech się nacieszę ich wonią!

Pani domu podała z uśmiechem gościowi duży bukiet kwiatów, wyhodowanych znać w oranżerji:

— Proszę, Bisieńko! To moje ulubione kwiaty. Pamięta, Bisia?! Byłam nieumęczona w zbieraniu ich po trawnikach w Malinkach! — rozbierała się żywo, wieszając kolejno na szaragach kapelusz i płaszcz wiosenny.

— Chodźmy do jadalni. Włożymy zaraz te cudne fijołeczki do wody. Proszę iść naprzód prawem starszeństwa i gościnności! — mówiła przymilnie i szczerze.

— Jesteś obsypana kwiatami, moja droga — skonstatowała panna Balbina, wchodząc do pokoju i siadając na sofie. — Widzę i tu przepyszne okazy. Czy wolno wiedzieć kto cię tak obdarowuje, bo przecież sama nie wydawałabyś tyle pieniędzy na zbytki!

Pani Alina stanęła nawprost wiernej swej przyjaciółki. Jakiś wewnętrzny rozbłysk potęgował jeszcze czar jej urody. W kącikach ust taił się uśmieszek szczęścia. Oczy skrzyły się przepięknym wyrazem pogody i rozmarzenia. Z całą prostotą i szczerością odpowiedziała natychmiast:

— Kto mi przysyła te kwiaty?! Edmund. Zupełnie niespodziewanie spotkaliśmy się przed miesiącem w naszem biurze i od tego czasu widujemy się często. Przyjechał z Kijowa jako reprezentant

jakiejś tam firmy handlowej i prowadzi tu chwilowo wszystkie jej interesy.

— Nie pisałaś mi o tem — odezwała się panna Balbina z leciutkim, łagodnym wyrzutem.

Pani Alina usiadła na sofie tuż obok Bisi, objęła ręką jej kibić i, przechylając głowę z rozbrajającym uśmiechem zajrzała jej w oczy:

— Bałam się troszkę mojej najzacniejszej, ale gderliwej Bisieńki! Nie cierpieliście go oboje z ojczusiem, a on taki szlachetny, tyle mi okazuje dobroci!

Wierna przyjaciółka ogarnęła spracowaną swą dłonią mocno i czule delikatną rękę Alinki:

— Dziecko moje drogie! Pozwól, że tak cię nazwę, że tak do ciebie przemówię, jakby to uczynili z pewnością ci twoi najbliżsi, którzy już leżą w grobie! Przecież twój mądry i czysty jak kryształ ojciec nie miał żadnego uprzedzenia do tego swego siostrzeńca. Opierał się tylko na faktach i z nich wyciągał bezstronne wnioski. A twój mąż?! Wiesz sama jaki to był wzór prawości i rozumu, a jednak nie szanował również Edmunda. Wierz mi, Alinko, te dwa serca ojca i męża rządziły się tak nieomylnym instynktem jak igła magnesowa w kompasie. Oni się bali jego wpływu na ciebie, a dziś — ja się go boję! — urwała w obawie, że zbyt szybko może posuwa się naprzód po zakreślonej przez siebie linji.

Twarz młodej wdowy pozostała jednak pogodna. Białe palce głaskały pieszczotliwie suchą dłoń Bisi, a głos nie zdradzał najlżejszego wzburzenia, gdy zaczęła ją przekonywać wymownie:

— Ludzie się zmieniają, Bisieńko kochana! I ja się zmieniłam i ja nie jestem wiośnianą różyczką polną jak dawniej! Z latami przychodzi doświad-

czenie, Bisiu. Wówczas mogłam bezsprzecznie przyjmować różne ułudy za prawdę, a dziś — nie! Nie! Poznałam życie z najboleśniejszej strony, a życie — to mistrz nad mistrze! Wyczułabym fałsz odrazu!

— Są jednak mistrze w sztuce zdobywania kobiecego serca, którym ty nie sprostasz, kochanie! — podjęła znów swe dowodzenia panna Balbina ciepłym, wnikliwym tonem. — Powiedziałaś przed chwilą, że Edmund jest tak szlachetny. Jakie masz na to dowody?!

— Przecież z całem poświęceniem pielęgnował matkę w chorobie, zabezpieczył byt jej starej służącej, cieszy się niezachwianem zaufaniem swego szefa i nikt mu niczego nie zarzuca oprócz was trojga, moja Bisiu! — wyliczała z lekkiem podnieceniem pani Alina.

Wyraz oczu niemłodej panny wyrażał powątpiewanie:

— Stryj Benedykt, twój opiekun, również nie ceni go wyżej od nas! Zresztą — omawiamy całą tę sprawę bez gniewu i uniesienia, kochana Alinko! — Rozmawiamy jak dwie, oddane sobie przyjaciółki, nieprawdaż?! Zacytuję ci tedy czterowiersz, charakteryzujący najlepiej istotną szlachetność:

„Najszlachetniejszy jest kamień, który kraje
wszystkie inne, a sam się zrysować nie daje!
Najszlachetniejszem jest serce, które właśnie
raczej da się zrysować, niż samo zadraśnie!"

Wyczekała chwilę, obserwując uważnie nieporuszony zgoła wyraz twarzy słuchaczki i ciągnęła dalej z wielką dobrocią:

— Czy jesteś pewna, Alinko, że ów szlachetny

Edmund nie zadrasnął nigdy drugiego serca! Że nie uczynił tego z całą świadomością i dla dogodzenia fantazji, albo samolubnej próżności?! Otóż wiem z wszelką pewnością, że zburzył w Kijowie spokój i zgodę w kilku gniazdach rodzinnych, rozkochując w sobie mężatki i przerzucając się od jednej do drugiej z druzgocącą zmiennością. Znasz mię dobrze. Nie znoszę plotek, muszę tedy mieć dowody na to, co twierdzę. Bywałam u jego matki i zastawałam ją nieraz zgnębioną z tego powodu. Złe wieści lecą chyżo, a źli ludzie chwytają je i przynoszą z większą radością, niż to czynią pszczoły, zbierające pyłki na kwiatach!

— Bo nie kochał dotychczas żadnej kobiety naprawdę! — oponowała żywo pani Alina.

— „Dotychczas“, zakarbowała sobie w myśli panna Balbina. — Stare, ale wypróbowane metody, stosowane zapewne do wielu innych! — To, co mówisz nie usprawiedliwia go wcale — wyjawiła głośno swe zdanie.

— Bardzo jestem ciekawa jak wedle Bisi mam postąpić?! — rzuciła z leciutkim przekąsem podrażniona już nieco pani domu.

— Wypełnić wolę ojca, który wymówił temu nieetycznemu pyszałkowi swój dom w Malinkach i zamknąć przed nim swój dom na Brzozowej! — zadecydowała dzielna kobieta z tak tkliwą troską w głosie, że rozczuliłaby w każdym innym wypadku Alinkę, która jednak na te słowa rzuciła się w bok, odsuwając się całą postacią od zapatrzonej w nią niemal modlitewnie przyjaciółki.

— Co za pomysł?! — wykrzyknęła podniecona, wznosząc dumnie głowę do góry. — Zamykać

przed nim swój dom?! Dlaczego?! Żeby jeszcze pomyślał, że ja się go boję?! Mam unikać miłego, dbającego o mnie towarzysza dla fantazji i jakichś przywidzeń Bisi?! Po ciężkim dniu pracy należy mi się rozrywka. A zresztą — to mój dom i tylko ja — mam prawo rozstrzygać kogo tu chcę przyjmować, a kogo nie! Pracuję sama na siebie i na dziecko i jestem niezależna! Proszę o tem pamiętać! — zerwała się z sofy i, przycisnąwszy białe dłonie do piersi, jęła szybko i nerwowo przebiegać całą jadalnię.

— Kocha go i broni swej miłości! — zdała sobie sprawę trzeźwo i z bólem panna Balbina.

Młoda wdowa zatrzymała się nagle przed nią. Oczy jej błyszczały uniesieniem, lekkie zazwyczaj rumieńce na policzkach przybrały gorętszą barwę, małe usteczka czerwieniły się jak dojrzałe jarzębiny, jasne włosy w świetle elektrycznej lampy połyskiwały na skrętach jak złoto. Była wprost porywająca w tym kolorycie i wdzięku postaci. Wyciągnęła rękę w stronę Bisi, jakgdyby podkreślając nią „memento“ lat dawnych:

— Słyszałam przed chwilą bezwzględne zdanie Bisi. Niechże mi wolno będzie wypowiedzieć i swoje zdanie co do całej przeszłości, zdanie, nigdy nie wyjawione i o jakie — muszę wyznać! — (zaśmiała się krótko) nikt nigdy nie pytał! Cofnijmy się myślą o lat kilkanaście, dobrze?! Wydaliście mię zamąż za człowieka o wiele odemnie starszego, dla którego prócz uznania, nie miałam żadnego uczucia. Nie zaznałam szczęścia wzajemnej miłości. Pomimo to, czyż nie byłam dobrą, wierną żoną?! Czyż nie oddałam się wychowaniu dzieci, nie pomnąc na swoje, tak wczesne lata?! Spełniłam wszystkie obowiązki

jak tylko mogłam najlepiej, a wzamian cóż życie mi dało?! Odebraliście odemnie dzieci...

Panna Balbina załamała dłonie z takim wyrazem cierpienia, że uniesienie Alinki nieco przygasło:

— Wiem, wiem! — mówiła już nie tak gorączkowo — że okoliczności zmusiły naszą rodzinę do tego kroku, ale czy Bisia myśli, że mam serce z kamienia, że nie przebolałam tego rozbicia gniazda, aż nadto dotkliwie?! I teraz gdy zjawia się na mej osamotnionej, wyboistej drodze, towarzysz lat młodocianych, ten, któremu oddałam moje pierwsze wiośniane uczucie i chce mię otoczyć kochającem ramieniem, to Bisia zaklina mię na pamięć ojca, abym zamknęła przed nim drzwi swego domu! Otóż oznajmiam Bisi stanowczo, że jeśli Edmund oświadczy się o moją rękę — wyjdę za niego, nie zwracając uwagi na wszystkie protesty!

— I ty naprawdę sądzisz, że taki samolub obarczałby się wdową z dzieckiem, bo przecież z Anią nie rozstałabyś się przenigdy?! — powiedziała wolno i z naciskiem nieugięta w swych poglądach panna Balbina. — Jeśli mam ci odkryć dno mego serca, to wiedzże o tem, iż tam właśnie — tu głos mówiącej zadrżał — tai się dotkliwa troska w jakim celu ten „miły towarzysz" układa ci kwiaty pod nogi?!

Oczy pani Aliny sypnęły skrami. Znać serce w niej zapałało od gwałtownego wzburzenia. Rzuciła na Bisię spojrzenie, które tej ostatniej tak przypomniało pana Wojciecha, że z trudem zdołała się opanować, a młoda wdowa z uniesieniem wołała:

— Bisia się zapomina! Bisia nie czci pamięci mego ojca, jeśli mnie, jego córce, ośmiela się podsuwać takie wątpliwości! Mnie! Jakiem prawem?!

Gdyby w głowie Edmunda powstały istotnie takie zamysły, to uważałabym go za najmarniejszego człowieka na świecie! Nawet przypuścić tego nie mogę! — patrzyła z wysoka i chmurnie na Bisię.

Wstrząśnięta tą całą sceną ochmistrzyni, powstała szybko i, wyciągnąwszy obie ręce do stojącej nieruchomo wdowy, objęła ją mocno i przytuliła do piersi:

— Alinko! Droga moja! — szeptała. — Ty nawet nie wiesz jak bardzo mię wzruszyłaś! Tak żywo przypomniałaś mi swego ojca! Taki miałaś wyraz oczu, taki głos tnący, taką postawę, pełną wyniosłej godności, zupełnie jak on, gdy był czemś głęboko wzburzony. Kochanie moje! Wierz, że tylko zabobonny jakiś lęk przed wszystkiem, co pochodzi od tego człowieka, skłonił mię do wyjawienia mych podejrzeń! Obawiam się go, Alinko, ale nie mówmy już o tem!

— Nie mówmy! — rzuciła podnieconym jeszcze głosem pani Alina. — Tylko Bisia, zacna, wierna, tyloletnia przyjaciółka nasza mogła sobie pozwolić na takie słowa! — nowa fala oburzenia zalała szkarłatem jej lica. — Chcę o tem zapomnieć! A co będzie, Bisiu, — dodała po chwili miększym już tonem — jeśli ten „egoista" ożeni się ze mną i weźmie na swoje barki „wdowę z dzieckiem"?! Co, Bisiu?! — uśmiechnęła się do tej myśli i pod wpływem poczucia ogromu szczęścia w takim wypadku — ucałowała tę kochaną, ale „przesadzającą swą troskliwość" Bisieńkę, w oba śniade policzki.

PURPUROWE RÓŻE.

Wielka wojna szalała dalej na olbrzymiej połaci kontynentu europejskiego, a nieszczęsna Kongresówka była jakgdyby jedną z szachownic, na której zwalczający się wzajem napastnicy rozgrywali partje wojenne. Do Warszawy napływały wciąż wieści o ciężkiem położeniu w okupacji niemieckiej. Po powtórnem wkroczeniu do Łodzi Niemcy wywieźli stamtąd wszystkie cenne maszyny fabryczne do „Vaterlandu", a fabryki miejscowe stały nieczynne. Bezrobocie wzrosło do rozmiarów klęski społecznej, i nie było dnia, aby nie zaszło kilka wypadków śmierci z głodu. Dochodziły również słuchy, iż w Suwałkach i Częstochowie, okupowanych przez armje niemieckie, panuje nieprawdopodobna drożyzna, to znów, że w Białymstoku rzucono w jednym dniu 20 kwietnia 1915 roku — sto bomb z nieprzyjacielskich aeroplanów na miasto. Od początku maja Niemcy forsowali uparcie lewy brzeg Wisły, Moskale zaś, jako odwet, stali się przeszło od miesiąca panami Przemyśla w Galicji. Warszawa — gorliwa samarytanka tych czasów, tworzyła z funduszu Komitetu Obywatelskiego i z ofiar publicznych nowe wciąż szpitale, w których pracowały niestrudzenie sanitarjuszki Polki. W żywność było jednak miasto zaopatrzone obficie, tylko drożyzna

wskutek spekulacji produktami dawała się we znaki ludności, ale o głodzie mowy nawet nie było. Życie Warszawy toczyło się z dnia na dzień wśród prac dla zdobycia własnej egzystencji i bezinteresownych wysiłków w tanich jadłodajniach publicznych, w przytułkach dla bezdomnych ofiar wojny, w ciągłej trosce o złagodzenie ciosów, zadawanych przez wojnę.

Pani Alinie zaczęło się nawet lepiej materjalnie powodzić, gdyż biuro, w którem pracowała, podjęło się korzystnych dostaw dla wojska rosyjskiego, więc Zarząd podniósł nieco wynagrodzenie swym urzędnikom.

Mieszkanie na Brzozowej pławiło się w blaskach czerwcowego słońca, przez otwarte szeroko okna dolatywał gwar ulicy i wietrzyk muskał lekko tiulowe firanki, gdy pewnego popołudnia urocza wdowa stroiła się z dawnem upodobaniem, stojąc przed lustrem w sypialnym pokoju. Przed paru godzinami otrzymała w biurze telefoniczną prośbę od Edmunda, aby zechciała darować mu dziś koniecznie godzinkę rozmowy. — Jeśli zechcesz uwzględnić moje życzenie — dodał — to może wyprawisz Anię do znajomych dzieci. Wołałbym aby nam nikt nie przeszkadzał! — Dobrze! — odpowiedziała. — Przyjdź około piątej.

Pani Alina nie myślała w tej chwili o treści, zapowiedzianej rozmowy — była to dla niej tylko dobra sposobność oczarowywania kuzyna dalej swym wdziękiem. Postępowanie bowiem jego bywało dla niej często niezrozumiałe. Przerywał niekiedy na dłużej bytności swe na Brzozowej, to znów — przychodził codziennie, a oczy jego spoczywały na ku-

zynce z nietajonym zachwytem. Zdarzały się również takie momenty, gdy dając folgę uczuciom, chciał objąć jej kibić, całował ręce, szepcząc słowa pieszczotliwe i pełne uwielbienia zarazem. Alinka rumieniła się, mrużyła oczy, poddając się słodyczy wrażeń wywoływanych przez kochanego człowieka, ale tajna odsiecz jej dumy nadciągała wnet z pomocą. Wyniosłym, ochłodzonym naraz wzrokiem mierzyła Edmunda. Przestrogi Bisi zapadły jednak w głąb serca pięknej wdowy i w takich chwilach stawały jej żywo w pamięci. Raz nawet zaśmiała się lekko, wyswobadzając ręce z czułego uścisku kuzyna.

— Dlaczego się śmiejesz?! — zapytał podrażniony.

— Przypomniała mi się anegdotka o Napoleonie III i Eugenji, którą podobno mój dziad lubił zabawiać rozflirtowane pary. Ty ją znasz napewno. „Droga do mojej alkowy prowadzi przez ołtarz!“— rzekła skromnie hrabianka de Montijo cesarskiemu bałamutowi.

— Cha, cha, cha! Doskonała! — przyznał gość, opanowując zmieszanie. — Jak się ona wyrobiła! — myślał, patrząc na uśmiechniętą powabnie gospodynię domu.

Po tej subtelnej nauczce zaniechał jednak przez cały tydzień wizyt swych na Brzozowej, a gdy przyszedł nareszcie, miał wygląd znużony i chmurny.

Wszystkie te niepojęte dla niej zmiany kładła pani Alina na karb „zawiłych zwrotów“ niepospolitej umysłowości kuzyna tak różnej od jej szczerej, impulsywnej natury.

Przebiegając myślą szlak tych różnych wyda-

rzeń od chwili spotkania się ich w biurze, aż do dnia dzisiejszego — piękna wdowa przyglądała się sobie w lustrze, wykończając szczegóły strojnej toalety. Po raz pierwszy od śmierci męża i ojca, włożyła na siebie białą, powiewną suknię, w której jej było prześlicznie, zawiesiła sznur perełek ze szmaragdową gwiazdką (pamiątka po prababce!) na mlecznej szyi, przygładziła delikatnie sobolowe brewki i poprawiła starannie wijące się nad czołem złote włosy. Tak, dobrze! Jeszcze perfumy różane, niewiele, dyskretnie. Ot tak! Już koniec!

— A teraz, mój panie! — powiedziała, wygrażając żartobliwie delikatną, małą ręką. — Zobaczymy, kto kogo zwycięży! — przechadzała się po pokoju, oczekując na gościa. Była sama w domu, albowiem Brygidka wyszła z Anią, a dwaj wysocy urzędnicy rosyjscy, wynajmujący resztę obszernego lokalu, wracali zazwyczaj późno, spędzając czas po pracy w kawiarniach i restauracjach warszawskich, przepełnionych li tylko oficerami moskiewskimi i aferzystami wojennymi. Dawna wesoła „Warszawka" przestała istnieć, a poważna, pełna godności „Warszawa", duchowa stolica całej cierpiącej i rozszarpanej Polski, nie miała czasu, pieniędzy, ani ochoty do jakiejkolwiek zabawy.

Pani Alina chodziła po pokoju zamyślona, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami. Jakże daleką była od owej zuchowatej pogróżki, jaką rzuciła w dniu niespodziewanego spotkania się z towarzyszem lat młodocianych!

— Teraz on mnie pokocha, a ja go nie zechcę!

Ach, nie! Nieprawda! Chciała go i kochała

gorąco! Jak się to stało, kiedy to przyszło — nie wiedziała!

Miała już przykre chwile z powodu bywania u niej Edmunda. Bisia nie uważała snadź za potrzebne zachowywanie tajemnicy w tej sprawie, gdyż nazajutrz po jej wyjeździe zjawił się na Brzozowej stryj Benedykt — uroczysty i chłodny. Wszystko, co mówił było utrzymane w stylu „średniowiecznego dramatu", jak oceniała to w myśli dotknięta do żywego synowica.

— Pogwałcenie woli ojca zemści się na tobie! — zamaszysty ruch ręką towarzyszył tym słowom.

— Czy pomyślałaś o Ani? Jeżeli nawet — w najlepszym razie — wyjdziesz za tego, rozamorowanego bałamuta, (skrzywił się jakgdyby przełykał gryzące lekarstwo) to jakie stąd będą konsekwencje, dla twego dziecka?! Spełnienie obowiązku matki stokroć jest cenniejsze, niż jakieś tam ułudy miłości! — chrząknięcie basem potęgowało surowość krytyki.

Pani Alina milczała. Jej kobieca duma zadraśnięta była głęboko owym: „w najlepszym razie"! Co on przypuszcza ten niedźwiedź?! Włazi do jej duszy swemi ciężkiemi łapami! Jeśli przed Bisią umiała bronić Edmunda, to wobec tego, aż do zbytku szczerego krewnego, brak jej było elokwencji.

— Gdybym zaczęła upewniać stryja, że moje uczucia dla Ani nie zmniejszą się nigdy! — poniżyłabym siebie we własnych oczach! — powiedziała tylko, patrząc na opiekuna ze skrami buntu i gniewu w oczach.

Pan Benedykt siedział w głębi krzesła i wzrok miał wbity gdzieś w przestrzeń. Zdawał się nie sły-

szeć zdania synowicy, ale przeciągłe chrząknięcie mogło być zakończeniem takiego mniemania:

— Zdawało się, że będzie z niej poważna kobieta, wzięła się do pracy z taką ochotą! Licho przyniosło tego fircyka! Ot, laleczka i basta! — wstał i pożegnał się dość oschle z panią domu, rzucając jej ostatnią przestrogę:

— Nie baw się z ogniem, bo parzy! — i już na schodach wymruczał pod wąsem: Pisz widłami po wodzie! Kiedy się kobieta zakocha, nikt jej nie przekona. Wieczna historja Tytanji i osła!

Pani Alina nie słyszała, oczywiście, tak niepochlebnego dla Edmunda porównania, ale wizyta stryja zostawiła na dnie jej serca osad palącej goryczy.

— Zobaczymy, kto ma słuszność, oni — czy ja?! — wirowały jej w głowie żarliwe myśli i chęci, aby szlachetność charakteru kochanego człowieka, objawiła się wszystkim jako niezaprzeczalna prawda.

Dzwonek w przedpokoju, dźwięknął krótko i umilkł.

— To on! — szepnęła radośnie i lekkiemi krokami wysunęła się z sypialni, zdążając do drzwi wejściowych. Otworzyła je szybko. U progu stał Edmund w doskonale skrojonem, jasno-popielatem ubraniu. Rąbek jedwabnej chusteczki wychylał się z górnej kieszeni. W wykwintnym krawacie tkwiła docenna perła. Filcowy kapelusz zdradzał swym dobrym smakiem pochodzenie angielskie. Przystrzyżony wąsik ocieniał czarną smużką małe, miękko wykrojone usta. W ręku miał dużą wiązankę jakichś kwiatów, owiniętych cienką bibułką, a czarne,

Tymczasem z ust pani domu wyrwały się słowa przekornego triumfu:

— No, i co, szanowna panno Balbino i ty, mój mrukliwy opiekunie?! Czy jeszcze będziecie się trwożyli w jakim celu ten znany „bałamut“ bywa u samotnej wdowy?! — zaledwo te słowa rozbrzmiały w powietrzu, gdy impulsywna kobieta zdała sobie sprawę z nieopatrzności swego wystąpienia.

Edmund się żachnął — krew uderzyła mu do głowy, czarne oczy zamigotały gniewnie. Był przeniknięty przez jasnowidzenie przyjaźni i jego chorobliwa ambicja stanęła dęba, jak rumak ugodzony ostrogą. Nie chciał pamiętać, że były istotnie chwile, gdy snuł niezbyt szlachetne zamysły względem tej oto — obecnie swej narzeczonej:

— Co?! — krzyknął gorąco. — Oni się ośmielili podsuwać ci takie wątpliwości co do mego honoru?! Sądzę, że nie upoważniłaś ich do takiego kroku?! — zaciął pogardliwie zęby.

— Możesz być pewny, że ani przez jedną sekundę nie wierzyłam, byś chciał wyrządzić mi krzywdę moralną! — zapewniała go równie żywo Alinka.

— Tak! Ty nie wierzyłaś, ale ich podejrzenie wyrosło jak mur pomiędzy nami. Znać ich nie chcę, pamiętaj o tem.

— Zastanów się, mój złoty! — przekonywała go słodko, nie mogąc sobie darować poprzedniej lekkomyślności w mowie. — Wszystko dla ciebie uczynię, ale niepodobna mi zamknąć drzwi naszego domu przed Bisią! Stryj Benedykt zapewne odwiedzać nas nie będzie nawet bez mej interwencji, bo

i mnie nie nosi w swem sercu, ale Bisia, Bisia! Błagam cię, Edmundzie...

— Nie zmieniam postanowienia i widzieć ich obojga nie chcę — twierdził z chłodną zaciętością. — Mam tylko jedno słowo i znany jestem z tego w sferach handlowych. Ludzie ufają mi bezwzględnie. Zawieram nieraz umowy na krocie, bez podpisu, i dotrzymuję zawsze. Ja — z nimi zrywam — ale to ciebie nie obowiązuje. Możesz sobie u nich bywać i przyjmować u siebie, gdy mnie nie będzie w domu i o ile ci to sprawi przyjemność! — był wprost rozgorzały żarem nieugiętości i pod wpływem powrotnej fali obrazy, przygryzł dolną wargę z gniewem.

— Dobrze, mój drogi! — zgodziła się z rozbrajającą dobrocią Alinka. — Tak mi przykro, że zamąciłam niechcący pierwsze chwile naszego szczęścia! — położyła głowę na jego ramieniu, zaglądała przymilnie w sposępniałe oczy, opanowana znów słodką myślą, iż pójdą przez życie we dwoje!

Ale zadraśnięta pycha Edmunda niełatwo dawała się ukoić. Poprzedni jego rozentuzjazmowany nastrój nie wracał, aż wreszcie przemówił napozór spokojnie.

— Ponieważ, jak słyszę, twoi opiekunowie wtrącają się do wszystkich spraw twoich, więc dziś odrazu chcę rozstrząsnąć z tobą najważniejszą, drażliwą kwestję, a mianowicie, co uczynimy z Anią?!

— Ja się z nią nie rozstanę! — objawiła swą decyzję z łagodną stanowczością.

— A ja chciałem oddać ją do klasztoru na wychowanie.

— Taką maleńką?! Nie, Edmundzie! Zanic! — protestowała z energją.

— Na święta i na wakacje mogłaby do nas przyjeżdżać — próbował ją przekonać, ale pani Alina, ufna w sprawiedliwość swego żądania, kręciła złotą główką przecząco.

— Pomyśl, Alinko! Mała mnie nie znosi. Mnie również jej widok sprawia przykrość. Przypomina mi twoją przeszłość małżeńską! — wybuchnął. — Zrozum to i zgódź się na moją prośbę! — pochwycił jej dłoń z czułością, ale oczy młodej wdowy napełniły się łzami i patrzyły nań z cichym, delikatnym wyrzutem.

Opuścił ręce i siedział przez chwilę w zadumie. Miłość do tej kobiety była snadź jakąś przemożną władczynią, gdyż ów słynny z niestałości bałamut i egoista, zapragnął pomimo wszystko — ujrzeć znów w oczach swej narzeczonej wyraz bałwochwalczego zachwytu, jakim go obdarzyła na wstępie. Miał przytem pewien zamiar w najbliższej przyszłości, zależny również od woli Alinki, postanowił tedy złożyć broń i zgodzić się na jej życzenie. Zresztą — może z czasem inaczej ułożą się warunki. Otoczył ją swem ramieniem i złożył kilka delikatnych pocałunków na oczach.

— Wypiłem twoje łzy! — powiedział z uśmiechem. — A teraz obiecuję ci, że nie będę się wtrącał do wychowania Ani. Ty — jako matka — zostaniesz nadal decydującą instancją. Ja zaś biorę na siebie o wiele skromniejszą rolę dostarczyciela na ten cel środków pieniężnych! Czy dobrze?! Czy moje słoneczko już wyjrzało z za chmury?!

— Mój ukochany! — wydarł się jej okrzyk

szczęścia z piersi — oplotła rękami jego szyję i małe usteczka świeże i kraśne jak soczyste wiśnie, wtuliła w spragnione usta narzeczonego. Przeciągły pocałunek dał im poznać słodycz niezamąconej harmonji pomiędzy dwiema, odrębnemi istotami.

Siedzieli jeszcze czas jakiś milczący i upojeni.

— Mój jedyny, mój szlachetny! — przerwała wreszcie ciszę Alinka. — Wiem, że uczyniłeś dla mnie ofiarę! Ale nie będziesz tego żałował! Oddana ci jestem całą duszą, całem sercem i wszystko-bym również dla ciebie zrobiła, a potem i Ania musi cię pokochać! Zobaczysz!

— W to wątpię! — zaprzeczył Edmund i lekki cień sarkazmu przysłonił mu na chwilę piękne czarne źrenice. — Ale co się tyczy ciebie, moje bóstwo złotowłose, to może przyjdzie chwila, gdy i ja poproszę cię o jakieś ustępstwo. Czy wówczas będę mógł przypomnieć ci tę naszą rozmowę?!

— To będzie zbyteczne! — rozkochany wzrok pani Aliny obejmował narzeczonego i unosił się wokoło jego postaci niby dym z kadzielnicy. — Pewna jestem, że bez przypominania spełnię z radością twe każde życzenie! — Ale słyszę, że Ania z Brygidką już powróciły. Prosiłeś o godzinę, a jesteś tu — spojrzała na złoty zegarek na ręce — całe dwie godziny! Chodź, Aniątko moje kochane! — zawołała na głos serdecznie, widząc wsuniętą w uchylone drzwi główkę dziewczynki, która już się cofała, spostrzegłszy niemiłego gościa. Na powtórne wezwanie matki weszła nareszcie i dygnęła zdaleka.

— Chodź do mnie, Aniuś! Tak! Przytul się do mamusi. Powiem ci wielką nowinę. Nie będziesz już sierotką. Oto twój nowy tatuś, dobry, szlachetny,

kochany. Trzeba, żebyś go także kochała. Mamusia cię o to prosi! — przyłożyła usta do policzka dziecka, ale mała wyrwała się z rąk matki i uciekła z pokoju.

— Dobrze się zaczyna! — bąknął Edmund niechętnie. — Wychodzę, moja najdroższa. Nie psujmy sobie niezapomnianych chwil szczęścia. Zatelefonuję do ciebie jutro kiedy i gdzie się zobaczymy. Żegnaj, cudzie ty mój! — pocałował obie jej ręce i wyszedł, odprowadzony przez narzeczoną do drzwi wejściowych.

NOWE POWIKŁANIA.

Poprzedniego dnia Edmund wrócił późno do „Bristolu“, gdyż spotkał niespodziewanie dawnych kolegów szkolnych i poszedł z nimi na kolację. Wspomnienia lat młodocianych jak rwąca fala nadciągnęły ku nim z oddali. Teraźniejszość była ciekawa, a przyszłość taiła w sobie wszelkie możliwości — przesiedzieli tedy długo w restauracyjnej sali, poddając dyskusji przeróżne sprawy.

W hallu portjer hotelowy podał „jaśnie panu“ wraz z kluczem list polecony ze Szwecji. Edmund spojrzał ciekawie. Przysłała go z Kijowa firma, w której pracował. Adres pisany był na maszynie, a na odwrotnej stronie koperty widniał stempel jakiegoś handlowego przedsiębiorstwa. Znalazłszy się w swoim pokoju, usiadł wygodnie w klubowym fotelu, przeciął kopertę i z zainteresowaniem jął szukać podpisu na liście. „Bolesław Śmigielski“ — wyczytał. Ach, prawda! Bolek! — zaradny, dowcipny i zdolny chłopak! Jeszcze jeden kolega szkolny! Ten miał głowę na karku, niema co mówić! Zobaczmy, co pisze! — szepnął do siebie i zagłębił się w czytaniu obszernej epistoły. W miarę jednak przesuwania się wzroku po energicznie kreślonem piśmie, twarz czytającego mieniła się kolejno: zdziwieniem, radością, a wreszcie — triumfem! Dobiegłszy ostatniej

linji, odwrócił arkusz, przeczytał po raz drugi, wolno, z rozkoszą — poczem wstał i zaczął chodzić po pokoju z głową podniesioną do góry, wyprostowany i elegancki w swem wieczorowem ubraniu. Przystanął na chwilę i odetchnął szeroko. Dławiła go pycha na myśl o zapowiedzianym uśmiechu Fortuny.

Stanął przy otwartem naoścież oknie. Noc była piękna, na niebie migotały gwiazdy, miasto już spało, a księżyc niby wielka ampla w sypialni, przysłonięty był do połowy puszystą chmurką. Uśmieszek igrał pod czarnym wąsikiem ambitnego mężczyzny. Każde słowo listu, odciśnięte w jego pamięci, przesuwało się teraz przed nim, jako zwiastun fenomenalnej pomyślności:

„Nie będę ci opisywał, mój drogi, — pisał Bolek po krótkim wstępie — ile wysiłków kosztowało mię dojście do mego obecnego stanowiska. Bywałem na wozie i pod wozem, walczyłem z życiem na pięści i znać tęgim jestem bokserem, kiedy mam zaszczyt przedstawić ci się jako dyrektor akcyjnego towarzystwa wyrobu skór w Stokholmie! Zacząłem moją karjerę jako prosty robotnik, ale — o tem opowiem ci ustnie. Wracam do rzeczy. My — to jest Szwecja jako państwo neutralne — myślimy tylko o wyzyskaniu znakomitych dla nas konjunktur handlowych, w tych czasach rozpasania wojennego. Trzymam rękę, że tak się wyrażę, na pulsie wojennych potrzeb i wiem z najpewniejszego źródła, że Rosja odczuwa wielki brak skóry. Myśl stworzenia przedstawicielstwa naszego na Rosję błysnęła mi nagle w głowie. Na ogólnem zebraniu akcjonarjuszy przedstawiłem opracowany plan, który został przyjęty jednogłośnie. Otóż w wyniku tego — mianuję

cię jedynym reprezentantem naszego Towarzystwa na całą Rosję. Przy olbrzymiem zapotrzebowaniu i takimże obrocie pieniężnym — sama prowizja wyniesie sumy! Zważ tylko... tu następowały wyliczenia, których Edmund nie sprawdzał, ale które olśniły go wysokością ostatecznego podsumowania. Ależ to majątek! — myślał, wychylony przez okno, oddychając miłem ciepłem nocy czerwcowej. Nie potrzebuję sobie niczego odmawiać! Starczy na wszystko! Na wszystko! Mogę się nawet — ożenić z Alinką! Ożenić się! Tak! Mieć na własność tę dobrą i czarującą kobietę, której inaczej zdobyć niepodobna, a która tak się wślizgnęła do jego pamięci i uczuć, że ze zdumieniem spostrzegał, iż myśli od niej oderwać nie może.

— Weźmiemy ślub za indultem i pojedziemy razem do Szwecji! — szepnął z podnieceniem. — Trzeba przecież podpisać umowę. Bolek mię wzywa.

Dalsze słowa listu kolegi stanęły mu znów przed oczyma: — „Chcę, abyś wiedział, dlaczego ciebie właśnie wybrałem na tak odpowiedzialne i lukratywne stanowisko, dlaczego skierowuję ku tobie Fortunę z trzosem złota w zanadrzu. Oddaję ci sprawiedliwość. Jesteś rzetelny kupiec, masz dobrą markę w sferach handlowych. Pomimo to — decyzję moją zawdzięczasz swej matce! Dziwisz się, nieprawdaż?! Nie wiem, czy ci wiadomo — (byłeś wówczas w Antwerpji) — że brałem u niej lekcje obcych języków. Sierota, samotny, od młodzika przedzierałem się przez życie z wysiłkiem. Korepetycje, politechnika pochłaniały mi tyle czasu, że tylko wyjątkowym moim zdolnościom zawdzięczam

uniknięcie galopujących suchot. Nie płaciłem twej matce za lekcje. Nie. Ta święta kobieta prorokowała mi zawsze „świetną przyszłość“, chcąc mię podtrzymać na duchu zapewne, a gdym całował jej ręce, mówiąc, że nie mogę wyzyskiwać jej czasu i zdrowia — groziła mi palcem z dobrym uśmiechem:

— Chcesz się wykręcić od pracy, leniuchu?! — a potem dodawała pocieszająco: — Oddasz to kiedyś Edmundowi, gdy już dojdziesz do mety. Przekonasz się z czasem jak wielką dźwignią w twojej karjerze będzie znajomość angielskiego i niemieckiego języka, z taką łatwością przez ciebie zdobywana.

Nie omyliła się. Zawdzięczam jej wiele. Przyszła chwila, gdy mogę spełnić jej wolę i oddać tobie, kochany Edmundzie, cały mój dług z nawiązką. Cieszę się z tego prawdziwie. Przyjeżdżaj, stary kolego, jaknajprędzej do Stokholmu i uprzedź mię telegraficznie kiedy to nastąpi...

— Jutro pójdę do Alinki, oświadczę się jej! — wyrzekł półgłosem, zamykając okno. Jakby na jawie przemknęła mu przed oczyma jej różana powabność, małe, delikatne usta i gibkość ruchów... Objęła go fala gorąca.

Zapragnął nagle, aby ta najdroższa kobieta uwierzyła, iż dobroć i wspaniałomyślność są jego najistotniejszą treścią. Nie powie jej o liście kolegi. Dowie się o zmianie ich losu za parę dni. Tymczasem spełnią się jej pragnienia co do podniosłości jego uczuć i będzie mu wdzięczna całą duszą!...

. . . .

W parę dni po oświadczynach Edmund wyjechał do Kijowa „z powodu interesów“, jak wyjaśnił

ogólnikowo narzeczonej, w rzeczywistości zaś — pragnąc złożyć swoją dymisję i pożegnać się z urzędnikami firmy, w której tyle lat pracował. Pani Alina, korzystając z jego nieobecności, postanowiła złożyć wizyty w rodzinie i oznajmić o swem powtórnem zamążpójściu. Idąc, upajała się myślą o zdziwieniu, a następnie o zachwycie, wywołanym szlachetnością Edmunda w stosunku do jej córeczki, ale się srodze zawiodła.

Stryj Benedykt przyjął jej oznajmienie chłodno, z jakiemś obrażającem niedowierzaniem. Chrząkał raz po raz, jakgdyby dławiło go w gardle i po każdem dłuższem przemówieniu rozpromienionej kobiety, rzucał niezbyt zachęcające zdania:

— Hm, tak! Błogosławieni wierzący! — albo:

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi! — albo znów jeszcze:

— Nie mów: „szczęśliwy“! Zaczekaj, aż umrze!

Pani Alina zagryzła wargi. Ten niedźwiedź nie ma zupełnie taktu. Brak mu elementarnych podstaw delikatności!

Stryjenka Rozalja łagodziła jak mogła naprężoną sytuację. Zdawała sobie sprawę z przenikliwością kobiecą, że niema argumentu, który-by przekonał rozkochaną wdowę o kruchości duchowych walorów człowieka, mającego być kierownikiem nietylko jej życia, ale i przyszłości jej dziecka. Pocóż jeszcze drażnić stosunki, które się przerwać nie mogą! Rzucała chwilami łagodne, ostrzegawcze spojrzenie na męża, ale — niestety! — nic to nie pomagało.

Wmieszała się nakoniec do zmąconego duetu tych dwojga, mówiąc serdecznym głosem:

— Co do mnie, to liczę wiele na twoją dobroć i czar twej urody, Alinko! Jakaś znakomita gospodyni orzekła, że do serca męża trafia się przez — żołądek! Ja zaś sądzę wprost przeciwnie! Nie przez żołądek, ale — przez oczy! Zależy tylko od tego jakie zalety mężczyzna pragnie widzieć w swej żonie, ale w tym wypadku, pan Edmund będzie miał zawsze szczere zadowolenie! Prowadź go na tęczowej nitce twego wdzięku, a wszystko będzie dobrze!

Jednocześnie niemal pan domu mruknął jako zakończenie basowym półtonem:

— Baju, baju, będziesz w raju!

Urażona narzeczona zawołała protestująco:

— Nie pojmuję doprawdy czem Edmund tak się wam naraził, kochani stryjostwo?! Bierze mnie bez grosza, bo zapomniałam wam powiedzieć, że prosił mię, abym się zrzekła na korzyść dzieci owych ośmiu tysięcy, przyrzekł mi, że da Ani najstaranniejsze wykształcenie bez względu na wysokość kosztów i zaniósł sam moją dymisję do biura. Tego, co zarobię, wystarczy na nas troje! — powiedział. Nie jest Krezusem. Będzie musiał ograniczyć swoje osobiste wydatki!

— Nie po słowach, ale po owocach poznacie ich! — zadecydował biblijnym stylem nieugięty stryj Benedykt. — Ale skoro mowa o Ani, to pozwolisz, moja droga, że złożę ci stanowcze oświadczenie: Z woli twego nieodżałowanego ojca jestem opiekunem Ani i z mych praw w żadnym wypadku nie zre-zy-gnu-ję — skandował z naciskiem, kiwając nogą, założoną na kolano. — Nie tylko więc proszę, ale wymagam od ciebie, abyś przed powzięciem jakiejś decyzji co do wychowywania Ani, zawsze

i każdorazowo mnie się po-ra-dzi-ła. (Znów te same wahadłowe ruchy nogą, drażniące panią Alinę!)

— Zatem i teraz — ciągnął dalej stryj Benedykt, chrząknąwszy uprzednio — radbym wiedzieć gdzie mała będzie?!

— Ależ ze mną, z nami! — poprawiła się natychmiast. — Ślub nasz odbędzie się za indultem, od dziś za tydzień. Potem wyjedziemy na letnisko, skąd Edmund ma dojeżdżać do Warszawy dla prowadzenia interesów swej firmy, a gdy je ukończy, wrócimy do Kijowa. Ania będzie chodziła do szkoły. Z domu jej nie oddam! Może weźmiemy Francuskę na stałe, jeśli obecne kombinacje handlowe Edmunda tak się powiodą, że firma kijowska wypłaci mu dodatkowe wynagrodzenie. Oto mój plan co do najbliższej przyszłości.

Stryj Benedykt spojrzał z pod okularów na śliczną kobietę, siedzącą na kanapie w pozie, pełnej niezawodzącego nigdy wdzięku. Jakiś cień żalu zamglił mu przez chwilę oczy. Było to tak przelotne, że uszło uwagi pani Aliny i dostrzeżonem zostało tylko przez żonę, która znając dobrze głąb serca tego napozór szorstkiego człowieka, obrzuciła go kochającem wejrzeniem.

— Aprobuję! — przytaknął „niedźwiedź“ łagodniejszym o wiele głosem. —My również wyjeżdżamy za parę dni do Milanówka na całe wakacje. Szkoły się kończą, a wojenne niespodzianki nie pozwalają na dalekie podróże. Wolimy być tuż pod Warszawą. Oczywiście ślub twój odbędzie się cicho, bez gości i wystawnego przyjęcia. Składamy ci zatem nasze życzenia: Nie doznaj rozczarowania, moja Alinko! — ujął jej drobną rękę i przycisnął do

niej tak delikatnie usta, przykryte rudawym wąsem, że synowica doznała miłego wrażenia.

— Dziękuję stryju za życzliwość, jaką wyczułam w tej chwili — odezwała się szczerze. — Stryjence również dziękuję — ucałowały się serdecznie — za okazanie mi większej wiary w naszą pogodną przyszłość, niż to uczynił stryj swem uporczywem powątpiewaniem.

Opiekun pochylił głowę na piersi. Snadź i on doszedł do przekonania, że losy synowicy są już rzucone, gdyż nie podjął wcale jej słów ostatnich i zaproponował spokojnie:

— Może zechcesz pomówić z Michasiem?! Powiedz mu o wszystkiem z całem zaufaniem. Kocha cię zawsze głęboko i napewno — zrozumie. Chłopak się wyrabia! — oczy błysnęły mu dumą. — Ma swoje wady, jest porywczy, nieopanowany, ale to czyste złoto! — Pójdę zobaczyć, czy jest u siebie?! — wyszedł z salonu, zostawiając kobiety na ożywionej rozmowie.

Gdy po jakimś kwadransie pojawił się znowu, atmosfera w salonie była pogodna. Jeden rzut oka na zarumienioną twarz Alinki i na siedzącą tuż obok niej żonę, przekonał wytrawnego pana domu, że synowica unosiła się nad doskonałością narzeczonego, starsza zaś powiernica słuchała tych zwierzeń z uprzejmem pobłażaniem.

— Michaś jest w swoim pokoju, na górze — oznajmił. — Nie przyprowadziłem go tu, gdyż sądzę, że oboje wolicie porozmawiać bez świadków. Jeśli ci to dogadza, możesz zaraz pójść do syna — widząc, że pani Alina podnosi się z kanapy, roztwo-

rzył przed nią drzwi od przedpokoju, noszącego nazwę „górnego hallu".

Kamieniczka państwa Benedyktostwa była wysoka i wązka, jak wszystkie niemal na Starem Mieście. Na dole mieściły się: jadalny pokój, kuchnia i obszerna spiżarnia, na pierwszem piętrze — sypialny i salon, a na poddaszu trzy pokoje strychowe, zajmowane przez chłopców. Łazienka obok sypialni urządzona była wedle najnowszych wzorów higjeny. Słoneczna, przewiewna, nęciła wzorową czystością i zajmowała poczestne miejsce w życiu całego domu.

Lekkiemi krokami pięła się pani Alina po wąskich schodach, wiodących na górę. Drzwi od pokoju syna były zamknięte. Bezszelestnie nacisnęła klamkę i zajrzała do środka z uśmiechem. Michaś siedział przy stole z głową zatopioną w dłoniach. Promień słońca, wpadający przez niewielkie okno, igrał w jego złotej czuprynie i muskał szczupłe chłopięce palce. Nie poruszył się wcale. Zaniepokojona przypadła do niego, kładąc mu rękę na ramieniu. Chłopak drgnął, odwrócił się szybko:

— To ty, mamo! — stanął naprzeciw niej, ujął obie ręce, całując je kolejno z uczuciem, poczem jął się przyglądać matce z zachwytem w niebieskich, poczciwych oczach.

— Tak, to ja! — zaśmiała się pani Alina młodzieńczym, figlarnym śmiechem, wskazując jednocześnie białym paluszkiem na porozrzucane tu i tam rzeczy chłopca:

— Wiesz, synku, co ci powiem?! Jeśli tu, w tej systematycznej rodzinie nie nauczyłeś się porządku, to chyba jesteś nieuleczalny, biedaku?!

Zawstydzony słuszną uwagą Michaś, pozbierał szybko różne „kawałki“ swej garderoby i wrzucił je bez namysłu do szafy, poczem oparł się o nią plecami i milczał chwilę, wpatrzony w czarowną postać matki:

— Jak ci do twarzy, mamusiu, w tej popielatej sukni! Tak przywykłem do twojej czerni, że wydajesz mi się całkiem inna! Wyszłaś z żałoby i... wychodzisz zamąż... — urwał ze smutkiem. — Mówił mi o tem przed chwilą stryj Benedykt...

— Wyobrażam sobie w jakich barwach przedstawił ci tę sprawę! — uniosła się zapalczywością, pomna ostrych słów, przed chwilą w salonie wypowiadanych.

Cicha toń niebieskich źrenic Michasia zmąciła się wyrazem protestu:

— Nie znasz go, mamo, jeśli takie posądzenie mogło ci przyjść do głowy! — krzyknął gorąco. — To najszlachetniejszy człowiek na świecie! On... — urwał, gdyż nie chciał wyznać matce z jaką delikatnością ten stryj przedstawił mu jej zamiary i jak łagodził jego wzburzenie!

Niespodziewana wieść o zamiarze powtórnego zamęścia matki spadła jak piorun na chłopca i rozszczepiła mu serce na dwoje. Ten nieznany „wuj Edmund“ stawiany im był od dziecka jako przykład bezgranicznego egoizmu! Dziadzio Wojciech, przeciwnik zdecydowany tej przywary charakteru, chcąc wyplenić z wnuków najdrobniejsze jej zaczątki, opowiadał im o wielu samolubnych postępkach, cytując między innemi zachowanie się Edmunda względem matki.

— Za tyle poświęcenia, pracy, oddania — nie

chciał spełnić jej najdroższego marzenia i zabrać jej do siebie do Kijowa! — mawiał z oburzeniem! — Pamiętajcie, że samolubstwo to najniższa wada!

— Takiemu to człowiekowi mamusia chce powierzyć los swój i Ani?! — wołał przed chwilą do stryja. — To niemożliwe! Moja biedna, maleńka siostrzyczka! Nie będzie jej słodko z takim ojczymem!

— Uspokój się, Michasiu! — przemawiał doń stryj z dobrocią. — Nad Anią będziemy czuwali, a co do matki — możesz tylko przyjąć jej decyzję do wiadomości i kochać ją dalej!

Więc chłopak zacisnął zęby i umilkł.

Teraz, gdy matka doń przyszła, synowska miłość dla niej zagórowała nad wszystkiem. Z uśmiechem, pełnym czułości wskazał jej wygodny fotel:

— Usiądź tu, mamuchno! Pysznie się czujesz, nieprawdaż?! — To nie dla mnie, tylko dla gości! Jestem Spartaninem z przekonania! — wskazał z młodzieńczym humorem wąskie, żelazne łóżko i sztywne, drewniane krzesła. Przysunął się do matki, wpatrzonej w urodziwego syna, wziął jej dłoń wypieszczoną i białą w swoje chłopięce ręce i, przechylony ku niej, jął mówić ciepło:

— Mam do ciebie wielką prośbę, mamo! Ufam, że mi nie odmówisz! Prawda?! a na potakujący gest głową, nie dając jej przyjść do słowa, ciągnął dalej:

— Widzisz, mamusiu, kończę już szesnasty rok i mam wrażenie, że jestem odpowiedzialny za losy rodziny. Może to śmieszne, niewłaściwe?! Przecież jest stryj Benedykt! Tak, to prawda, ale — w najprostszej linji — tylko ja jestem opiekunem rodzeństwa. Najstarszy syn! Więc, moja śliczna mamuch-

no, obiecaj mi, że Ania nie odczuje żadnej zmiany wskutek twego postanowienia, że się z nią nie rozłączysz i nie dasz jej... — chciał powiedzieć: „krzywdzić", ale z delikatnością uczuć równą jego żywości, dokończył: — nie dasz wyrządzić najlżejszej przykrości! Czy dobrze, mamusiu?! — całował serdecznie ręce matki.

Pani Alina patrzyła nań, nie mówiąc słowa. Rozczulił ją swym błagalnym głosem, dotykając jednocześnie w przykry sposób swemi słowami. Wszyscy są przeciw Edmundowi i niema na to rady! Czas ich przekona i zwycięży nieufność.

— Obiecuję, mój drogi chłopcze! — powiedziała swobodnie. Niepotrzebnie się troszczysz o naszą małą pieszczoszkę! Okazuję jej teraz jeszcze więcej uczucia, niż przedtem, gdyż znam dobrze tę niewywnętrzającą się duszyczkę! Jedzie z nami na letnisko pod Warszawą, Edmund upatrzył kilka miejscowości. Nie wiem jednak na którą zdecydujemy się ostatecznie.

— Dziękuję ci, mamuchno! Nie gniewaj się na mnie i przyjmij moje życzenia. Oby twój przyszły mąż kochał cię tak gorąco i wiernie, jak nasz najdroższy ojciec! — głos chłopca załamał się przy tych ostatnich wyrazach.

Matka przygarnęła go do siebie, całowała jego odkryte czoło, jego policzki smagłe i rumiane od wichru i słońca, gdyż zamiłowanym był wioślarzem i każdą chwilę wolną od nauk, spędzał na łódce.

— Chłopcze mój drogi! Kochaj mnie zawsze tak mocno jak teraz! Przyjdźcie do mnie wszyscy na obiad w niedzielę, czy zgoda?! Edmund jest obecnie w Kijowie, wrócić ma w poniedziałek. Wy-

biorę się jutro do państwa Kazimierzostwa i zapowiem to samo Pawełkowi i Hali, a tymczasem żegnam cię, synku. Ania czeka na mnie, wracam do domu. Wysyłam ją codziennie z Brygidką do parku w Łazienkach, aby się nałykała świeżego powietrza.

— Odprowadzę cię, mamo. Rozjeżdżamy się wszyscy i niewiadomo kiedy się zobaczymy! — wziął czapkę i zeszli ze schodów, nie spotkawszy po drodze nikogo z domowych.

Nazajutrz pani Alina dzwoniła popołudniu do drzwi wspaniałego mieszkania państwa Kazimierzostwa Więcławskich, którzy z taką ochotą i dobrocią zajęli się losem jej młodszych dzieci. Oboje pochodzili z Podola, z pod Baru i mieli za sobą najpiękniejsze tradycje. Jeden z przodków gospodarza domu brał czynny udział w konfederacji Barskiej, pradziadowie jednej i drugiej strony uczestniczyli w wyprawach napoleońskich, ginąc dla Polski pod znakiem cesarskich orłów, dziadowie konali w powstaniach, w spiskach o odzyskanie wolności, ojcowie byli zesłani na syberyjską katorgę i z czasem ułaskawieni. Mocna nić patrjotyzmu łączyła przeszłość z teraźniejszością i pan Kazimierz, otrzymawszy znaczny spadek po ciotce, postanowił przysłużyć się krajowi, zakładając w Warszawie fabrykę kafli i pieców majolikowych, na czem się znał doskonale, jako skończony inżynier-technik.

Żona zaś jego, pani Janina, oddała się z zapałem podniesieniu kultury i dobrobytu wśród własnych robotników. Założyła szkółkę i ochronkę dla ich dzieci, udzielając im codziennie lekcyj polskiego języka i narodowej historji. Przez jej to ręce szły znaczne sumy na podźwignięcie zdrowia i bytu pod-

władnych częstokroć niewdzięcznych, zawistnych, buntowanych przez obcych podżegaczy. Ale niewyczerpany optymizm pani Janiny i żartobliwa pogoda jej męża nie dawały się zgasić silnym nawet podmuchom. Jeden rzetelny i wdzięczny im robotnik stanowił dla nich istotną nagrodę za czas stracony dla dwudziestu niewdzięczników i „praca dla przyszłości Polski“ szła dalej codzienna i niestrudzona.

Ludzie, żyjący ideałami, umieją znosić cierpienie po bohatersku, więc gdy śmierć przecięła znienacka życie dwuch ich maleńkich synków, nie załamali się pod tym strasznym ciosem, tylko jasna czupryna pana Kazimierza przyprószyła się lekko siwizną, a w kruczych włosach pani Janiny ukazały się srebrne nitki.

Do takich to ideowców dostały się młodsze dzieci z rozbitego gniazda państwa Zygmuntostwa i jedynem niebezpieczeństwem dla ich matki mógł stać się z biegiem lat ów magnes ducha i serca nowych opiekunów, przyciągający nieodparcie ku sobie młode latorośle wbrew dawnym uczuciom.

Starannie ubrany służący otworzył drzwi i pełnym szacunku ukłonem powitał znanego gościa. Pani Alina weszła do ogromnego salonu, którego osobliwością były piękne meble robione w Polsce wedle wzorów artystów, swojskie kilimy na posadzce, na ścianach zaś moc obrazów pomiędzy któremi zbiór główek dziewcząt wiejskich z różnych okolic Polski, zwracał uwagę swoją barwnością.

Odgłos pośpiesznych kroków przerwał pani Alinie oglądanie nieznanej jej głowy wieśniaczki z pod Łowicza. Obejrzała się, czarującym uśmiechem wi-

tając podchodzących ku niej gospodarzy domu. Pani Janina, brunetka o piwnych oczach i okrągłym zarysie twarzy, łatwa i ujmująca w obejściu, szła naprzód prędkiemi, jakgdyby śpieszącemi się zawsze do celu krokami. Jej entuzjastyczna natura wynosiła niejednokrotnie jej myśli po za ramy chwili obecnej. Stąd — roztargnienia pani Janiny i powroty, oderwanego od ziemi intelektu, do zwykłej towarzyskiej rozmowy, bywały sławne wśród licznych przyjaciół i wywoływały często wybuchy żartów i śmiechu, w czem brała niezgorszy udział sama winowajczyni. Za nią podążał jej mąż, wysoki, barczysty blondyn, z wyniośle na karku osadzoną głową, z łagodnym, acz bystrym wyrazem niebieskich źrenic, przybierających w słońcu odcień bławatków. Szczodrość była podstawową cechą jego charakteru, cechą silniejszą ponad wszelkie rozumowanie. Dzielił się ostatnim kęsem chleba z przyjacielem w potrzebie, a czynił to z łatwością, nie zważając na troski dnia jutrzejszego. Toteż przed odziedziczeniem znacznego spadku państwo Kazimierzowie bywali często w położeniach rzekomo „bez wyjścia“ które, wszelako, los wyjątkowo dla nich przychylny, rozplątywał wcale pomyślnie. Życzliwi twierdzili, że cnota oszczędności pozostanie dla nich nazawsze obcą wobec fantazji podolskiej: — „Jak jest — to szelest!“

Wiedzieli już oboje o zmianie losu matki ich wychowańców. Ciocia Rozalka uprzedziła ich o tem, prosząc, aby Pawełkowi i Hali powiedzieli o tej nowinie. Wyrażała się przytem niechętnie o przyszłym mężu pani Aliny, a słowa „Samolub! Pyszałek!“ zadźwięczały ostro w słuchawce telefo-

nicznej, przyłożonej do ucha pani Więcławskiej. Zachowanie się dzieci wzbudziło również ich zadziwienie. Opanowany z natury Pawełek puścił wodze swemu żalowi:

— Mamusia idzie zamąż, za wuja Edmunda?! — ściągnął brew i pogrążył się w uporczywem milczeniu.

— Biedna mamusia! — krzyknęła Hala z rozpaczą. — To taki okropny egoista! Przestrogi dziadka Wojciecha i tu wydawały swe plony.

Pomimo tak wyraźnego oporu najbliższych, państwo Więcławscy postanowili zachować wobec pani Aliny „życzliwą neutralność" i nie mieszać się zgoła do spraw rodzinnych. Powodowani byli nietylko delikatnością, ale i pewnem, tajonem może zadowoleniem z takiego obrotu rzeczy. Przywiązali się bowiem do „dzieci", a powtórne zamęście ich matki czyniło łatwiejszem ziszczenie się kiełkującej myśli o adoptowaniu Pawełka i Hali.

Powitali tedy panią Alinę z uprzejmą serdecznością, wysłuchali jej planów uważnie i z prawdziwą szczerością złożyli życzenia spokoju i szczęścia. Pan Kazimierz, wielbiciel pięknych kobiet, błysnął wesoło niebieskiemi oczyma i dodał z przekonaniem:

— Taka czarodziejka jak pani potrafi z pewnością umaić kwiatami paproci drogę nowego życia! Ten pan Edmund w czepku się rodził! Co, jak myślicie?! Zamieniłbym się z nim chętnie na role! — przechylił lekko na ramię patrycjuszowską głowę, spoglądając przekornie na zarumienioną wdowę.

— Kaziu! — zakrzyknęła żona z udanem oburzeniem. — Grzeczny jesteś dla mnie, niema co mó-

wić! — pomimo tego protestu obrzuciła męża rozkochanem wejrzeniem.

— Dziecko moje! — śmiał się pan Kazimierz, ukazując białe zęby z pod jasnych, niewielkich wąsów. — Czas już, abyś przyzwyczaiła się do mojej niestałości! — żartobliwość igrała na jego twarzy.

— On jest niemożliwy! — wzruszyła ramionami pani Janina, zwracając się żywo do rozbawionego gościa. — W biurze fabrycznem to inny zupełnie człowiek, ale tu, w domu nie potrafi mówić poważnie!

— Dziękuj Bogu, że mam taką dwoistą naturę! Nie sprzykrzę ci się nigdy, dziecko moje! — rozparł się jeszcze wygodniej w przepaścistym fotelu, i z krótkim śmiechem przesunął palcami po odrzuconych wtył włosach.

Pawełek i Hala wbiegli w tej chwili do salonu i poskoczyli ku matce. Najdroższa mamuchna! Taka śliczna i młoda! Taka kochana i dobra! Umieścili się z dwóch stron obok niej na kanapie i obsypali pocałunkami białe, maleńkie jej dłonie i różane policzki.

— Przyjdziecie do mnie na obiad w niedzielę, dziecięta najmilsze! — mówiła pani Alina, tuląc kolejno usta do ciemnej głowy syna i do jasnych, o miedzianym połysku włosów córeczki. — Mam z wami do pomówienia o pewnej ważnej sprawie. Michaś przyjdzie również.

— Najchętniej, matuchno! My już coś o tem wiemy! — wyrwała się niebacznie roztrzepana Hala.

Pani Alina powiodła po niej zdziwionym wzrokiem, ale pan Kazimierz uratował sytuację:

— Niech pani nie zwraca uwagi na to, co ten dziaciak plecie! — wstał i podał zaokrąglone ramię gościowi. — Służę pani. Przejdziemy do jadalni na podwieczorek. Chodź tu mała! — objął Halę wolną ręką i szedł tak przez salon. — Ta panienka ma w główce pytel prawdziwy! wszystko przemiele, szkoda tylko, że nie na mąkę, ale na otręby! Prawda, mój wicherku?! — Męski i dźwięczny głos jego brzmiał serdecznem uczuciem, a zielone oczy dziewczynki śmiały się do tego „złotego wujcia" z pogodą i weselem beztroskiej młodości.

WĘZEŁ DRAMATU.

Edmund wrócił z Kijowa o parę dni później, niż początkowo zamierzał, gdyż ostateczne zlikwidowanie stosunku jego z firmą zajęło mu więcej czasu. Zawiadomił o tem Alinkę depeszą, długą jak list, albowiem chwilowa rozłąka podnieciła jego uczucia. Przyjechawszy rannym pociągiem do Warszawy, po wzięciu kąpieli i przebraniu się, jął telefonować do różnych urzędów. Wszystkie odpowiedzi brzmiały pomyślnie, ślub i wyjazd przez Petersburg, Finlandję do Szwecji mógł odbyć się w dniu oznaczonym. Położył słuchawkę na widełkach aparatu, zaśmiał się cicho, a z ust jego padły słowa:

— Oto co znaczą pieniądze i wpływy! — wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju i wyjął z kieszonki pamiątkowy, złoty zegarek. Rzucił nań okiem:

— Już jedenasta. Mogę iść do Alinki. Obym tylko zdołał ją przekonać, bo inaczej ta wymarzona podróż poślubna zaciąży jak łańcuch drobnych udręczeń! — myślał, denerwując się w duszy. Włożył na głowę kapelusz, odpowiedni kolorem do sportowego ubrania i wyszedł z „Bristolu“ na ulicę.

Jakaś nieznana, młodziutka dziewczyna otworzyła mu drzwi na Brzozowej. Jednocześnie niemal pani Alina znalazła się w przedpokoju. Tak byli do siebie stęsknieni, że nie zwracając uwagi na obecność

ciekawego świadka, rzucili się sobie w objęcia. Córka stróżowej umknęła szybko, radując się w duchu że ma tak bogatą kanwę do haftowania plotek w izbie rodziców wieczorem. Narzeczeni weszli do jadalni i, trzymając się za ręce, stanęli przy oknie. Fijołkowe źrenice pani Aliny nie mogły się oderwać od wytwornej postaci ukochanego. Sportowy garnitur z angielskiego, jasno-kawowego materjału, podwinięte do kolan spodnie, sznurowane, żółte trzewiki i krótko przycięte włosy — nadawały mu cechę takiej młodzieńczości, że wdowa spytała przekornie:

— Ile ty masz lat, Edmundzie?! Może jestem dla ciebie za stara?! przechyliła w bok głowę, błyskając perlistemi ząbkami, pewna jego miłości wobec własnego, niezawodzącego powabu.

Mężczyzna roześmiał się, stwierdziwszy poprzedni jej zachwyt:

— Liczę sobie trzydzieści dziewięć wiosen i tyleż jesieni, do usług pani! Ty zaś — kończysz niedługo trzydzieści cztery, nieprawdaż?! Dobrane wieki, razem przynajmniej starzeć się będziemy. Ale dlaczego my stoimy?! Usiądź tu, moja śliczna, na tej przedpotopowej kanapie, a ja obok ciebie. Ot, tak. Doskonale, a teraz słuchaj bajki z tysiąca i jednej nocy!

Twarz narzeczonej wyrażała gotowość słuchania bez końca. Edmund położył jej delikatną rękę na swoją, przykrył ją drugą niby pojmanego w sidła białego gołąbka i zaczął mówić z ożywieniem i dumą w głosie:

— Szczęśliwy jestem, że będę mógł stworzyć dla ciebie otoczenie, godne twej urody i wdzięku!

Królowo moja! Nie jestem w stanie wyobrazić sobie twej doskonałej piękności w skromnem mieszkanku, pitraszącą wśród kuchennych swądów wątpliwe przysmaki dla uznojonego męża urzędnika! Nie, moja cudna! Unikniesz takiego losu, gdyż Fortuna chce być naszym wiernym towarzyszem. Zastałem list od mego dawnego kolegi, który jest dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa wyrobu skór w Szwecji. Widzisz przed sobą jedynego jego reprezentanta na całą Rosję! Czy ty rozumiesz co to znaczy?! — upajał się perspektywą zbytku, jaki daje pieniądz.

— Nie znam się na tem, ale sądząc po twym radosnym tonie, myślę, że będziemy opływać we wszystko! Jak się nazywa ten kolega?! Czy to twój przyjaciel?! Dlaczego wybrał ciebie?! Jak się to stało?! — zasypywała go pytaniami.

Edmund kilka razy potrząsnął głową:

— Mam wrażenie, że mnie opadły pszczoły! — zawołał z miłą żartobliwością. — Tyle naraz zapytań! A więc odpowiadam: Nazywa się Bolesław Śmigielski, nie byłem z nim w przyjaźni, ale zato moja matka dawała mu bezpłatnie lekcje języków, a wybrał mię, bo znany jestem i ceniony w kołach handlowych, no i przez wdzięczność w dodatku! Teraz sobie przypominam, że zawsze pisywał do mojej matki na jej imieniny i stąd wiedział o moim adresie kijowskim. Tam też list swój skierował.

— Ależ to nadzwyczajny człowiek! Co za szlachetność! — unosiła się z entuzjazmem pani Alina. — Chciałabym go poznać!

— Widocznie jesteśmy w okresie wróżek i czarów !— zaśmiał się Edmund z zadowoleniem. —

Życzenie twoje się ziści, bo zaraz po ślubie jedziemy do Szwecji, a raczej do Stokholmu, bo tam właśnie to przedsiębiorstwo się mieści

Młoda kobieta plasnęła w dłonie z dziecięcą uciechą. Nie miała w życiu prawdziwej młodości, chłonącej tak skwapliwie różne uciechy, że w latach dojrzałych — przesyt jest tego częstym wynikiem. Z dziewczęcości wiosennej wkroczyła odrazu w krainę trosk i obowiązków rodzinnych, toteż spokojny dotychczas nurt jej serca, falował teraz burzliwie, wznoszony miłości i szczęścia podmuchem. I to on — ten Edmund, potępiany tak ostro przez rodzinę — otwiera przed nią podwoje do tego czarodziejskiego przybytku!

W wielkim porywie uczucia oplotła mu szyję rękami, jakgdyby utoczonemi z różowego marmuru, całowała jego oczy, w których gnieździły się skry bezgranicznej, zdolnej do poświęceń miłości. Ach, tak! Wierzyła w to głęboko. Przecież — oświadczył się jej przed owym listem, zwiastującym tak nieoczekiwaną i radykalną przemianę losu!

— Teraz odpowiednia chwila! — pomyślał Edmund, opanowując własne uniesienie, byleby tylko doprowadzić do skutku dawniej powzięty plan:

— Moje kochanie najdroższe! — zaczął poważnie i czule. — Pomimo naszej ostatniej rozmowy i danego ci przezemnie słowa, samo życie narzuca nam po raz drugi pytanie: Co uczynimy z Anią?!

— Jakto?! — wyrwało się z ust pani Aliny, nie zdającej sobie narazie sprawy z doniosłości tych słów. Ręce jej zsunęły się z ramion narzeczonego,

a w całej postawie tyle było niespokojnego wyczekiwania, że Edmund podjął nanowo:

— Na letnisko mogła z nami pojechać. Bezsprzecznie. Ale do Szwecji?! Pomyśl sama, moja najmilsza?! Czyż to podobna?! Taka daleka podróż, hotele, restauracyjne jedzenie... A jeśli zachoruje — Boże broń, oczywiście — jak sobie damy radę w drodze, albo w obcych, nieznanych warunkach?! Zastanów się. Chyba mam słuszność?

— Rzeczywiście! — szepnęła zachwiana. — A czy my tam długo zabawić musimy?!

— Sądzę, że około trzech tygodni, miesiąc — najdłużej! — odparł jej z gotowością. — Droga daleka, zajmie kilka dni czasu — wyliczał — tam, na miejscu trzeba będzie obeznać się z całokształtem interesów, więc przejdzie parę tygodni z pewnością, no — i powrót, — zakończył.

Pani Alina poweselała:

— Tylko miesiąc! To bardzo upraszcza sprawę. Oddam Anię do Bisi, na wieś i pojedziemy we dwoje. — Oczy jej spojrzały miłośnie na Edmunda, zdumiewając się już w następnej chwili gwałtownej przemianie w wyrazie twarzy narzeczonego.

Spurpurowiał i zdawał się wrzeć cały gniewem. Przelotne milczenie w pokoju zmąciło się nagle wybuchem ostrego głosu:

— Do Bisi?! Nigdy! Czy już zapomniałaś o jej niegodnem posądzeniu, o jej wrogości dla mnie?! I ja miałbym ją teraz prosić o jakąś przysługę?! Nie znasz mię widać! — powstał szybko z kanapy i, podniecony, jął krążyć wokoło jadalnego stołu.

— Nie prosiłbyś jej o nic! To moje dziecko, Edmundzie! — zauważyła łagodnie, czując, iż spra-

wa wikła się coraz gorzej. Oddałaby teraz część tego szczęśliwego życia, jakie ma być jej udziałem, byleby cofnąć owe niebaczne swe wynurzenia.

— Dziecko twoje, to prawda, ale kto będzie je wychowywał?! Kto ma zostać opiekunem rodziny?! Na czyjej głowie leży przyszłość Ani, jej wykształcenie i wyposażenie?! Nie cofam się przed niczem i dotrzymam danego ci słowa, ale jeśli przyjmuję na siebie obowiązki ojca, to nie odmówisz mi, sądzę, praw jego! — głos mówiącego brzmiał twardo i nieugięcie.

Pani Alina podparła się łokciem o poręcz kanapy, objęła dłonią policzek i zapatrzyła się wdal. Rosnące nieporozumienie pomiędzy nią, a wybranym — przytłaczało boleśnie jej serce. Tymczasem Edmund zatrzymał się przed nią, ręce skrzyżował na piersiach i rozdrażnionym tonem przemawiał dalej:

— Powiedziałem ci przecież w dniu moich oświadczyn, że zrywam z twoją rodziną. Moje słowo ma wagę złota i nie da się zmiażdżyć na pyłek! Przypomnij sobie, że po wypowiedzeniu mi domu przez twego ojca, noga moja nie postała w Malinkach! Nie starałbym się również zbliżyć do ciebie, gdyby nie nasze przypadkowe spotkanie w biurze i... — tu uczynił nieokreślony ruch ręką, jakgdyby miał na myśli poddanie się przemożnej sile miłości.— Taki już jestem! — wyprostował się dumnie — *Tout d'une pièce!* jak mówią Francuzi!

Wzrok pani Aliny oderwał się od ściany i spoczął na narzeczonym. Oczy jej podobne były w owej chwili do dwuch fijołków, skąpanych w rosie, ale Edmund nie widział tego, a może nie chciał widzieć,

gdyż rozpoczął znów swą wędrówkę po jadalni z podniesioną głową i rękami, włożonemi w kieszenie.

Młoda kobieta zaczerpnęła powietrza, czemu towarzyszyło lekkie westchnienie. Myśl jej pracowała usilnie nad pogodzeniem dwuch sprzecznych uczuć, toczących w niej walkę na ostro. Z rozjaśnioną nagle twarzą wymówiła śpiesznie:

— Zapomnieliśmy o państwu Kazimierzostwu! Wyjeżdają na wieś, tuż pod Warszawą i wezmą Anię najchętniej! — patrzyła wyczekująco na Edmunda, ale przy pierwszych jego słowach śliczne jej rysy powlekły się smutkiem. Oczy mężczyzny, zwrócone w tej chwili na nią, zdawały się być przepojone gniewną niechęcią:

— Dziękuję uprzejmie! Co za pomysł! Siostrzeniec pani Rozalji, czyli dalszy ciąg familijki! Jakbym słyszał ich utyskiwania: „Zaledwo się ożenił, już pozbywa się dziecka żony! Egoista! Marny charakter! Przepowiadaliśmy to odrazu! Biedna sierotka!" i tak dalej — rozgrzewał się swemi argumentami, rzucając te słowa z drugiego końca pokoju, gdzie stanął nieruchomy i hardy. — Wylęgarnia obmowy! Niech ci się nie zdaje, że pozwolę siebie obniżać w ten sposób! — cisnął jeszcze ostatnią strzałę.

— Więc w jaki sposób rozstrzygnąć tę kwestję?! — zawołała oszołomiona.

W jednej chwili Edmund znalazł się obok niej, usiadł na sofie, wziął obie ręce narzeczonej w swe męskie, rasowe dłonie. Oczy jego były znów rozkochane i czułe:

— Jeśli mnie pytasz o radę — zaczął swobodnie — to znalazłem doskonałe wyjście z tej całej

sprawy. Oddamy Anię do moich dobrych znajomych z Kijowa, którzy przenieśli się niedawno do Warszawy. On — pracował w naszem biurze i zawdzięcza mi najlepsze referencje o sobie przy zmianie posady. Ona — miła i dobra kobieta, wzorowa matka. Mają dwoje dzieci w wieku Ani mniej więcej. Będzie jej tam idealnie wygodnie i dobrze, o czem możesz przekonać się dziś po południu. Oczekują nas i zgadzają się na moją propozycję.

— Obcy ludzie! — powiedziała pani Alina wahająco. Nie mogą przecież tak dogadzać mojej pieszczoszce, jak własnym dzieciom! Biedna mała! Przecierpi tę rozłąkę! Wołałabym jednak do Bisi... dorzuciła nieśmiało.

— Nie powracajmy do omówionej kwestji! — zawołał Edmund nerwowo. — Nie znasz tych ludzi, nie możesz tedy ich sądzić! Pewny jestem, że zmienisz zdanie po naszej wizycie! — chodził po pokoju wzburzony, myśląc z gniewem, że ta mała dziewczynka jest przeszkodą do jego szczęścia, że nurt głębokiej miłości płynie z serca jego narzeczonej w stronę dziecka, krzywdząc go i zubożając w ten sposób. Samolubny i zazdrosny o każdą tkliwszą myśl ukochanej Alinki, nie chciał się zgodzić na dzielenie się jej sercem z córeczką Zygmunta. Nie umiał zrozumieć i rozgraniczyć miłości matki od gorącego uczucia kobiety.

Złota struna szczęścia, wygrywająca im dotychczas przecudne melodje, umilkła nagle, jakby w obawie, że może pęknąć pod zbyt silnym naciskiem. Dopiero wieczór przywrócił w pełni czarowną harmonję dwojga zakochanych. Pani Alina nie przypuszczała nawet, że owi znajomi Edmunda pod-

biją ją do tego stopnia. Państwo Jerzowie Rablewscy okazali się przemiłymi ludźmi, oddanymi zupełnie dzieciom i życiu rodzinnemu. Szczególniej pan Jerzy, brunet z rozwianą czupryną, o pałających i skrzących się wesołością oczach, zachwycił narzeczoną Edmunda swym koleżeńskim i serdecznym stosunkiem do małej córeczki i starszego o lat parę synka, którym przez cały wieczór nakręcał aparat kinowy, tłumacząc treść rzucanych niewielkich obrazów i zaśmiewając się wraz z niemi z komicznych nieraz sytuacyj. Dwie matki omówiły szeroko sprawę pozostawienia Ani w tym „raju dla dzieci", jak się wyraziła pani Alina ze swym czarodziejskim uśmieszkiem. Rozstano się wśród wzajemnych zapewnień o szczerej sympatji i, mogącej stąd wyniknąć z czasem przyjaźni. Edmund triumfował, ale okazał się skromnym w zwycięstwie. Odprowadził narzeczoną na Brzozową, unikając rozmowy o Ani. Pożegnalne uściski drogiej kobiety były dlań sowitą nagrodą. Pieściwe fale ciepła, jakiemi darzyły go różane usta, tulące się do jego twarzy, przenikały go nawskróś. Wyłaniająca się z sukni gołębiego koloru szyja, była tak śnieżna w zarysie, jak pierś białego gołębia, policzki — zaróżowione słodkiem wzruszeniem. Cała poezja marzeń chłopięcych wraz z żarliwem upojeniem męskiego wieku krystalizowała się dla Edmunda w tej jedynej, wybranej kobiecie.

Zdawało się, że ostrze przeszkody, stojącej na drodze do szczęścia, zostało pomyślnie stępione, gdy wtem „król-przypadek" zadrwił ze wszystkich w sposób niemiłosierny.

Na trzeci dzień po owem poznaniu się z Rablewskimi, Edmund wpadł rano do narzeczonej. Był

niespokojny jak Alinka przyjmie złe nowiny i obawiał się, czy zechce przystać na plan przezeń obmyślany. Innego rozstrzygnięcia jednak nie było, przynajmniej w jego pojmowaniu sytuacji.

Przywitawszy się czule z młodą kobietą, przystąpił odrazu do drażliwej sprawy:

— Przykro mi nad wyraz, Alinko, że muszę cię zmartwić, ale nasz projekt umieszczenia Ani u Rablewskich rozwiał się niby złudny miraż w pustyni!

— Co ty mówisz?! Dlaczego?! — wykrzyknęła z żalem pani domu.

— Wyobraź sobie jakaś ciotka zapisała im ogromną kamienicę w Moskwie. Co za pech! To jest pech, oczywiście, dla nas! Oni są uszczęśliwieni i jadą tam dziś wieczorem dla zlikwidowania interesów. Pragną nabyć jakąś realność w Warszawie. Dzieci sami oddają do krewnych. Rozumiesz przeto że...

— Tak, tak! — przerwała gorączkowo. — Ale co teraz uczynimy z Anią?! Przecież nasz ślub i wyjazd do Stokholmu ma nastąpić za parę dni!

— Telefonowałem na wszystkie strony — ciągnął dalej Edmund z ukrytem zakłopotaniem. — Sądziłem, że uda mi się znaleźć w Warszawie jeszcze innych przyjaciół równie szczerych, jak Rablewscy. Niestety! Jedni wyjechali na urlop, albo na wieś, drudzy odmówili mi wręcz, twierdząc, że branie na swoją odpowiedzialność cudzego dziecka, jest ponad ich możność!

Ku wielkiemu zdziwieniu Edmunda twarz narzeczonej rozjaśniała się w miarę jego opowiadania.

— Widzisz, mój drogi — odezwała się przymilnie. — Samo przeznaczenie chce, abyśmy oddali

małą do Malinek! Nie sprzeciwiaj się temu, ukochany! — obrzuciła go tak gorącem spojrzeniem, że ustąpiłby w każdym innym wypadku, ale głęboka uraza do całej rodziny Alinki mieściła się w niewyczerpanem źródle dotkniętej pychy.

— Nie! — rzucił twardo. — Chcesz, aby mi to potem wymawiano?!

Młoda kobieta opuściła jasną głowę na piersi:

— Nie wiem, jak z tego wybrniemy! — szepnęła cicho, ze smutkiem.

Edmund otoczył ją ramieniem. Głos jego melodyjny i ciepły przenikał zakochaną kobietę do głębi:

— Musimy oddać Anię na ten miesiąc do jakiegoś zakładu wychowawczego dla dzieci. Pamiętaj, że to wakacje letnie i różne klasztory i pensje nie funkcjonują. Wybór tedy mamy z musu ograniczony. Znam jednak taki zakład, idealny pod każdym względem. Matka moja była tam jedną z pań opiekunek i nieraz opowiadała mi o przełożonej i jej pomocnicach z najwyższym zachwytem. Zgodzisz się z tem, że uznanie mojej matki ma swoją wagę, nieprawdaż, kochanie?!

— O, tak bezwątpienia — przyznała natychmiast niezadowolona w duchu z takiego obrotu rzeczy. — I gdzież jest ten wymarzony zakład?! — pytała wahająco, zniewolona do rozpatrywania niemiłego dla niej projektu.

— Blisko Warszawy, najdroższa. W Piasecznej — oznajmił swobodnie.

— W Piasecznej?! — rzuciła się nerwowo. — Ależ tam jest ochrona dla sierot! Nie pojmuję, jak możesz proponować mi coś podobnego! — oburze-

nie jej było szczere, a uczucie matki odniosło zupełny triumf nad miłością kobiety, gdyż nie liczyła się wcale ze słowami:

— Twierdzisz, żeś ambitny, a ja, słuchając ciebie dochodzę do przekonania, że gra w tobie jakaś chorobliwa pycha! Tak, chorobliwa! — powtórzyła z naciskiem. Zawiniłam, wyznając ci obawy moich najbliższych! To — prawda! Ale być aż do tego stopnia urażonym, gniewnym, zawziętym na moją rodzinę, to... zabrakło jej tchu.

Przepyszne oczy Edmunda skrzyły się ogniem miłości. Wpatrywał się w narzeczoną z upojeniem, przyciągając ją wolno ku sobie:

— To co?! — powtórzył czule. — Mów, królowo! Tobie jednej, jedynej na świecie wolno mnie deptać tą cudną, maleńką stopką! Gniewaj się! Słucham z pokorą! — pochylił głowę.

Gniew pani Aliny osłabł. Była znów pod czarem obopólnej, gorącej miłości. Słowa kuzyna, jego głos, spojrzenie, promieniejące odeń żarliwe uczucie — zaciskały się wokoło jej serca niby oczka zdradzieckiej sieci. Podnieconym, choć znacznie już łagodniejszym głosem, czyniła mu dalej wyrzuty:

— To ciebie pomniejsza w moich oczach, Edmundzie! Doprawdy, przesadzasz! Nie będą cię tak ostro sądzili, jak mniemasz! Wiem jednak, że cię nie przekonam i pod tym względem muszę ustąpić. Ale z drugiej strony, co za projekt — głęboka uraza zarysowała się w wygięciu ust — z tą ochroną?! Tego pojąć nie mogę!

— Ochrona, czy zakład wychowawczy — to obojętne! Chodzi ci o nazwę, czy tak?! Staroszlacheckie przesądy! — zaśmiał się przekonywująco.

— Przecież to zakład dobroczynny! I ja mam z tego korzystać?! — rzuciła hardo.

— Bądź spokojna! Zapłacę im tak za ten miesiąc, że ja będę ich dobrodziejem, a nie oni — mojemi! — uniósł się Edmund.

— Ależ tam nie przyjmują dzieci, mających rodziców! Wiem o tem z pewnością! — dowodziła żywo, oporna w głębi.

— Czy masz się koniecznie przyznawać, że jesteś matką dziewczynki, którą oddajesz na jeden miesiąc?! Co to kogo obchodzi?! — zauważył niedbale. — Zresztą, nie mamy poprostu czasu wyszukiwać dla Ani innej opieki!

— Nie! Nie! — krzyknęła naraz gwałtownie.— Skoro nie chcesz zostawić jej u nikogo z tych, znienawidzonych przez ciebie ludzi, to niech jedzie z nami! Z dwojga złego, uważam tę podróż za mniejsze!

Kłopotliwa sytuacja nie mąciła wcale rozkochanego wyrazu oczu Edmunda. Przeciwnie — rad był w duszy, że przeskoczył Rubikon. Teraz chodziło już tylko o pomyślne przeprowadzenie ataku, w co wierzył. Objął Alinkę wpół, przytulił swą skroń do jej złotych, falistych włosów i szeptał z subtelną intonacją:

— Światełko moje najczystsze! Jedyna moja miłości! Kilkanaście lat życia poświęciłaś bez wahania dla narzuconego ci męża i dla dzieci, a ja cię proszę o miesiąc! O jeden tylko miesiąc wyłącznie dla mnie! Czy to zawiele, królowo moja! Powiedz! Czyż jestem zbyt wymagającym?!

Zdawała się zaskoczona tem przedstawieniem istotnej prawdy:

— Nie! — wyrzekła stłumionym głosem. —

Masz słuszność i pod tym względem, rozumiem cię dobrze. Ale sprawa przedstawia się całkiem inaczej, gdy chodzi o Anię! Żądasz odemnie bym ją zostawiła wśród całkiem obcych, a ja się na to zgodzić nie mogę! Nie znasz wrażliwości tej poważnej, rozwiniętej nad wiek dziewczynki! Taka pieszczona, kochana przez nas wszystkich i nagle sama — w ochronie! Nie! — zadrżała nagle, jakgdyby złowieszcza myśl ugodziła ją swem ostrzem:

— Przecież to czas wojenny! A jeśli nastąpi ewakuacja Warszawy?! Wszystko być może! Gdzie wtedy znajdę Anię?! Jeśli oddam ją do Bisi, to wiem, że własną piersią zasłoni dziecko przed niebezpieczeństwem! A obcy ludzie?!... Mój Boże! Mogą zostawić dziewczynkę na pastwę losu!

— Mylisz się, Alinko! Najgorzej jest, gdy kobiety mieszają się do polityki, albo wojny! Skądże możesz znać stan operacji wojennych?! Wierz mi, że jestem stokroć lepiej poinformowany. Gdyby miały zajść jakieś ważne zmiany na froncie, wiedziałbym o tem z pewnością, mając rozległe stosunki w sferach wojskowych. Przytem — my, w firmie kijowskiej dostajemy zawsze wiadomości dla zorjentowania się w dostawach dla wojska. Wracam przecież z Kijowa.Nikt nie przewiduje okupacji Warszawy.

— Wierzę ci — szepnęła. — Istotnie! Daleko wytrawniej możesz tę sprawę osądzić, niż ja! To było tylko jakieś przeczucie, tak bolesne!... Ach! Dlaczego?... urwała i zatopiła się w żałosnych rozmyślaniach nad pogmatwaniem z własnej winy radosnej rzeczywistości.

Edmund osunął się do jej stóp, przyklękając na jedno kolano. Uczuła jego gorące usta na swych

drżących ze wzruszenia dłoniach. Oczy mężczyzny słały bez przerwy fale uwielbiającej miłości. Korzył się przed ukochaną kobietą, postanowiwszy jednocześnie zostać zwycięzcą w tej walce. Miesiąc bajkowego szczęścia po ślubie miałby być zamącony przez obecność tej małej, nieprzychylnej dziewczynki?! Nigdy! Odrzuci ją ze swej drogi tak jak się wyrywa niepotrzebny badylek!

— Alinko! Skarbie mój! — głos jego pieścił słuch narzeczonej, mieniąc się tonami najgorętszego uczucia i błagania zarazem: — Nie chciałbym, abyś chociaż przez chwilę posądzała mnie o niedelikatność, brak subtelności w postępkach! A jednak... jednak... muszę przypomnieć ci naszą rozmowę z przed kilku dni. Powiedziałaś wówczas — czy pamiętasz, królowo?! — podniósł obie jej ręce do ust, nie odrywając wzroku od zaniepokojonych oczu pobladłej kobiety. — Powiedziałaś: — Wszystko dla ciebie gotowa jestem uczynić, Edmundzie, nawet gdyby to mię kosztować miało! Zmieniłem może słowa, ale treść — wszakże taka była?! Nieprawdaż, cudna moja?! Ofiarowałaś mi wtedy taki przepiękny kwiat twej wdzięczności wzamian za... Już wiesz, najdroższa! — patrzył na nią pełen podkreślanej z umysłu wiary, że „ona" dotrzyma obietnicy, a czarne jego źrenice pałały jak dwa brylanty, tyle w nich było żaru miłości.

Sieć zacisnęła się dookoła serca pani Aliny. Załkała zduszonym płaczem:

— Ja jej tam nie zawiozę!·Nie mogę!

Zwycięzca podniósł się z klęczek i zajął znów dawne miejsce. Otoczył ręką wysmukłą kibić narzeczonej, przygarnął ją do siebie wolno, troskliwie.

Położyła głowę na jego ramieniu zapłakana i szczęśliwa zarazem, a on mówił łagodnie:

— Jagusia ją tam zawiezie. Ufasz jej przecież, nieprawdaż?! Najlepiej dziś po południu. Czy dobrze?! Nasz ślub odbędzie się pojutrze i zaraz wieczorem wyjeżdżamy z Warszawy.

Nowe potoki łez trysnęły z oczu ślicznej kobiety, świadcząc o jej rozterce duchowej:

— Dziś?! — szepnęła żałośnie. — Dziś chcesz ją odwieźć koniecznie?! Nie będę mogła spać tu, w tym pokoju, patrząc na jej puste... łóżeczko! — łkania rozpierały jej pierś, ale osaczona przez własną, gorącą miłość, nie umiała oprzeć się żądaniu ukochanego.

— Dobrze. Nie będziesz tu spała, moja boginko! Zabieram cię zaraz do „Bristolu". Zamieszkasz tam w wykwintnym apartamenciku na pierwszem piętrze, wobec tego, że ja zająłem parę pokoi na drugiem. Moja przyszła żona — podniósł głowę dumnie — nie powinna być narażona na źle świadczące pozory i złośliwe plotki!

— Ale przed wyjazdem pojedziemy do Ani?! — nastawała, ocierając oczy.

— Najchętniej! — zgodził się bez wahania.

— A jeśli zobaczę, że ta... ta ochrona — powstrzymała krótki szloch — nie jest tak doskonała, jak ty mi to przedstawiasz, to odbiorę Anię! — wpatrywała się weń prosząco.

— I na to zgoda! — zaśmiał się pogodnie. — Pewien jestem, że wszystko zyska twoje uznanie. Przekonasz się, że to nic strasznego oddać dziecko na miesiąc w dobre, choć obce ręce! Powiem nawet że to wyrabia charakter i ćwiczy wolę. Doskonale

się stało, żeś wyprawiła Brygidkę do Malinek na pożegnanie z rodziną. Wprawdzie to niepotrzebne, bo już nie pojedziemy do Kijowa, ale zamieszkamy w Warszawie. Rad jestem wszakże, że ten kabel telefoniczny do „panny Balbiny“ nie będzie mógł funkcjonować w tej chwili! Nikt się nie dowie, że okoliczności zmusiły nas do oddania małej na miesiąc do Piasecznej! Tem lepiej! A teraz, ubieraj się, kochanie. Jedziemy zaraz do hotelu.

— Już?! — wtrząsnęła się, a oczy jej zaszły znów łzami.

— Ukochana! Nie płacz! Sprawiasz mi ból niezmierny! — chustkę, skropioną wytwornemi perfumami, przykładał delikatnie do twarzy narzeczonej. — Nie płyńcie perełki moje! Ot, tak! A teraz proszę mię obdarzyć promiennym uśmiechem! Cudnie! Ty bóstwo moje! — wstał z sofy i szybko przeszedł do sypialni. Za chwilę wrócił, niosąc lustro i kapelusz.

— Oto gotowalnia jejmości! — wygłosił żartobliwie. — A tu puder na te biedne, zaczerwienione policzki. Już ślicznie! Co mówi lustro mej pani?! Z pewnością tak jak w owej bajce, żeś najpiękniejsza na świecie! Okrycie wisi w przedpokoju, nieprawdaż?! Wychodźmy zatem. Ja tu przyjadę potem, zabiorę nieco twych rzeczy, zresztą — ustroję cię jak królowę mody skoro już w Szwecji zdobędę zasiłek pieniężny przy kontrakcie. Bądź spokojna, o wszystkiem myślę. U stróżowej zostawię list i pieniądze dla Brygidki wraz z rozporządzeniem, aby na nas czekała tu, w tem mieszkaniu. Proszę cię, jedyna, nie traćmy czasu, bo mam mnóstwo różnorodnych zajęć wobec tak nagłej i radykalnej zmiany losu! —

nie dawał jej przyjść do słowa, obawiając się, iż miłość matki weźmie w ostatniej chwili górę nad wymuszoną przezeń zgodą na jego twardy, egoistyczny projekt.

Byli już w przedpokoju, gdy pani Alina chwyciła rękę narzeczonego, przycisnęła ją do piersi i błagalnie spojrzała mu w oczy:

— Daj mi słowo, Edmundzie, że natychmiast po powrocie zabierzemy Anię do domu i że już nigdy, nie będziesz wymagał odemnie... takiego... poświęcenia... wymówiła urywanym, wzruszonym głosem.

— Słowo — powiedział krótko, podrażniony w głębi, że „ta nieznośna mała" zajmuje tyle miejsca w sercu upragnionej przezeń i kochającej go bezgranicznie kobiety.

Zatrzasnął drzwi od mieszkania o jeden ton mocniej, niż należało. Zeszli na dół, wsiedli do dorożki i odjechali.

ROZŁĄKA.

Od pierwszej niemal chwili wtargnięcia Edmunda w ich ciche życie, serduszko Ani cierpiało mocno, wstrząsane walką sprzecznych uczuć, ale ten zamęt duchowy doszedł do szczytu w chwili, gdy matka powiedziała jej o swem powtórnem zamążpójściu, nakazując kochać i uważać Edmunda za swego tatusia. Jakto?! Czyż to możebne?!... Przecież temu prawdziwemu tatusiowi byłoby bardzo przykro, gdyby spojrzawszy z nieba w głąb serduszka maleńkiej córeczki, zobaczył tam zamiast miłości dla siebie — uczucie dla „nowego tatusia"! I to mamuchna, ta uwielbiana i najlepsza wymaga tego od Ani! Dziewczynce mąciło się w główce, a wynikiem jej rozmyślań była rosnąca niechęć do sprawcy tylu powikłań. Pojmowała przytem intuicją dziecięcą, że wpływ tego nieznanego dotychczas krewnego na matkę — wzmaga się i krzepnie, czego dowodem było spóźnianie się niekiedy pani Aliny zpowrotem do domu. Ania jadła wówczas sama kolację, mówiła pacierz i kładła się do łóżka, wycałowana na dobranoc przez wierną Brygidkę — usnąć jednak nie mogła, targana żalem, iż obcy człowiek odrywa od niej mamuchnę. Dopiero gdy dźwięk otwieranego zatrzasku dochodzi jej słuchu, przymykała oczy, czując niezmierną i słodką radość. Za chwilę

lekkie kroki pani Aliny zbliżały się do łóżeczka dziewczynki, delikatny zapach róż owiewał jej główkę, a długie, ciepłe pocałunki matczyne rozgrzewały zbolałe serduszko. Nie podniosła jednak nigdy powiek, nie odpłaciła matce pieszczotą, udawała, że śpi. Ach, dlaczego ten „nowy wujaszek" wszedł do ich domu?! Takie były szczęśliwe we dwie z mamuchną, tak się gorąco kochały, a teraz?!... Mamusia woli najwidoczniej tego wujaszka od swej córeczki skoro zostawia ją samą w domu, a z nim idzie na spacer, albo do kina. Nie mogła wiedzieć, oczywiście, że jej osoba stawała się coraz częściej przedmiotem sporu pomiędzy zakochanymi. Pani Alina śpieszyła do domu, a drażliwy i zazdrosny kuzyn brał jej to za złe. Niechęć do Ani rosła w nim i wzmacniała się z dniem każdym nieledwie. Myślał z urazą, że to dziecko jest cierniem w zdobywanem przezeń szczęściu.

Młoda kobieta zdawała sobie sprawę z tych powikłań duchowych. Gorące uczucie dla Edmunda zniewalało ją do poddawania się jego życzeniom. Jednocześnie zaś ukrywane troski i smutki córeczki były dla niej tak jawne, jak snucie się małych rybek w przeczystej wodzie, oglądane przez kryształową szybę. Potęgowała więc swą miłość i czułość dla dziecka, ilekroć razy zostały same. Dość jednak było pojawienia się tego niemiłego „wujaszka" w ich mieszkaniu, aby twarz mamusi rozpromieniała się blaskiem takiej radości, że Ania uciekała z pokoju, rozżalona do głębi. Ten obcy pan zabiera jej serduszko mamuchny! Przecież mamusia to własność córeczki, a potem już obcych!

Kilka dni po wyjeździe Edmunda przeszły

Ani tak wesoło i cudnie, jak najpiękniejszy sen z bajki. Ten okropny wujaszek pojechał sobie do Kijowa, a mamuchna była tak wyłącznie oddana maleńkiej, tak kochająca i pieszczotliwa, że dziewczynka słała codziennie po wspólnym, wieczornym pacierzu, cichutkie gorące dziękczynienia Matce Boskiej, która napewno zabrała wujaszka z Warszawy, dostrzegłszy ciężkie strapienie biednej, samotnej córeczki. Nie wiedziała, oczywiście, w ów niezapomniany później dla niej piątek, iż Edmund powrócił do Warszawy i wprowadza w życie plan, mający zaważyć na całej jej przyszłości. Gdy więc po skończonych zajęciach we froeblowskiej szkole, dokąd ją codziennie odprowadzano, wyszła do przedpokoju, aby się ubrać, zdziwiła się, widząc, podchodzącą ku niej zamiast Klarci, krępą i przysadkowatą niemłodą kobietę, odzianą z uderzającą schludnością. Siwe jej włosy, zaczesane gładko z czoła, spięte były pod chustką w maleńki kukiełek.

— Dzień dobry, Jagusiu! A co Jagusia tu robi?! — spytała przyjaźnie. Znała dobrze dawną służącą matki Edmunda, gdyż ona to była owym *„postillon d'amour"*, przynosząc często na Brzozową przepyszne kwiaty i czułe listy. Jeden z jej siostrzeńców posiadał niewielki zakład ogrodniczy na przedmieściu Warszawy i dostarczał uwielbianemu „paniczowi" swej ciotki najpiękniejsze okazy wyhodowanej przez siebie flory. Pomimo niechęci dziewczynki do Edmunda i zachwytów, jakiemi obsypywała go przy każdej możności ta wierna sługa-przyjaciółka, Ania obdarzała ją całem swem zaufaniem i ogromną sympatją. Nawzajem — Ja-

gusia nie myślała o niej nigdy inaczej, jak: ten cudny aniołek! Mówić w ten sposób przed „paniczem“ już by się nie ośmieliła wobec szyderczych słów, jakiemi powitał to szczere jej określenie. Twarz zacnej kobiety okraszona rumieńcem pogody i zdrowia, wyrażała w tej chwili zakłopotanie. Gdzieś w głębi siwych oczu leżała ukryta troska, a ton głosu, z jakim zwracała się do małej, brzmiał niezwykle serdecznie. Przed godziną Edmund wpadł do jej mieszkanką i oznajmił o swem małżeństwie z panią Alinką. Radość Jagusi nie miała granic. Wznosząc załzawione oczy do góry, składając ręce w porywie zachwytu, szeptała:

— O mój Boże, mój Boże! Dlaczego nasza święta pani nie doczekała takiego dnia?! Ona tak marzyła o synowej i wnukach!

Rozpromienienie znikało jednak powoli z jej twarzy w miarę słuchania planu „panicza“ co do córeczki jego narzeczonej i roli, jaką miała w tem wszystkiem odegrać. Sprawa była tak zgrabnie przedstawiona, że Jagusia nie widziała żadnej krzywdy dla Ani. Miesiąc prędko przeminie, a wśród tak zacnych opiekunek wrodzone zalety dziecka mogą się tylko rozwinąć. Zgoła co innego niepokoiło oddaną i wierną kobietę. Oto — kryształowe jej sumienie nie znało dotychczas najlżejszej skazy fałszu, a tu — trzeba było Anię oszukać, omamić i zwieść. Dlaczego nie powiedzieć jej prawdy?!... Tylko gorące uczucia czci dla nieboszczki pani i nieśmiałość wobec uznanej wyższości „panicza“, położyły pieczęć milczenia na ustach Jagusi. Tylko one skłoniły ją do wymuszonego potakiwania głową na znak uległości i zgody. Bystry wzrok Edmunda widział tę

niemą odrazę do zasadzki na Anię, ale było mu to zgoła obojętne. Jagusia zaś przez cały czas jego przemowy karciła i uciszała swoje sumienie, które wszelako po chwili omdlenia, wołało natarczywie o dochowanie nieskazitelnej czystości.

— Jagusia dobrze mię zrozumiała, nieprawdaż?! — zapytał wreszcie Edmund tonem, nie dopuszczającym cienia sprzeciwu i wręczył milczącej kobiecie zapieczętowaną kopertę. — Proszę to oddać do rąk własnych przełożonej zakładu. Pozatem — ani słowa nikomu. Nikomu! — podkreślił stalowem wejrzeniem to słowo. — Idę już. Nie mam sekundy zbywającego czasu! Dowidzenia, kochana Jagusiu! Proszę natychmiast jechać po dziecko! — i wyszedł, zostawiając starą sługę z dużą kopertą w ręku.

Zamknęła za nim drzwi, wykrztusiwszy jakieś krótkie pożegnanie tak była przejęta swą wewnętrzną rozterką. Oczy jej zwróciły się mimowoli na kopertę.

— Wielmożna pani przełożona ochrony dla sierot w Piasecznej — przeczytała i wzdrygnęła się ze zgrozą. — Co?!... Ochrona?!... Panicz mówił przecież o „zakładzie wychowawczym"! Pańskie dziecko do ochrony?!... Arystokratyzm jej pojęć został srodze dotknięty. Nie rozumiała Edmunda, a tembardziej pani Aliny, ale przez myśl jej nawet nie przeszło, aby mogła nie dotrzymać danego przyrzeczenia. Jęła się tedy zbierać do drogi, markotna wobec przypadającej na nią, niemiłej roli.

Stała teraz przed Anią w przedpokoju froeblowskiej szkoły, szukając w myśli najuczciwszego wyjścia z przykrego położenia. Na zapytanie dziew-

czynki w jakim celu tu przyszła, odpowiedziała po chwili:

— Mamusia prosiła mię, abym cię zawiozła, dziecinko kochana, do jednego domu na wsi, pod Warszawą. Mamusia tam do ciebie przyjedzie — (wierzyła w to święcie).

Ania podskoczyła na jednej nóżce z nadmiaru radości:

— Cudownie, Jagusiu! Jaka mamuchna droga i najlepsza, że wymyśliła taką wycieczkę! Ja tak kocham wieś! Jagusia wie! Malinki już nie nasze, ale ja tak zatęskniłam za polami i za zielonością bez kurzu! — ubierała się żywo w jasny migdałowy płaszczyk wkładając następnie lekki berecik.— Chodźmy prędko, spieszmy się! Dobrze, moja złota Jagusiu?! — wzięła ją za rękę i wyszły obie na ulicę.

Stara służąca skinęła na dorożkę, wsiadły szybko i pojechały na dworzec, a dziewczynka pogrążyła się w rozpamiętywaniach, zbiegając chyżo w myśli po schodkach przeszłości do czarownego źródełka wspomnień. Ileż skarbów leży na dnie jego! Wyjazdy do Malinek, dziadzio kochany i mądry, jego nauki, przestrogi, rycerska szkoła! Przypominała sobie to wszystko bez owego dawniejszego, piekącego bólu, z cichą słodyczą raczej, albowiem gorycz cierpienia ulatnia się po jakimś czasie z wiośnianej duszyczki dziecka, zostawiając jeno po sobie zatajony ślad d o ś w i a d c z e n i a.

Po krótkiej podróży koleją wysiadły na stacji w Piasecznej. Zakład był oddalony o jakiś kilometr, więc pojechały bryczką. Ania rozglądała się dookoła szczęśliwa i rozpromieniona. Odżyło w niej dziecko wsi. Wchłaniała w siebie wonne powietrze, pieściła

wzrokiem wąskie zagony żyta i pszenicy, leżące jedne obok drugich niby długie, złociste kilimy. Jagusia spoglądała na nią chwilami z pod oka. Dziewczynka wyglądała w tej chwili jak uosobienie barwności przyrody. Leciutkie rumieńce niby różyczki polne zakwitły na bladych policzkach, w ciemno szafirowych oczach odbijało się sklepione, przeczyste niebo, złociste loki zdawały się być utkane z promieni słonecznych, małe, pulchne usteczka wabiły powabem soczystej jagody. Równy nosek i śmiała linja podbródka nadawały tej twarzy dziecięcej wyraz indywidualności i charakteru.

— Dlaczego nie odesłano jej do Malinek, do panny Balbiny?! — przyszło na myśl zacnej kobiecie. — Przecież to było najprostsze rozwiązanie sprawy! Nic nie rozumiem! Biedne dziecko! — westchnęła i znów siebie skarciła: — Przecie to dla jej dobra! Tak twierdzi nasz panicz, a on — wie co czyni! Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni! — powściągnęła nagłą żałość na widok ukazującego się zdała dwupiętrowego czerwonego budynku, opasanego wysokim murem, z poza którego wychylały się, górując nad nim stare, wspaniałe drzewa.

— Jak ślicznie wszystko wygląda w słońcu, prawda Jagusiu? — dziewczynka wodziła oczyma po widnokręgu. — Taki świat wyzłocony jak te orzechy na drzewku w Malinkach na Boże Narodzenie! Czy to my do tego domu jedziemy? — spytała ciekawie. — Kto tam mieszka?! Nigdy tu nie byłam i nie znam tych państwa? Chyba to jacyś nowi znajomi mamuchny! — dziwiła się szczerze.

Jagusia milczała. Radosna ufność dziecka napawała ją głęboką troską. Po raz pierwszy w życiu po-

ważyła się dotknąć ubóstwianego panicza krytycznym osądem, ale myśl jej wnet cofnęła się przerażoną wizją nieboszczki pani. Co by ona powiedziała na jej wątpliwości, ona, dla której ten syn był ideałem człowieka?! Przemogła więc, podchodzące jej do gardła rozrzewnienie i objęła Anię ramieniem:

— Pamiętaj, kociątko serdeczne, że wszystko co twoja matka i mój panicz obmyślą dla ciebie, będzie tylko z twoją korzyścią!

— Mamusia — tak! — przytaknęła dziewczynka stanowczo i krótko. — Już dojeżdżamy do bramy! — zauważyła, nie chcąc dopuścić zaślepionej w swym paniczu służącej do głosu.

Woźnica zeskoczył z bryczki i pociągnął z trudem potężną żelazną rączkę od dzwonka przy furcie. Hałaśliwe pobrzęki zadźwięczały w powietrzu. Po chwili zgrzytnęły odsuwane wrzeciądze, rozwarła się brama, konie wjechały do wnętrza i oczom jadących ukazał się obszerny, starannie zbudowany dom, a przed nim zielone trawniki, obrzeżone wiecznotrwałemi kwiatami. Gromadki dziewczynek i chłopców, od maleństwa począwszy, a kończąc na starszych, siedziały na trawie, lub uwijały się po szerokim „placu zabaw", szumiąc i hucząc jak rój pszczół, nie mogących jeszcze znaleźć oparcia. Za domem widniały szeregi starych drzew owocowych, a po dwuch jego bokach ogromne lipy rzucały cień, pożądany w czasie największych upałów. Stary człowiek, który roztworzył bramę, stróż, a może ogrodnik, gdyż trzymał w ręku pęk ściętych róż, przeprowadził Anię wzrokiem aż do chwili, gdy konie stanęły przed głównem wejściem:

— Jakieś paniątko! — myślał. — Przyjechało

to znać do jednej z naszych sierotek w odwiedziny. Takie — nie potrzebuje ochrony!

Tymczasem Jagusia weszła wraz z Anią po szerokich schodach na pierwsze piętro. Wskazano im drzwi do salonu przyjęć, gdzie zjawiła się po niedługiej chwili przełożona ochrony. Stara służąca podeszła do niej i odprowadziła ją nieco dalej, tak, aby Ania nie dosłyszała rozmowy. Zamieniły kilka słów, poczem Jagusia doręczyła kopertę i ucałowała rękę wysokiej, czarno ubranej pani. Zdawała się ją o coś prosić, a tamta przyjmowała jej słowa z życzliwym, łagodnym uśmiechem. Podeszły obie do dziewczynki, nie pojmującej, gdzie się znajduje.

— Jadę zpowrotem, Aniątko! — powiedziała Jagusia, mocując się ze wzruszeniem. — Bądź zdrowa i niech cię Bóg ma w swej opiece! — objęła małą i całowała jej różane liczko z prawdziwem wzruszeniem.

— Jagusiu! — szeptała Ania cichutko do ucha służącej. — Ja tu nie widzę mamusi! Kiedy ona przyjedzie?! Co?! — zaglądała z niepokojem w oczy poczciwinie, której twarz pomarszczona i rumiana jak zimowe jabłuszko, wyrażała mocne zmieszanie. Zaskoczona była tem prostem pytaniem. Czyż można odpowiedzieć na nie okrutnem: Nie wiem!... Ale wszakże — przed wyjazdem do tych dalekich krajów musi pożegnać się z córeczką. Tak, tak, bezwątpienia!...

Głaskała więc loki dziecka, zapewniając je z akcentem prawdy:

— Przyjedzie, kociątko złote, przyjedzie do ciebie! — przytuliła Anię do szerokiej piersi, obsypując ciepłemi pocałunkami główkę dziewczynki.

Nigdy jeszcze w życiu Jagusia nie była tak wytrącona z równowagi. Światopogląd jej był prosty i nieskomplikowany jak prosty dębowy krzyż. Nie wchodziła w żadne kompromisy z sumieniem, nie znała nawet tego słowa, ani pojęcia. A tu, naraz, trzeba było prześlizgiwać się pomiędzy prawdą, a kłamstwem, aby wypełnić polecenie „panicza", czując jednocześnie w duszy niezmierną żałość nad losem „cudnego Aniołka"!

— Chodź do dzieci, Aniu! — odezwała się przełożona i wzięła małą za rączkę. Zeszły na dół, a gdy dziewczynka obejrzała się za sobą, zobaczyła odjeżdżającą już bryczkę i okrągłe, pochylone nieco plecy Jagusi.

Starsze dzieci zaopiekowały się wnet nową swą towarzyszką, której delikatna uroda i złociste loki oczarowały ich pierwotne natury. Wtajemniczyły ją szybko w arkana jakiejś gry, polegającej na walce dwuch obozów i wkrótce mała biegała raźno, broniąc powierzonego sobie odcinka. Od czasu do czasu jednak rzucała niespokojne wejrzenie na bramę wjazdową, która się wszelako nie otwierała.

Do przełożonej, siedzącej na ławce pod lipami i przyglądającej się zdala zabawom dziecięcym, podeszła jedna z jej pomocnic, panna Regina. Była to wysoka szatynka o wijących się swawolnie loczkach nad czołem i ciemnych, wymownych oczach. Wiotka jej postać i blada cera zdawały się być dowodem wątłego zdrowia, ale sumienna, pełna poświęcenia „służba dla sierot" wykazywała nieumęczone siły. Przełożona ochrony ceniła jej ideową pracę i obdarzała serdeczną przyjaźnią.

— Co to za nowy dramat?! — spytała młoda

dozorczyni, wskazując lekkim ruchem głowy na Anię, która w swej ślicznej sukience i wykwintnym, muślinowym fartuszku, sprawiała wrażenie małej królewny pośród ubogo odzianych dzieci.

Przełożona westchnęła. Tyle dramatów i nędzy ludzkiej przewijało się tu przed jej oczyma codziennie nieledwie!

— Jakaś dziwna sprawa! — padły z ust jej obciążające słowa. — Przed paru dniami otrzymuję telefon z Warszawy. Nieznany mi głos męski pyta mię, czy nie zgodziłabym się na wzięcie do ochrony małej dziewczynki na przeciąg jednego miesiąca? Ofiarowuje mi w razie zgody sto rubli na cele naszego zakładu. Przyjmuję bez wahania. Jedno dziecko więcej nie zaważy na ogólnych wydatkach, a sto rubli w tych ciężkich wojennych czasach, to wielka pomoc! Oto masz wyjaśnienie zagadki, pozostającej pomimo to — zawikłaną.

— Śliczne maleństwo! Jaka ona drobniutka i ile ma wdzięku! Czy pani zauważyła wyraz jej oczu? To jakieś niezwykłe dziecko! — zachwycała się panna Regina. — Jak ona się tu czuć będzie?! Znać odrazu, iż wyrosła w innych warunkach!

Wielki dzwon, wprawiony w ruch przez starego ogrodnika, zagłuszył wrzawę rozbawionych gromadek.

— Kolacja! Kolacja! — dały się słyszeć głośne wykrzykniki.

— Już kolacja, a mamusi niema! — myślała Ania trwożnie. — Co to znaczy?!

Popychając się wzajem i śmiejąc wesoło, biegły dzieci do domu. Jedna ze starszych dziewczynek, Jadzia, blondyneczka o piwnych oczach z dłu-

giemi, jasnemi warkoczykami, chwyciła Anię za rączkę:

— Chodź, maleńka, do jadalni! Muszę cię nakarmić! Wybiegałaś się i jesteś z pewnością głodna! — wmieszały się w tłum sierot, schodzących do suteryn, gdzie się mieściły: kuchnia, gospodarskie izby i sala jadalna. Stały w niej długie stoły prostej roboty, na nich emaljowane miski i ołowiane łyżki jako nakrycie dla każdego z wychowanków, a powietrze wydało się Ani zatęchłe. Kartoflana zupa była już ponalewana do misek, spore kromki czarnego chleba spoczywały obok na stole. Dzieci zajęły swe miejsca i chórem odmówiły modlitwę: — Dziękujemy Ci, Boże, za te dary, jakie z łaski Twej spożywać będziemy! — poczem wzięły się raźno do jedzenia. Jadzia pociągnęła oszołomioną Anię i umieściła ją przy sobie, dając jej dobry przykład apetytem, z jakim zajadać poczęła kartoflankę, ale dziewczynka nie mogła przełknąć kolacji. Niepokój jej wzmagał się z każdą chwilą, myśli krążyły uporczywie wokoło matki, a trafny instynkt dziecięcy podsuwał Edmunda, jako przyczynę tego, co się z nią stało.

Panna Regina, widząc, że nowoprzybyła dziewczynka miesza łyżką zupę, nie podnosząc jej wszelako do ust, nachyliła się nad nią i spytała łagodnie:

— Czy nie smakuje ci, kochanie, ta skromna zupka, czy może źle się czujesz?

Ania podniosła ciemno szafirowe oczy do góry i utkwiła wzrok w twarzy młodej ochroniarki. Chciało się jej krzyknąć z rozpaczą:

— Ach, tak, tak, proszę pani! Ja się bardzo źle czuję, bo mamusia po mnie nie przyjeżdża i tak mi

czegoś straszno! — ale zamiast tego wybuchu uczuć wyjawiła tylko część prawdy: — Dziękuję pani! Nie mam apetytu! — i, zostawiwszy łyżkę w misce, zwiesiła główkę i umilkła.

Zmrok zapadał, nieunikniony, groźny wróg Ani. Z każdą chwilą nadzieja, że mamusia przyjedzie, stawała się coraz słabszą. Chyba jutro, rano! O, Boże, daj mi jaknajprędzej doczekać ranka! — modliła się mała, niepomna na hałas i śmiech dookoła siebie. — Niech ta noc przeleci szybko, szybko!

— Wstawaj Aniu! Pójdziemy jeszcze na godzinkę do sali zabaw, a potem spać! — mówiąc to Jadzia pocałowała dziewczynkę w główkę i pogłaskała złociste loki. — Nic nie jadłaś, biedactwo maleńkie! Z początku to zawsze tak się dzieje, a potem — przywykniesz i dobrze ci będzie! Panna Zofja i panna Regina to dwa anioły, a nauczycielka, panna Lucyna, też nie jest zła, tylko trzyma nas w ręku! Może to i lepiej, bo jak by dała sobie radę z takiem rozhukanem stadem bachorów?! Ja kształcę się również na ochroniarkę i pewno tu zostanę, ale żelazną będę miała rękę! Zobaczycie! — i Jadzia zacisnęła figlarnie małą piąstkę, wygrażając nią młodszym swym towarzyszkom, które odpowiedziały jej gradem docinków i żartów. Ani zabrakło tchu. Co ona mówi?! Co znaczy to wszystko?!

Ruch się uczynił ogólny, wstawali wszyscy, tłocząc się znów przy wyjściu i pędząc po schodach do sali zabaw na pierwszem piętrze. Stały tam pod ścianami proste drewniane ławki, na których usadowili się chłopcy i dziewczynki, cisnąc się o ile możności, aby dla wszystkich starczyło miejsca. Przełożona już się nie ukazała, zato panna Regina, nauczy-

cielki i ochroniarki zainicjowały śpiewy i gry dla użytecznego spędzenia czasu. Basowe tony dzwonu dały znak, iż pora już iść na spoczynek. Tu — nastąpiło rozdzielanie trzódki: chłopcy zajmowali pokoje na parterze, dziewczęta — mieściły się na drugiem piętrze, gdzie były olbrzymie sypialnie, łazienki i infirmerja. Takiż sam rozkład panował w królestwie chłopaków, przyjmowanych tylko do lat dwunastu. Przez długi korytarz, oświetlony małemi lampkami, szła Ania do sypialni, prowadzona przez Jadzię. Szła cicha i milcząca, coraz bardziej oszołomiona tem wszystkiem, co na nią spadło znienacka. Serce zamarło jej w piersiach z nadmiaru zdumienia, gdy przeszła próg rozwartych drzwi i stanęła w sypialni. Szeregi żelaznych wąskich łóżeczek z podniesionemi wezgłowiami, na których spoczywały słomiane poduszki w białych poszewkach, szare koce, bielone wapnem ściany, surowość najpotrzebniejszych li tylko sprzętów, przywiodły Ani na myśl „rycerską szkołę" w Malinkach i nauki dziadka.

— Czy on wiedział — zadawała sobie pytanie dziewczynka — że ja będę tu spała na tem wąziutkiem łóżku i na tej ostrej poduszce?! — miała ją pod ręką tę poduszkę, gdyż zatrzymała się przy jednem z łóżek i dłoń swą na niej oparła.

— Klękajcie, dzieci, do pacierza! — zabrzmiał rozkaz panny Reginy. Szmer uczynił się w sali i nagła po nim cisza. Ania upadła na oba kolanka i zwróciła główkę w stronę migotliwego światełka oliwnej lampki. Tam — przez całą szerokość białej ściany wymalowany był obraz Matki Boskiej w niebieskim płaszczu z Boskiem Dzieciątkiem na

ręku. Małemi stopkami deptała węża i zdawała się płynąć ku Ani, ogarniając ją spojrzeniem przemądrych, gwiaździstych oczu.

Serduszko dziewczynki ściśnięte bólem i trwogą, rozprężyło się nagle pod wpływem słodkiej ufności. Ach! przecież to jest „Jej Matka Boża“ z różanego ołtarzyka na Brzozowej, ta sama, do której modliła się, błagając o ratunek dla Malinek, ta Opiekunka i pewna Ostoja w tym wielkim domu wśród obcych. Dziecięce głosiki sierot śpiewały wokoło Ani „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ a mała nie słyszała prawie tego dźwięcznego chóru, śląc z głębi duszyczki gorące, błagalne prośby:

— O, Matko Boża, przyprowadź do mnie mamuchnę! Jezusiku maleńki! Oddaj mi moją matusię! Niech ona przyjedzie do mnie jutro, raniutko! Niech ja się obudzę w jej cieplutkich ramionkach! O, Matko Dzieciątka! Wysłuchaj mnie, wysłuchaj! — rączki Ani splecione i przytulone do piersi drżały leciutko podobnie jak cała jej drobna, zamodlona postać.

Szmer pacierzy już ucichł, dzieci wstawały z klęczek i panna Regina wołała energicznie: — Do umywalni, dziewczynki! Myć ręce i zęby, potem — spać! a mała trwała wciąż w uporczywych, żałosnych modłach. Jadzia chwyciła ją za rączkę:

— Dość już tej modlitwy, mała zakonniczko! Pokażę ci, gdzie masz się umyć, później sama tu wrócisz, bo to sypialnia dla najmłodszych. Ja śpię w następnej sali ze starszemi dziewczynkami. Chodź prędzej, kochanie!

Dzień w ochronce skończony. Pracowity, użyteczny dzień. Dzieci leżą w łóżeczkach, panna Regina zgasiła dużą, wiszącą lampę i udała się na spo-

czynek do swej alkowy, na końcu sali. Tylko światełko oliwnej lampki przed obrazem Matki Boskiej rozjaśnia Jej cudne oblicze i sączy łagodne blaski wśród mroków nocy. Przez podniesione górne szyby okien płynie świeże powietrze, przesycone wonią zbóż, łąk i wiejskich obszarów. Wróble poćwierkały gdzieś trochę na drzewach i umilkły. Pewno także zasnęły. Ale Ania nie może spać. Nic to, że słomiana poduszka taka ostra i twarda! Gdyby tu była mamuchna dziewczynka spałaby pysznie, bo to przecież także „rycerska szkoła“! To nie poduszka temu winna, że Ania ma oczy otwarte i wdal zapatrzone, tylko ta straszna, męcząca tęsknota. Gdzie jest teraz mamuchna?! Co robi?! Czyż może spać spokojnie, spojrzawszy na puste łóżeczko swej małej córeczki?! Przecież nie pocałowała jej, nie popieściła na dobranoc!

— Mamuchno! — szepce z rozdzierającą skargą w głosie dziewczynka. Nikt jej nie odpowiada. Cicho i mroczno. Tylko równe oddechy śpiących wychowanek ochrony tworzą wtór do przytłumionych żalów Ani. Mała obraca się na twardem, wąskiem łóżku, odrzuca szary koc i klęka na swej pościeli. Ucieka się znów do modlitwy, gdyż męka jej serduszka przewyższa siły dziecka, ale zaledwo szeptem wypowiedziane słowa zmąciły senną ciszę, gdy poryw żalu, nagły i mocny jak wzburzona fala morska, rzuca dziewczynkę na twarde wezgłowie. Łamliwy szelest słomy splata się z urywanem łkaniem, tworząc jakby odbicie snu jakiegoś gorączkowego. Z mrocznego kąta olbrzymiej sali wysuwa się postać w bieli. Stąpa ostrożnie, przystając chwilami i nasłuchując skąd pochodzi ów szloch pełen dziecięcej

udręki... Zbliża się wreszcie do łóżeczka Ani, siada na posłaniu, tuli wstrząsaną płaczem dziewczynkę do piersi...

Mała otwiera szeroko oczy. Serduszko jej tętni zawrotną nadzieją: Może to mamuchna?!... Ach, nie!... To panna Regina! Bronzowe warkocze spływają na jej ramiona, zgrabne, młode ręce obejmują to obce dziecko z macierzyńską troskliwością. Usta milczą. Nie padają z nich wyrazy pociechy, tylko serce przepojone kobiecą dobrocią, świeci jak ciepła, promienna gwiazda. I Ania milczy. Czyż mogłaby się skarżyć na swoją mamuchnę?! Szloch jej zacicha — wyczerpana jest docna — zmęczenie bierze górę nad tęsknotą i niepokojem. Usypia w ramionach młodej wychowawczyni, która układa ją pieczołowicie na wąskiem łóżeczku i przykrywa szorstkim kocem, poczem wraca lekkim, posuwistym krokiem do swej alkowy, świecąc białością nocnego przyodziewku wśród czerniejących szeregów śpiących dziecięcych postaci.

SAMA WŚRÓD OBCYCH.

— Biim — baam!... Biim — baam!... Biim — baam!... Wstawajcie, dzieci. Już szósta! Wstawajcie śpiochy! — głosił rozkołysany dzwon donośnie.

Powieki śpiącej Ani zatrzepotały nagle jak dwa motyle, zrywające się do lotu, główka poruszyła się niespokojnie i dziewczynka usiadła na swej pościeli, rozglądając się dookoła ze zdumieniem. Powoli jednak świadomość rzeczywistości przegnała senne ułudy. Wczorajszy dzień zarysował się jaskrawo w pamięci dziecka, a noc nie lepszą była od niego. Śniło się małej, że olbrzymi czarodziej pochwycił jej mamusię, przerzucił ją sobie przez ramię i jął z nią uciekać! Nadaremnie dziewczynka wytężała sprawność swych nóżek, aby dogonić mamuchnę — nie mogła przecież dorównać w szybkości siedmiomilowym butom olbrzyma, który miał rysy i oczy Edmunda! Mamuchna znikała w oddali, a serduszko Ani kołatało w zdyszanej piersi jak dzwonek na trwogę...

— To był tylko sen! — pocieszała się mała. — Mamusia napewno dziś po mnie przyjedzie!

— Dzień dobry, Aniu, — zawołała do niej przyjaźnie panna Regina. — Wstawaj maleńka, bo spóźnisz się na modlitwę!

Dziewczynka wyskoczyła z łóżka i pobiegła do umywalni. Jaka miła ta panna Regina! Tak słodko

mówi! Tak umie pożałować i popieścić! Myła się i wkładała cienką bieliznę i śliczną sukienkę wprawnie i prędko.

— Jak to dobrze, że dziadziuś nauczył mię ubierać się samej! — myślała. — Kochany mój dziadziuś! On chyba naprawdę wiedział, że ja tu będę!

Za chwilę wszystkie dzieci były gotowe i chóralna pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze!" wypłynęła jak hymn powitalny ze wszystkich piersi. Przebrzmiały wreszcie modlitwy, w sypialni gwar i rozmowy zamieniły poprzedni uroczysty nastrój i Jadzia pytała Anię troskliwie, głaszcząc jej długie loki, rozczesane przez pannę Reginę:

— Czy dobrze spałaś, malutka?! Chodź na śniadanie! Będę się tobą opiekowała. dopóki nie przywykniesz do naszej ochrony!

— Co ona mówi?! — dziwiła się Ania. — Przecież ja tu długo nie będę! Mamuchna dziś mnie stąd zabierze! — nie przeczyła jednak najlżejszym ruchem, albo niepotrzebnem, wedle niej, słowem.

Wychowańcy zbiegali hałaśliwie po schodach do sali jadalnej. Krupnik jaglany i kromki czarnego chleba czekały już na nich. Ania zabrała się również do jedzenia, ale po pierwszej przełkniętej łyżce doznała niemiłego uczucia:

— Dlaczego to takie zimne i niesmaczne? — myślała , zmuszając siebie do dalszego przełykania. Przypomniała sobie jak Bisia mawiała często, że to grzech marnować dary Boże niedbałem ich przyrządzaniem i że najprostsza potrawa musi być smaczna i gorąca. Fertyczna Marcysia, kucharka w czeladnej, miała się zpyszna, jeśli się zdarzyło, iż źle wykonała swój obowiązek!

Po krótkiej rekreacji zabrano wszystkie dzieci do zajęć i nauki. Najmłodsze maleństwa lepiły z gliny różne figurki, robiły przeplatanki, koszyczki, pudełeczka z kolorowych pasków papieru, starsze — wykonywały pilnie małe, łatwe robótki ręczne, uczyły się rozmaitych ściegów i szycia. Chłopcy mieli oprócz tych zajęć introligatornię i warsztat stolarski, a wychowańcy będący w wieku szkolnym, przechodzili odpowiednie kursy pod kierunkiem wymagającej panny Lucyny. Duchem całej ochrony, wychodzącej z powodu wojny i napływu bezdomnych sierot, po za ramy takich instytucyj — było bezwzględne posłuszeństwo i rygor. Dobór opiekunek i przełożonej był istotnie szczęśliwy, a jednak osoby te, ogarniające promieniem duchowego wzroku jedynie utarte szlaki — nie potrafiły wznieść się myślą wychowawców na wyżyny, skąd jasno się widzi, iż tylko stopniowe rozwijanie w dziecku o d p o w i e d z i a l n o ś c i za najmniejsze nawet jego c z y n y, może dać w zbiorowym wyniku wielką i zwartą wartość narodu.

Panna Lucyna, nauczycielka, do której zaprowadzono Anię na lekcję, była przezwana przez wszystkie dzieci „Szarą panią“ z powodu jednostajności kolorytu, utrzymanego zawsze w tym tonie. Włosy miała popielate, ściśnięte tak mocno dookoła głowy, iż zdawały się tworzyć połyskujący, stalowy kask. Nosiła szare tylko suknie, w angielskim smaku, spódnica i żakiet, w zimie wełniane, latem zaś — perkalowe, zachowujące temniemniej krój ulubiony. Twarz miała bladą, o rysach zwyczajnych i jedynie jej oczy uderzały odmienną barwą na tle ogólnej szarości. Były bowiem koloru laskowych

orzechów, mieniące się ciemniejszym odblaskiem, wymowne i piękne. Kochała na swój sposób wychowanków ochrony, czyli utrzymywała ich w wojskowym niemal rygorze, wbijając im do głowy z niezmęczoną cierpliwością wszelaką wiedzę i powtarzając przy każdej możności:

— Co masz robić — rób dobrze! — przyczem oczy jej przewiercały nawylot ucznia, lub uczennicę, jakgdyby siląc się dojrzeć w ich duszy wyorany ślad tej wybornej maksymy.

Skoro Ania usiadła przy pulpicie i dostała zeszyt, pióro i tekst do przepisywania, zabrała się do tego z wrodzoną sobie pilnością i starannością, a niepokój jej i wyczekiwanie przyjazdu mamusi ustąpiły na chwilę. Panna Lucyna, chodząc po klasie i wodząc wytrawnem spojrzeniem po schylonych głowach swych uczniów, wyróżniła odrazu tę nową, cichą dziewczynkę i po skończonej lekcji napisała na jej zeszycie pięknem, okrągłem pismem: „Bardzo dobrze“, uśmiechnąwszy się przytem do niej przyjaźnie.

— Winszujemy ci, Aniu! — wołały jedna przez drugą koleżanki na rekreacji. — Rozkrochmaliłaś „Szarą panią“! No, no! To cud dopiero!

— I nie powiedziała ci ani razu: Co robisz, rób dobrze! — pytali natarczywie chłopcy, naśladując energiczny i wnikliwy ton głosu nauczycielki.

Dziewczynka siedziała zamyślona na ławce, nie zdając sobie sprawy dokładnie, czego właściwie chce od niej ta gromada rozbawionych dzieciaków. Serduszkiem była w tej chwili przy matuchnie... Dlaczego ona nie przyjeżdża?!... Co się tam stało, mój Boże?!...

Wesoła!... Dziewczynka podniosła główkę i spojrzała w oczy „niedobremu wujaszkowi“. Wszystko taiło się w tem śmiałem wejrzeniu: wyrzut, żal i ździwienie. Pani Alina wybuchnęła nagle płaczem. Ona jedna pojmowała jaką ofiarę czyni jej córeczka, gdy obiecuje że „nie będzie płakała“. Tęsknić za to będzie bez miary, tego była pewna! Jak to się odbije na zdrowiu dziecka?!...

— Edmundzie! — szepnęła błagalnie, czepiając się jakiejś fantastycznej ułudy, że może w ostatniej chwili coś da się odmienić! Napotkała jednak wzrok męża, w którym po za miłosnym żarem, dojrzała niezłomność poprzedniej decyzji. Łzy toczyły się po jej ślicznej twarzy, jakgdyby wieszcząc w tym pierwszym dniu nowego życia, późniejsze smutki i ciosy, a milcząca, blada — córeczka, zgarniała je ostrożnie paluszkiem, myśląc z bezmiernym żalem:

— Jeżeli tak płaczesz, mamuchno, to zabierz mnie z sobą! Będziemy obie szczęśliwe!

— Kilka takich chwil jeszcze i wszystko przepadnie! — przemknęło przez głowę Edmundowi. Wyjął zegarek i, spojrzawszy nań, wykrzyknął ze zgrozą:

— Za pół godziny odchodzi nasz pociąg! Nie mamy sekundy do stracenia! Z takim trudem zdobyte karty do sleepingu! Alinko droga! Przykro mi, że muszę skrócić naszą bytność, ale zgodzisz się z tem, że to twarda konieczność!

— Żegnaj, córuchno! — wyłkała pani Alina, nie mogąc się opanować. Poskramiała z trudem, odzywające się wciąż wyrzuty sumienia. — Pamiętaj, za miesiąc wrócimy po ciebie! Żegnaj, kochanie najmilsze! — nie była w stanie oderwać się od dzie-

cka, tak ją wzruszało cichą, bladą twarzyczką i suchemi oczyma. Stała już na ziemi, wsparta zlekka o kolana matki, i patrzyła na nią w milczeniu.

Mąż wziął swoją Alinkę pod ramię i z delikatnym naciskiem podniósł ją z ławki:

— Idziemy, kochanie! Dowidzenia, Aniu! — musnął przelotnie dziewczynkę po głowie, co mała przyjęła ze skamieniałą obojętnością, stojąc bez ruchu na progu altany. Jej mamusia odchodzi, — a ten okropny wujaszek obejmuje ją ramieniem, pociągając za sobą.

Pani Alina odwróciła raz jeszcze twarz, noszącą ślady głębokiego wzruszenia: — Bądź zdrowa, Aniątko! Zdrowa i spokojna! Przyjadę za miesiąc!— poczem zdjęta nagłem postanowieniem, a może pod wpływem podszeptu Edmunda, przyśpieszyła naraz kroku, nie oglądając się już poza siebie.

Oczy dziecka przylgnęły do oddalającej się pary. Zniknęli wreszcie oboje na zakręcie alei, a w miejscu deptanem przed chwilą stopkami pani Aliny, bielał tylko na słońcu, rozsypany tu cienką warstwą piasek. Wtem — dziewczynka straciła swą nieruchomość. Niby tknięta czarodziejską różdżką ożyła nagle i całym pędem maleńkich nóżek rzuciła się wślad za odchodzącymi. Zobaczyć jeszcze mamuchnę! Pocałować jej buzię! Usłyszeć raz ostatni: Dowidzenia, Aniątko! Prędzej, prędzej! Lećcie, nóżki, jakgdybyście miały skrzydełka!

Dobiegła bramy w chwili, gdy boczna furtka zamykała się za Edmundem i jego żoną. Stary ogrodnik przekręcał klucz w zamku wolno, z niejakim wysiłkiem. Dziewczynka, nie tracąc czasu, rzuciła się ku przełożonej, idącej od bramy w kierunku li-

powej alei, dygnęła przed nią pośpiesznie i zadyszanym głosikiem spytała:

— Proszę pani! Czy ja mogę wyjść za tę furtkę i pożegnać się z moją... — zawahała się przelotnie — z moją ciocią?! — dokończyła z trudem. Po raz pierwszy w życiu kłamstwo splamiło niewinne usteczka dziecka, ale czyż mogła zdradzić swoją mamuchnę?!...

Przełożona skinęła głową na znak zgody:

— Dobrze! Zrobię dla ciebie ten wyjątek! Mój Jacenty, otwórzcie bramkę i poczekajcie, proszę was, zanim ta maleńka uściśnie swych krewnych! — odeszła, uśmiechnąwszy się do Ani pokrzepiająco.

Dziewczynka przekroczyła próg ogrodzenia w chwili, gdy stojący przed bramą samochód, warcząc puszczoną w ruch maszynerją, wyruszył w drogę. Z każdą upływającą sekundą odległość pomiędzy odjeżdżającymi, a stojącą bezradnie Anią, zwiększała się błyskawicznie. Samochód mknął naprzód, między opłotkami jak wielki, bronzowy chrabąszcz, a dziewczynka w granatowej sukience śledziła go z bijącem rozpaczliwie sercem. Popielaty welon mamusi, targany pędem szybkiej jazdy, unosił się nad jej głową, zwijał się i powiewał niby ostatni znak pożegnania, wysyłany osamotnionej i nie widzianej córeczce.

Jacenty, oparty plecami o mur, przypatrywał się z pod krzaczastych brwi tej „nowej“ wychowance ochrony. Czytał ogromny ból na jej poważnej, cichej twarzyczce, a jednocześnie nie dojrzał łzy w ciemno-niebieskiem oku. To go zastanowiło. Od chwili, gdy przed wieloma laty, umiłowana córka, jedynaczka, odbiegła go, rozkochawszy się w ofice-

rze moskiewskim, zamarło w nim serce, przeszedłszy przez Golgotę zawodu i rozpaczy. Krzepiła go jedynie praca, drzewa i kwiaty koiły boleść, czytanie żywotów Świętych Pańskich prostowało ścieżki jego myśli i wspomnień, mogących przywieźć — aż do przepastnych krain obłędu. Ta wątła dziecina, mocująca się tak zwycięsko z ciosem, zadanym jej przez okoliczności, wzruszyła go do głębi.

— Czy mogę postać tu jeszcze troszeczkę?! — spytała w tej chwili, zwracając nań błagalne spojrzenie. — Może jeszcze zobaczymy samochód?! Teraz schował się za chatami! Nie widać go! smutek przepajał głosik dziecięcy.

— Owszem! Postoimy tu sobie! Dziś niedziela, nic nie goni do pracy! — zgodził się stary ogrodnik, którego surowe rysy zmiękły nagle pod wpływem odnalezionej dobrotliwości. Miał wrażenie, iż szafiry źrenic dziewczątka roztapiają lód jego serca. Biedna mała ptaszyna ze złamanem skrzydełkiem! A może to lekkie podobieństwo do utraconej jedynaczki tak nań wpływało?... I tamta była niebieskooka i płowa jak dojrzewające kłosy!... Była także kiedyś maleńka i niewinna!...

— Dziękuję panu bardzo! — mówiąc to Ania wytężała wzrok, szukając wśród pól zaginionego pojazdu, ale oprócz falujących zbóż niczego więcej nie dostrzegała. Westchnęła, czując przytem „kamyczek na piersi", ale wcale jej to nie zadziwiło. Spojrzała nieśmiało na wysoką, barczystą postać Jacentego. Może on się tu nudzi, a ona tak pragnie ujrzeć choćby przez mgnienie oka ten automobil, w którym jedzie mamuchna!

— Już go nie dopatrzymy! — odezwał się, jak-

gdyby zgadując jej myśli. — Szosa do Warszawy skręca na lewo i mknie prosto jak strzała!

— Już nie?!... — szepnęła zasmucona dziewczynka.

— Nie! Trzeba się z tem pogodzić! — rzekł bardzo łagodnie. — Niech się dziecinka cieszy widokiem tego całego piękna — wskazał ręką przed siebie — jakiem dłoń Boża umiliła tu nasze cierpienia!

— I ja tu wolę, niż tam, za murem! — wskazała paluszkiem.

— Mały wróbelek w klatce! — uśmiechnął się Jacenty. — Przyjdzie czas i dziecinka wyfrunie na wolność! — szare jego oczy patrzyły na małą życzliwie. Pionowe zmarszczki na czole wygładziły się nieco. Wyraz dziecięcej, skupionej i bladej twarzyczki działał nań jakby apel do jego czułości. Rozmawiałby jeszcze chętnie i długo z tą smutną dziewczynką, ale panna Regina stanęła niespodziewanie w półotwartej furtce:

— Chodź, Aniu! — wzięła ją za rączkę. — Pani przełożona niezadowolona, że ochrona dotychczas otwarta! — weszły do środka, za ich plecami szczęknął klucz w zamku i Ani się wydało, że zamykają ją do więzienia.

Nazajutrz z rana nowe odkrycie oszołomiło ją ponad miarę. Oto, wstając z łóżeczka dostrzegła małą tabliczkę nad głową. Dużem, czytelnem pismem skreślono na niej: „Ania Pobóg, wiek — 7 lat, weszła do ochrony d. 28 czerwca 1915 roku“.

Mała zamyśliła się głęboko. Tyle dziwnych rzeczy spotykało ją od dni paru, że oswoiła się już trochę z niespodziankami losu, ale tego napisu nie poj-

mowała wcale. Przecież „Pobóg", to nie jest jej nazwisko, tylko herb dziadziusia! Wiedziała dobrze o znaczeniu i pochodzeniu tych odznak „szlachectwa", które przyznawano za szlachetność i odwagę. Dziadziuś jej to wytłumaczył dokładnie, pokazując przytem ogromny herbarz. Ale nazwisko dziadka było — Orliński, a tatusia — Sokolnicki, Zygmunt Sokolnicki, więc i ona tak samo się nazywa. Tyle razy mamusia kazała jej powtarzać jakby na próbę: — Nazywam się Ania Sokolnicka, mieszkam na Brzozowej! — tłumacząc przytem, że gdyby się kiedyś, Boże chroń! zgubiła na ulicach Warszawy, to ma się zwrócić do stójkowego z prośbą o odwiezienie jej wedle adresu. Dlaczego więc tu, w tej ochronie, nazwano ją „Ania Pobóg"?!... Jakie to dziwne?!...

Uczuła nagle ciepłą dłoń kobiecą, podnoszącą delikatnie jej główkę do góry. Panna Regina zajrzała małej w oczy, mówiąc z łagodną wymówką:

— Nad czem tak się zastanawiasz, dziecinko?! Spójrz! Wszystkie dziewczynki kończą się już ubierać, a ty stoisz dotychczas w koszulce!

Wymknęła się z rąk ochroniarki i w milczeniu starała się jaknajszybciej odrobić czas stracony. Myśl jednak pracowała uparcie wciąż w jednym kierunku. Zaraz na pierwszej lekcji rysunków dziewczynka przeciągnęła czerwonym ołówkiem dwie podłużne linje, połączyła je poprzecznemi i otrzymała w ten sposób drabinkę o trzydziestu kratkach. Przyglądała się jej z radością. Doskonale się to udało! A teraz postawi na górze błękitny krzyżyk! Ot, tak!... Codziennie nakreśli taki sam w każdej następnej kratce, a gdy dojdzie do koń-

rządzone potrawy nie mogły wzbudzić go również. Po paru tygodniach, dziewczynka wyglądała niby kwiat ongi świeży, dziś — zwarzony przedwczesnym mrozem. Przeniesiono ją do infirmerji i otoczono najtroskliwszą opieką, o ile bowiem przełożona nie uznawała „wybredzania", o tyle dbała istotnie o zdrowie dzieci. Wszechwładną panią w tym słonecznym, narożnym pokoju, była panna Zofja, pielęgniarka i felczerka zarazem, która przeszedłszy kursy sanitarne, znała się na rzeczy wybornie. Było to zupełne przeciwieństwo oschłej nieco i surowej w pojmowaniu obowiązku, pani Matyldy. Jasna blondynka o płowej, spadającej wiecznie na jeden bok czuprynie, o różowych, pełnych policzkach z rysującemi się przy każdym uśmiechu dołeczkami, żywa w ruchach, serdeczna i wesoła, zdawała się być jeszcze jednym promieniem słonecznym w tym jasnym, dużym pokoju. Wyznawała otwarcie, że jest „niedoszłą zakonnicą", albowiem we wczesnej młodości nęciło ją życie klasztorne, z czasem jednak stwierdziła, że brak jej do tego powołania. Opiekowała się choremi i najmniejszemi dziatkami z miłością i poświęceniem kobiety, wiedzącej zgóry, iż te uczucia zagrzewają ją do czynu wobec tych wszystkich bezdomnych i opuszczonych dzieci, dla których jest i pozostanie do końca życia — matką. Pod jej troskliwym dozorem policzki Ani jęły nabierać różowszych tonów, twarzyczka poweselała, nawet złociste loki, szczotkowane codziennie ostrożną dłonią, stały się znów lśniące i puszyste jak w domu.

Na sobotniem zebraniu u przełożonej, gdzie omawiano różne potrzeby zakładu i dzieci, pani

Matylda rzuciła myśl przeniesienia Ani zpowrotem do ogólnej sypialni, ale wbrew zwykłemu uznaniu, z jakiem spotykało się każde jej zdanie, zgodny, acz pełen szacunku protest padł z ust zgromadzonych. Panna Lucyna wystąpiła jeszcze otwarciej, przemawiając energicznie i wedle zwyczaju szorstko:

— Ta mała nie wychowała się na czarnym chlebie z rzepą i nic na to nie poradzimy! Wyglądała już jak półtora nieszczęścia, ledwo ją panna Zofja odratowała! Szkoda dziecka! Nigdy jej nie powiedziałam: Co robisz, rób dobrze! bo i bez tego było sumiennie zrobione! Czy pani przełożona chce, aby ona nam znów zmarniała?! — skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzyła w twarz przełożonej bez zmrużenia powiek.

Pozostałe wychowawczynie oczekiwały z niepokojem wyniku tego zdumiewającego *speech'u,* ale usta pani Matyldy rozchyliły się nagle w cennym swą rzadkością uśmiechu, a perłowe zęby zalśniły jak śnieg obok płatków pąsowej róży. Rada była, że dziewczynka będąca pod jej opieką w ochronie, umiała zaskarbić sobie miłość tych kilku, tak odmiennych charakterem jej pomocnic. Było w tem coś pięknego, a jak każdy śmiertelnik, przełożona nie była wolna od wady. Obok wielkich swych zalet grzeszyła zarozumiałością, uważając ochronę za dziecko swej duszy, a wszystko co się w niej stało dobrego — za odbicie własnej wzniosłości.

Powiodła tedy wzrokiem po całem wychowawczem gronie i rzekła z wyniosłą uprzejmością:

— Widzę, że jestem przegłosowana! Poddaję się zatem! Ania może zostać nadal w infirmerji.

Bożenka leżała cichutko, wreszcie usnęła. Mały Januszek patrzył na Anię z podziwem, a panna Zofja, krzątając się po pokoju, odrzuciła parę razy nieposłuszną czuprynę z czoła, tak jakgdyby chciała jednocześnie strzepnąć zawadzającą łzę z oka. Odtąd Ani przybył nowy obowiązek pielęgnowania sierotki. Nikomu niewolno było jej dotknąć prócz tej siedmioletniej piastunki i nikt inny nie mógł sobie dać rady z kapryśnem niemowlęciem, które wobec jednej tylko dziewczynki z lokami stawało się uległem jak baranek. Ania uczyła ją chodzić, bujała w łóżeczku, śpiewając piosenki przed uśnięciem i starając się to pogodzić z nauką. Chodziła bowiem z infirmerji na lekcje do panny Lucyny, ucząc się pilnie i „nie odwracając głowy od książki" jak z zachwytem referowała przełożonej ta prawdomówna osoba. Była ona jedyną w ochronie nauczycielką przedmiotów szkolnych i prowadziła dwa kursy: niższy i wyższy, ale z powodu nawału pracy i braku czasu, stosowała gdzie tylko mogła, dawny system wykuwania „stąd — dotąd". Wymagała coprawda, doskonałego zrozumienia zadanej lekcji, a w jej krzyżowych pytaniach uwydatniał się natychmiast jego brak, ale temniemniej dziewczynka wspominała często rozmowy z tatusiem i opowiadania historyczne dziadka! Było to jakieś inne, daleko ciekawsze i milsze!

Czas posuwał się naprzód wolno, ale bezpowrotnie i błękitne krzyżyki w zeszycie Ani dobiegały już końca drabinki, gdy nadszedł dzień świętej Anny, dzień imienin maleńkiej. Zeszłego roku obchodzono je uroczyście w Malinkach! Wprawdzie brak było przy stole ukochanego tatusia, ale żył

dziadzio, wszyscy najdrożsi i najbliżsi siedzieli wokoło Ani, przed którą stał bukiet pięknych róż w zielonem otoczu paproci. Dnia tego miała Ania wielki przywilej dysponowania obiadu, a cała rodzina zgadzała się bez szemrania na wymyślone przez nią „menu". A więc — zupa rakowa, kurczęta z sałatą, kalafiory i dwie leguminy: kasztany tarte ze śmietaną i malinowe lody!

Takie wspomnienie przemknęło tylko przez głowę dziewczynki, która ubierając się szybko i popatrując zdala na śpiącą Bożenkę, o jednem myślała uparcie: — Jeszcze dwa dni do końca miesiąca! A może mamuchna zrobi mi niespodziankę i dziś przyjedzie! Dwa dni — to tak mało!

— Aniu! — powiedziała panna Regina, wchodząc do infirmerji i, całując solenizantkę. — Życzę ci wszystkiego najlepszego! Bądź zdrowa i wesoła! Weselsza, niż dotychczas, dziecinko kochana! Pani przełożona chce ciebie widzieć i przysłała mnie, aby ci to oznajmić. Idź że do niej zaraz. Jest w swoim pokoju.

Ania wybiegła i za chwilę, zapukawszy do drzwi przełożonej, stanęła przed nią. Pani Matylda przyciągnęła ją do siebie i patrzyła na nią z ciepłemi błyskami w oczach. Ceniła silną wolę ponad wszystkie inne zalety, a to dziecko, ciche, nie skarżące się nigdy, pilne w nauce, znoszące mężnie odmienne warunki życia — budziło w niej matczyne uczucia. Miała do Ani słabość prawdziwą i zdawała sobie z tego sprawę.

— Czegoż ci mam życzyć, moja maleńka?! — odezwała się niezwykle łagodnym tonem. — Ty wiesz, czego pragniesz, więc niech się to ziści! A te-

raz mów śmiało! Może masz jakieś inne jeszcze życzenie. Jeśli to będzie możebne, chętnie je spełnię.

— Dziękuję pani przełożonej! — Ania spojrzała w twarz pani Matyldy i powiedziała rezolutnie:

— Chciałabym dziś, przez dzień cały, biegać gdzie zechcę i robić, co mi się podoba!

— Dobrze! — przełożona skinęła potakująco głową. Lekki półuśmiech drżał na jej ustach niby wydzierająca się przemocą wesołość.

Mała dygnęła i wybiegła z pokoju. Ach! jakież to będą cudne imieniny! Z górnego piętra widać jakby na dłoni ową drogę między opłotkami, która prowadzi z Warszawy aż tu, do ochrony! A jeśli wdrapać się na okno w infirmerji, to mur ogrodzenia daleko jest niżej i można dojrzeć samochód, wiozący mamuchnę! A skoro mamuchna zadzwoni do furty, to można — bez pytania żadnego — zbiec prędko na dół i rzucić się mamuchnie na szyję!

Powtórzywszy pannie Zofji słowa przełożonej, Ania skoczyła na drugie piętro. Droga pusta, słońce na niej tylko świeci i bocian poczłapał, dążąc na łąki. Po jakimś czasie wróciła do infirmerji i usiadła na oknie. Stąd również niezgorzej widać! Ktoś idzie drogą! Może to Michaś?! On ją tak kocha! „Opiekun rodziny"! Wyjechał na letnisko, wie o tem, ale na imieniny zechce ją pocałować napewno! Nie! To jakiś chłopak wiejski! Skręcił do chaty!...

— Dzieńdobry, Aniu! — zabrzmiał z dołu basowy głos i dziewczynka, wychyliwszy się ostrożnie, ujrzała, stojącego przed domem Jacentego z wiązią

róż w ręku. Od chwili pierwszej rozmowy za furtką przyjaźń dziecka ze starym ogrodnikiem zacieśniła się mocno. Widywali się często w ogrodzie, gdy mała, zmęczona bieganiem, odpoczywała na trawie pod murem, w owem pamiętnem miejscu, gdzie Bóg wysłuchał jej modlitwę i zesłał niespodziewanie matuchnę.

— Dziś jest dzień świętej Anny — mówił uroczyście, podnosząc głowę do góry. Imieniny naszej kochanej dziewczynki! Pani przełożona pozwoliła mi zerwać te najśliczniejsze dary Boże i ofiarować je małej solenizantce! Czy mam je zanieść na górę, czy Ania zejdzie do starego przyjaciela?!

— Ja zejść nie mogę! — mówiła dziewczynka, spoglądając to na Jacentego, to znów na przestrzeń poza murem. — Jestem bardzo zajęta, ale dziękuję panu Jacentemu! Sto razy dziękuję! Niech się pan nie męczy po schodach! Jadzia mnie przyniesie te cudne kwiaty! Dobrze, Jadzieńko?!

Minął dzień imieninowy jak mija na ziemi wszystko. Słońce wtuliło purpurową głowę w zawój z szarej chmury i ułożyło się na spoczynek, a dzwon przy furcie nie rozkołysał się radośnie, zwiastując Ani upragnionego gościa! Przeszły jeszcze dwa dni następne. Już miesiąc, okrągły miesiąc od chwili rozłąki z mamusią! Lada chwila tu będzie!... Nie! Cicho i głucho za murem, nie dobija się nikt do zamkniętej na rygle bramy, nie słychać trąbki samochodowej! Nikt nie przyjeżdża!... Dochodzi tylko przygłuszony, daleki, huk wystrzałów armatnich. Pioruny wojny! — Już pierwszy sierpnia! — myśli z rozpaczą dziewczynka. — Zapomnieli o mnie wszyscy! Mamusia i Michaś i Pawełek

i Hala! A tak mnie kochali, tak pieścili! Co się dzieje z Bisią?! Czy i ona przestała mnie kochać?!

Tymczasem przełożona zwierzała się półgłosem zaufanej swej pomocnicy:

— Czy wiesz, Reginko, że zamówiłam sobie na jutro rozmowę telefoniczną z zarządem Czerwonego Krzyża w Warszawie?! Jestem bardzo niespokojna. Wydaje mi się, że pozycja wojsk rosyjskich niepewna i że mogą się cofnąć! Wołałabym znaleźć się ze wszystkiemi dziećmi w Warszawie! Ale jeśli mię uspokoją, to zostaniemy na miejscu!

MATKA I SYN.

Niemiecki samochód dobrej marki wjechał na Stary Rynek w Warszawie i stanął przed kamieniczką państwa Benedyktostwa. Szofer w skórzanej kurtce odwrócił się żywo i spojrzał w głąb pojazdu przez szybę, gotów, znać, w każdej chwili do okazania swych usług siedzącej we wnętrzu młodej kobiecie. Ale to się okazało zbytecznem, gdyż jednocześnie niemal z zahamowaniem ruchu, jadąca pchnęła drzwiczki z gorączkową niecierpliwością i znalazła się w okamgnieniu na chodniku.

— Czy mam poczekać na wielce łaskawą panią?! — zapytał z szacunkiem.

— Nie... Dziękuję... Bardzo dziękuję... Powrócę do domu pieszo... — rzucała po niemiecku urywane słowa jakgdyby brakło jej sił.

Szofer spojrzał uważnie na pobladłe oblicze „zachwycającej damy", podniósł rękę do wojskowej czapki i zasalutował, poczem, puściwszy w ruch motor odjechał, a młoda kobieta zadzwoniła do drzwi kamieniczki. Czarno ubrana służąca w olśniewającym bielą fartuszku, uśmiechnęła się życzliwie do znanego gościa przez kraty oszklonych drzwi parterowych i otworzyła je śpiesznie:

— Nikogo nie ma w domu, proszę pani, prócz pana Michasia. Wszyscy państwo rozeszli się

w różne strony. Panicz jest na górze, w swoim pokoju, — zamknęła wejście na klucz i, wiedząc, że gość zna drogę, odeszła śpiesznie do służbowego pokoju, gdzie dzwonek oderwał ją od studjowania porywających dziejów miłości Kmicica i Oleńki.

Pani Edmundowa stała wszakże w przedpokoju przez długą chwilę. Tafla lustrzana, wprawiona w ramę drzwi, osłaniających wejście do gospodarskiej części domu, odbijała wytworną i nieruchomą sylwetkę kobiecą, z odrzuconą nieco w tył głową, z wyrazem bólu i skruchy w przepięknych, fijołkowych oczach. Leciała do stryja Benedykta jakby na skrzydłach, trawiona potrzebą wyznania winy, rozsadzającej jej duszę i — nie zastała go w domu. Był tylko Michaś, jej syn „opiekun rodziny", jak mawiał o sobie, więc przed nim złoży ten głaz, co ją tak bezmiernie uciska, a że ciężko jej będzie wyspowiadać się przed synem — tem lepiej! Twardy szlak ekspiacji wije się w górę pośród otchłannych przepaści i cierni!

Wolnym krokiem, przystając niekiedy, jęła się wspinać po schodach. Przed pokoikiem syna zatrzymała się znów mimowoli. Chłopięcy głos, powtarzający długie okresy łacińskich wyrazów, dolatywał jej słuchu wyraźnie. Zawahała się chwilę, bolesny i trwożny wyraz przeleciał przez jej oblicze, ustępując miejsca nagłemu postanowieniu. Zapukała i weszła.

Michaś chodził po swym pokoju z książką w ręku. Na widok matki rzucił się ku niej z bezgraniczną radością:

— Mamusiu najdroższa! Nareszcie powróciłaś z letniska?! Nie napisałaś do nas ani słóweczka! No,

ale przebaczamy ci to wszyscy! — obsypywał ją pocałunkami, dając folgę gorącym uczuciom i wrodzonej żywości.

— Ależ z ciebie elegantka, moja matko najśliczniejsza! — odstąpił parę kroków i głową kręcił z podziwem. — Jak pięknie błyszczą te brylantowe kropelki rosy w twych różowych uszkach! Usiądź na moim kawalerskim fotelu i opowiadaj wszystko o sobie! — sam usiadł obok i wziął obie dłonie matki oburącz. — Szczęśliwa jesteś, nieprawdaż?!

— Tak!... Nie!... — szepnęła cicho.

— Jakto?! — żachnął się oburzony. — Czyżby twój mąż nie umiał ciebie ocenić?!

— Ależ przeciwnie. Jest dla mnie idealnie troskliwy i dobry! — zawołała z taką szczerością, że czoło chłopca wygładziło się natychmiast.

— Cieszę się z tego bardzo. Gdzież byliście na letnisku?!

— My?!... Zdziwisz się, Michasiu, ale... jeździliśmy do Szwecji! — widząc niepohamowane zdumienie na twarzy syna, zaczęła opowiadać szybko, nie dając mu przyjść do słowa:

— To się stało tak nagle! Ja sama nie wiedziałam o tej zmianie do ostatniej niemal chwili! Edmund dostał przedstawicielstwo skór na całą Rosję. Zawdzięczamy to jego koledze, dyrektorowi fabryki skór w Stokholmie. Pojechaliśmy więc dla zawarcia kontraktu, a tu, po jakimś czasie odwrót armji rosyjskiej z pod Gorlic, możliwość okupacji Warszawy przez Niemców, słowem — zupełna przemiana losów wojennych! Nikt się tego nie spodziewał! Nikt, Michasiu, wierz mi, dziecko kochane! — zapewniała z takiem przejęciem, że chłopak

rozszerzył oczy, nie mogąc pojąć dlaczego matce tak bardzo na tem zależy, a ona ciągnęła dalej nić swych dziejów z coraz to mozolniejszym wysiłkiem:

— Nie mogliśmy ruszyć się ze Stokholmu, dopóki to ważenie się zwycięstwa nie przechyliło się ostatecznie na stronę jednej z walczących armij. Gdybyśmy się dostali w sferę zawieruchy wojennej, Edmund mógłby zostać podejrzanym o szpiegostwo i — rozstrzelanym. Czekaliśmy zatem — kaszlnęła tak, że Michasiowi wydało się, iż posłyszał króciutki szloch!... Ale nie! Skądże znowu! Przesłyszało mu się najpewniej! Matka mówiła dalej:

— Wreszcie stało się już jawnem, że front niemiecki przybliża się do Warszawy niepowstrzymanie i pewnie. Zaczęliśmy się wówczas starać o zezwolenie na powrót do domu, ale już w konsulacie niemieckim, chcąc mieć papiery w porządku, gdy okupacja Kongresówki będzie faktem dokonanym. Przedstawicielstwo skór na Rosję zmieniło się z musu na takież przedstawicielstwo w obrębie Austro-Niemiec. Dla Szwecji było to obojętnem...

— Dla tego egoisty — również! — pomyślał Michaś, ale nie wyrzekł słowa, gdyż gorączkowe wypieki na policzkach matki zaczęły go zlekka trwożyć.

Zwierzenia pani Aliny leciały tak chyżo z jej ust jak stado ptaków, uciekających przed bliską burzą:

— Kolega Edmunda był nam w tem powikłaniu nadzwyczajną pomocą! Jakiż to zacny człowiek! Chciałabym, abyś go poznał! Tyle mu zawdzięczamy! Dzięki jego wpływom grupa wybitnych przemysłowców szwedzkich zaręczyła za Ed-

munda, że nie brał udziału w wojnie, a wskutek tego, mowy nawet być nie może o jakiemś szpiegowaniu na rzecz Rosji! Niemcy są tak przesadnie drażliwi na tym punkcie! Wczoraj przyjechaliśmy do Warszawy, w tydzień po wejściu wojsk niemieckich! Mój mąż jest bardzo dobrze widziany u władz okupacyjnych i ma przed sobą szerokie widoki powodzenia i fortuny! Tak, Michasiu! Ogromnej fortuny! — ostatnie wyrazy powiedziała z niezmiernem znużeniem, przysłaniając fijołkowe źrenice długiemi rzęsami. Syn zauważył cierpiący wyraz tej cudnej twarzy. Zamyślił się. Wbrew zapewnieniom matki, czuł podświadomie, iż nie wszystko jest tak pogodne jak się na oko przedstawia. Gdzieś w głębi tkwi kłójący cierń, ale co to być może? Raził go przytem kosmopolityzm Edmunda. W takiej chwili — nie myśleć o Polsce!

— Winszuję ci, mamusiu! — odezwał się z przymusem. — Sądzę, że ta fortuna ułatwi ci życie! Ale — zmienił temat porywczo — nie mówisz mi nic o Ani! Oczywiście, jeździła z wami do Szwecji. Jakże się jej podobało morze?!

Powieki pani Edmundowej uniosły się zwolna. W oczach jej była tak otchłanna rozpacz, że Michaś krzyknął gwałtownie:

— Co się stało?! Jakiś wypadek?! Może utonęła?! — żywa wyobraźnia przedstawiała mu już tę małą siostrzyczkę na parowcu, wychylającą się niebacznie przez poręcz i wpadającą w nurty Bałtyku — zerwał się z krzesła, pochylił nad matką i, zatapiając wejrzenie w jej twarzy, pytał natarczywie:

— Chcę wiedzieć prawdę! Powiedz, mamo, gdzie jest Ania?!

— Ja... nie wiem!... — wyszeptała pani Alina, dźwiękiem tych strasznych słów strwożona, pomimo całej swej gorącej chęci ekspiacji.

Chłopak zachwiał się, obłędnym ruchem podniósł rękę do czoła i przetarł je jakby we śnie. Ale świadomość nieszczęścia targnęła nim wnet, aż nazbyt pochopnie. Wyrzucił słowa nabrzmiałe grozą:

— Ty... nie wiesz?!... Matka?!... Nie wie, gdzie dziecko?! Co to znaczy?!

Pani Edmundowa złożyła ręce błagalnie. Syn jej cierpiał straszliwie i to z jej winy. Głos kobiety drżał i łamał się jak kryształ, uderzany zbyt silnemi ciosy:

— Posłuchaj mię, Michasiu! Nie przerywaj, proszę, zaklinam cię, synku mój ukochany! Zrozumiesz wszystko! Tylko ja jestem winna temu, co się stało, tylko ja i nikt więcej! Nieobmyślanemi słowami wykopałam przepaść pomiędzy Edmundem, a naszą rodziną. Obrażony w swej dumie, nie chciał powierzyć Ani nikomu z moich krewnych, a brać ją z sobą do Szwecji było nierozsądnem. Więc na ten miesiąc naszej nieobecności, na ten jeden tylko miesiąc, oddaliśmy ją do zakładu dla dzieci. Potem, natychmiast po naszym powrocie, miałam ją zabrać do domu i nigdy się z nią nie rozstawać! O, Michasiu! — Wyciągnęła doń obie dłonie, które wszakże nie pochwycone przez chłopca, opadły bezwolnie na jej kolana. Wpatrzona jakgdyby w jakąś przerażającą wizję, żaliła się blada, zdrętwiała z bólu:

— Czyż ja się mogłam spodziewać, że tam będzie bitwa?! Że zastanę tam po powrocie ruiny i pustkę?! Żywego człowieka nie zobaczyłam! Nic — prócz strzaskanych murów! — ...płakała boleśnie z rozdzierającym jękiem.

— Gdzie?! — wybuchnął Michaś, któremu się zdawało, iż tem zapytaniem położy kres tej nadludzkiej udręce i od słów przejdzie do czynu. — Gdzie twój mąż umieścił moją biedną, maleńką siostrzyczkę?! Bo to jego pomysł! Tak! Nie broń go, mamo! Więc powiedz, gdzie?!

— W Piasecznej! — wionął szept tak cichy jakgdyby nie usta go wydały, lecz dusza. — Wracam stamtąd!...

Chłopiec zatopił ręce w czuprynie i jak oszalały jął biegać w kółko po swym małym pokoju:

— Opiekun rodziny! — wołał rozdzierającym głosem. — Kula w łeb mi się należy, taki ze mnie opiekun! Nie potrafiłem ciebie obronić, moja ukochana siostrzyczko, od bezlitosnej fantazji pyszałka! — naraz stanął przed matką i wbił w nią rozgorzałe oczy:

— Zaufałem ci, mamo! Uwierzyłem twym zapewnieniom, że nie dasz Ani wyrządzić krzywdy! Pamiętasz swoje słowa?! Wierzyłem — matce! Ach! jakiż ze mnie naiwny był głupiec! — i, pochwyciwszy czapkę, wypadł z pokoju.

Odgłosy jego kroków, zbiegających gwałtownie po schodach, zagłuszyło lecące po za jego plecami żałosne wołanie: — Michasiu! — po którem uczyniła się przejmująca cisza, zachwiana raz tylko potężnem zatrzaśnięciem drzwi wejściowych za uciekającym z domu chłopcem.

Michaś biegł szybko przez ulice miasta, potrącając niekiedy przechodniów i zostawiając za sobą głośne epitety o brutalności wojennej młodzieży i braku szacunku dla starszych. Było mu to zgoła

obojętnem. Czyż którykolwiek z tych ludzi, idących za nim, lub przed nim, niesie na swych barkach ciężar podobny do tego głazu, jaki przygniata mu serce?! Czyż jest ktoś na świecie, mający cel świętszy i trudniejszy do wykonania?! Odnaleźć Anię! Wytropić jej ślady, odszukać maleńkie, zaginione stworzonko, oddać rodzinie i wtedy, wtedy dopiero — odetchnąć! Bo żyć z nieustanną, dręczącą myślą o jej możliwej niedoli, poniewierce i nędzy w huraganie wojennym — wydawało się Michasiowi wręcz nie do zniesienia. Matka była w Piasecznej, ale zmiażdżona dzikim i nieoczekiwanym obrazem zniszczenia, straciła nadzieję co do istnienia córeczki i — odjechała, nie dotarłszy do źródła prawdy. Oni z Pawełkiem zabiorą się inaczej do rzeczy. Będą niestrudzeni i zażarci w poszukiwaniu siostrzyczki. Jeśli zajdzie potrzeba, przenocują na polu, będą głodowali i biedowali, rozpytując się okolicznych wieśniaków o szczegóły bitwy Rosjan z Niemcami. To niepodobna, by przełożona ochrony nie wywiozła w porę powierzonych sobie dzieci! Tak uczyniła z wszelką pewnością, chodzi tylko o wyśledzenie, gdzie się obecnie znajdują. Nadzieja wstępowała w udręczone serce chłopaka, a jednocześnie rosło wyolbrzymione poczucie własnej nieoględności w stosunku do najmłodszej siostrzyczki. Zatopiony w czynionych sobie wyrzutach, nie spostrzegł nawet kiedy dopadł imponującej kamienicy w Alei Róż, gdzie państwo Więcławscy zajmowali obszerny lokal. Instynkt jakiś kazał mu podnieść głowę w odpowiedniej chwili. Skoczył do bramy, skręcił do klatki schodowej i jął przesadzać stopnie, biorąc po trzy naraz dzięki wysportowanym kończynom. Na

drugiem piętrze stanął nagle jak wryty, zdjął czapkę, otarł spocone czoło. Przyszło nań zastanowienie. Zaczerwieniony, wzburzony, nieopanowany — jakież wywrze wrażenie na obcych?! Czy wolno mu zewnętrznym wyglądem, albo niebacznem słowem zdradzić tajemnicę rodzinną?! Nie, nigdy! Postępowanie jego matki nie może być przedmiotem rozpraw i osądów nawet tak szlachetnych ludzi jak państwo Kazimierzostwo!

Odpoczął nieco, wrócił do równowagi i zaczął wolno iść na trzecie piętro. Brak mu było jeszcze kilku stopni do końca, gdy drzwi od mieszkania rozwarły się niespodziewanie i pani Janina, ubrana do wyjścia na ulicę, wybiegła z nich śpiesznie. Nagły uśmiech rozjaśnił jej twarz:

— Jak się masz, kochany Michasiu?! — podała mu rękę, którą chłopak ucałował z szacunkiem. — Czy pamiętasz o jutrzejszych urodzinach Hali? Ma być u nas o piątej po południu „tańcująca czekolada". Idę do miasta po zakupy, ale ponieważ dziś właśnie rozpoczęły się rekwizycje samochodów, skór, wełny i bawełny, więc podobno i cukier się schował! Myślę jednak, że tymczasem skończy się tylko na „zdrożeniu" słodyczy i że nawet z pod ziemi muszę wszystko wydobyć, aby uświetnić dzień urodzin waszej siostrzyczki!

— Jaka pani dobra, bardzo, bardzo dobra! — powiedział Michaś wzruszonym głosem. — Był wysadzony z siodła poprzednią tragiczną wieścią o losach Ani i ta różnica pomiędzy siostrami wzburzyła go znów do głębi.—Tyle zachodów dla obcej dziewczynki! — dorzucił z niedostrzegalną goryczą.

— Wcale nie dla obcej, ale dla naszej przybra-

nej córeczki! — zaprzeczyła pani Janina żywo. — Czy nie wiesz o tem, mój chłopcze, że to nasze gorące pragnienie?! — spojrzała po za ramię na drzwi. — Otwarte! — rzekła, zaśmiawszy się mimowoli. — Nie zdradź mię, proszę, bo znów mię wyszydzą za roztargnienie! Pawełek i Hala są w pokoju szkolnym i przygotowują lekcje, aby mieć jutro zupełnie wolną niedzielę. Przepraszam cię, mój drogi, ale żegnajmy się, bo się okrutnie śpieszę! — odeszła, a Michaś wpadł do przedpokoju i za chwilę znalazł się wobec młodszego rodzeństwa. Tchnąca dobrobytem i pięknem atmosfera domu podnieciła rozkołysany stan jego umysłu jako bolesny kontrast z opuszczeniem i samotnością tamtej małej siostrzyczki. Poczucie winy oplotło go skrętami, niby wąż dusiciel. Rzucił czapkę na stół pomiędzy podręczniki szkolne i odezwał się zdecydowanym tonem:

— Nie jestem już godzien waszego szacunku! Możecie dać mi w twarz!

— Coo?! — krzyknęła Hala, zdumiona nagłem wtargnięciem brata, a jeszcze więcej jego słowami. Z rozwartemi szeroko zielonemi oczyma, nieruchoma, uchwyciła się kurczowo krawędzi stołu obu rękami. Dać w twarz?!... Michasiowi?!...

— Nie przesadzaj, mój stary! — Pawełek podszedł do stojącego na środku pokoju brata i przyjacielsko położył mu dłoń na ramieniu. — Mów odrazu, co zaszło?

— Zaszło to — jęknął Michaś — że Ania gdzieś zaginęła! — dwa wstrząśnięte głosy powtórzyły to ostatnie słowo jak echo, a zgnębiony „opiekun ro-

dziny" wyrzucał z piersi opowieść tak płynną i gorącą jak lawa:

— Zaginęła, bo ten okropny samolub, nasz ojczym, oddał ją do ochrony w Piasecznej, a tam był później front, straszna bitwa, ruiny i zgliszcza! Nie chcieli brać dziecka z sobą do Szwecji... Ach, prawda! Nie powiedziałem wam, że nie byli wcale na letnisku, tylko pojechali do Stokholmu, bo tam mąż naszej matki miał robić jakieś kokosy! Wczoraj dopiero wrócili! Mamusia była przed chwilą u mnie. Jeździła po Anię do Piasecznej, a zastała — pustkę! — zaszlochał.

— Moje Aniątko najmilsze! Siostrzyczko ukochana! Gdzie jesteś?! Co z tobą się stało?! Czy żyjesz?! — wołała Hala z rozpaczą, a łzy ciepłe i rzęsiste jak deszcz wiosenny sypały się gradem z jej oczu.

Pawełek oparł się o pulpit i zbladł jak ściana. Zacisnął wargi, pozbawione nagle karminu młodości, a oczy jego patrzyły z uporem w jakąś dal niedościgłą.

Wargi Michasia drżały. Martwo i ciężko wydał na siebie wyrok:

— Moja w tem wina! Tyle razy mówiłem z dumą, żem został waszym opiekunem, więc powinienem był pilnować Ani jak oka w głowie! Nie spocznę, dopóki jej nie odszukam! Przyszedłem po ciebie, Pawełku, jedziemy zaraz do Piasecznej! — spojrzał nań. — Wypij no szklankę wody, mój mały! Odwagi! — uderzył nagle pięścią w stół. — Ach! Dlaczegoż nie byłem bardziej przewidującym!

Młodszy brat przyszedł już nieco do siebie.

Wrodzona mu cicha, promieniująca równo wola dodała mu bodźca do czynu.

— Nie troszcz się o mnie, Michasiu! Czuję się zupełnie dobrze. Myślmy o Ani. Naturalnie trzeba zaraz rozpocząć poszukiwania, ale dziś przy obiedzie wuj Kazio opowiadał nam o różnych obostrzeniach, wymyślanych przez Niemców. Jazda koleją strasznie utrudniona, wobec stałego przewożenia wojsk. Mają podobno wymagać świadectwa odwszenia, jakichś „passir-schein" i tak dalej! Jak sobie damy z tem radę?!

— Niech cię głowa o to nie boli, mój mały! Od czegóż pomysłowość polskiego chłopca?! Chodźmy na dworzec, a jeśli tam los nie przyjdzie nam z pomocą, to skoczymy w polu na jakąś sunącą wolno towarówkę, albo dojdziemy pieszo do pierwszej za Warszawą małej stacyjki! Tam — łatwiej będzie prześlizgnąć się popod ręce niemieckich strażników! Zobaczymy! Każda stracona chwila przedłuża cierpienia naszej maleńkiej pieszczoszki! — wziął czapkę. — Idziemy!

— Serce mi pęka! — łkała głośno Hala. — Aniątko moje! Samotne, może głodne?!

— Przestań się mazać, Halko! — nakazał surowo starszy brat. — Pamiętaj o tem, że twoja opiekunka może lada chwila powrócić z miasta. Jak wytłumaczysz jej twe łzy i rozpacz?! Matka nasza nic tu nie jest winna — głos jego nabrał pewności, dźwięcznej jak metal — a potępiłabyś ją mimowoli! — „Zły to ptak, co własne gniazdo kala!" tak zawsze mawiał nasz ukochany ojciec, postępujmy tedy wedle jego wskazówek. Może odnaj-

dziemy ślad Ani, wówczas cała ta sprawa pozostanie li tylko między nami! Uspokój się, Halko!

— Nie mogę! — wyłkała dziewczynka. — Kiedy sobie pomyślę, że jutro moje urodziny i ma być „tańcująca czekolada", a moja najdroższa siostrzyczka, sama wśród obcych, opuszczona, może ranna?!... gwałtowne szlochanie przerwało jej słowa...

— Nie możesz?! — uniósł się Michaś. — Nie potrafisz zapanować nad sobą dla honoru rodziny?! Wstyd, wstyd, Halko! Widzę, że kiedyś łatwo ci będzie podeptać obowiązki, jakie na ciebie spadną, gdy przyjdziesz do przekonania, że „masz prawo do szczęścia", tak jak teraz masz prawo do łez! I wtedy nie zapanujesz nad sobą! Chodźmy, Pawełku! Niema tu z kim mówić! — i wypadł z pokoju.

— Michasiu! Jak możesz tak źle o mnie myśleć?! — zakrzyknęła Hala rozżalonym głosem. — Biegnij za nim, Pawełku! On taki rozdrażniony! O, mój Boże! Jacy my nieszczęśliwi! — i, wtulając usta w chustkę, załkała przeciągle.

Pawełek wcisnął czapkę na głowę. Musnął przelotnie, ale serdecznie włosy siostrzyczki:

— Bądź dobrej myśli, Halko! Michaś ma słuszność w tem, że powinnaś się opanować! Idź do łazienki i podstaw twarz pod zimną wodę! Pysznie ci to zrobi! Dowidzenia, kochanie! — wybiegł śpiesznie.

Dziewczynka szlochała jeszcze czas jakiś, poczem odjęła mokrą chustkę od oczu i zwiesiła ręce przez kolana, milcząca i zgnębiona. Po chwila jednak otrząsnęła się z bolesnej zadumy i wstała:

— Przekonam Michasia, że i ja mam wolę! Nie będę płakała! Nie będę! — wmawiała w siebie z energją, pomimo, że łzy cisnęły się znów pod powieki.

Pobiegła do łazienki i wypełniła wskazówki Pawełka. Skoczyła potem do sypialni pani Janiny, upudrowała nosek i policzki. Nieźle! Zanim ciocia przyjdzie, ślady łez znikną! Wróciła do szkolnego pokoju, rozłożyła przed sobą podręcznik i jęła powtarzać głośno, monotonnie, pragnąc zagłuszyć przytajone w sercu wzburzenie:

— Małpy żyją wielkiemi gromadami w lasach Ameryki i Afryki. Przebywają najczęściej gromadami, gdyż są bardzo towarzyskie. Kończyny mają nadzwyczaj gibkie i zwinne, tak, że przerzucają się łatwo z drzewa na drzewo nawet ze znacznej odległości. Jedne są ogoniaste, inne ogonów nie mają! — O, mój Boże! Ratuj Anię! — przeleciało jej przez myśl. Uczuła łzy, podchodzące do gardła, więc z tym większym zapałem jęła powtarzać:

— Jedne są ogoniaste, inne ogonów nie mają...

BEZ WIEŚCI.

Pawełek dogonił z łatwością starszego brata, który idąc już po ulicy, obejrzał się parę razy, pragnąc jaknajszybszego nadejścia towarzysza wyprawy. Wrodzona równowaga i rozsądek Pawełka działały zwykle uśmierzająco na porywczość Michasia, zdającego sobie z tego sprawę w owej trudnej chwili.

— Dobrze że już jesteś! — odetchnął z ulgą, gdy uczuł dłoń chłopca, wsuwającą się pod jego ramię. — A teraz, co tchu, na dworzec! — szli równo i szybko, wysportowani obaj, a odgłos ich kroków odbijał się miarowem echem pośród kamienic eleganckiej, cichej przecznicy. Myśl ich była tak obciążona tragedją rodzinną i trudnościami, jakie znagła przed nimi wyrosły, że osunęła się na dno duszy, zamykając im szczelnie usta.

Przez Aleje Ujazdowskie przeciągały wciąż tabory niemieckie, imponując mimowoli schludnym wyglądem żołnierzy i doborem wspaniałych koni. W porównaniu do wycofującej się z Kongresówki armji rosyjskiej, licho umundurowanej i wyćwiczonej, te świetne wojska nowego zaborcy sprawiały wrażenie lśniącego stalowego miecza, potężniejszego bezsprzecznie od łamliwego ostrza moskiewskich pałaszy. Ze wspaniałem „*desintéressement*“ co do

walki dwóch wrogów Polski, Warszawa zakładała w owej chwili podwaliny własnego życia niepodległego. Zdrowy instynkt narodu, dobijającego się wolności, zatriumfował nad tradycyjną waśnią ówczesnych partyj, kierujących się wręcz przeciwnemi „orjentacjami“ politycznemi i stworzył zamiast słów — c z y n y. Od pierwszego dnia wkroczenia Niemców do miasta, tramwaje przelatywały przez ulice, wioząc mieszkańców do zwykłej, codziennej pracy. Usuwający się przed Niemcami, prezydent Miller powierzył miasto Komitetowi Obywatelskiemu, który, z ks. Zdzisławem Lubomirskim na czele, zdołał uratować wodociągi, kanalizację i gazownie wobec zakusów sfer wojskowych, wiernych taktyce Suworowa, nakazującej niszczenie kraju w chwili odwrotu. Do wyłonionej z ramienia tego Komitetu, Straży Obywatelskiej, wstępowali tłumnie najbardziej poważani i zamożni obywatele Warszawy, szli do niej równie ochoczo prawnicy, doktorzy, studenci, cykliści, wioślarze, robotnicy, rzemieślnicy. Na ulicach miasta zamiast dawnych rosyjskich znienawidzonych policjantów, „gorodowych“, stali teraz członkowie tej organizacji honorowej i niezależnej. Na głowach mieli czapki maciejówki ze sznurkiem zielonym, czerwonym lub przetykanym srebrem, co oznaczało wysokość szarży, a na ramieniu przepaskę biało-czerwoną.

Prócz tej służby bezpieczeństwa publicznego, utworzyła się na tych samych zasadach bezinteresowności i dbałości o dobro ogólne, służba kryminalna, zwalczająca złodziejstwa i wszelkie przestępstwa. Część prawników, należących do Straży Obywatelskiej, zorganizowała Sądy Pokoju, aby lud-

ność miejska nie była pozbawiona opieki prawnej. Tak przygotowana Warszawa, dająca zalążek milicji i sądownictwa, przejętych duchem obywatelskim, opiekuńczym i doradczym wobec mieszkańców, oczekiwała przyjścia zwycięzców z Zachodu, którzy ją zajęli w dniu 5 sierpnia 1915 roku.

W chwili, gdy dwaj chłopcy dążyli śpiesznie na dworzec kolejowy, minęło osiem dni od owej pamiętnej daty. Świeży okupant nie miał jeszcze czasu zorganizować własnych władz cywilnych, pozostawił tedy miasto pod opieką Straży obywatelskiej, co, narzucając się mimowoli oczom, krzepiło braci i łagodziło ich cierpienie.

— Wiesz, Pawełku — mówił Michaś przyciszonym głosem, wstępując na schody dworca wiedeńskiego, gdzie przesuwali się gromadnie odjeżdżający na front, żołnierze niemieccy — mam wrażenie, że już jesteśmy wolni! Ta kochana nasza straż utrzymuje cały porządek! Ale rozejrzyjmy się dokoła!

— Co za niezwykły traf! — Pawełek nacisnął ramię brata. — Patrz, Michasiu! Ot, tam! Doktor Wincenty!

— Gdzie?! Gdzie! Aha, nadzwyczajne! — Michaś wysunął naprzód szyję, jakgdyby chciał w ten sposób przybliżyć się do przyjaciela ojca. — Ale wiesz z kim rozmawia?! Z naczelnikiem stacji! — głos jego brzmiał triumfująco. — Pojedziemy, mój mały! — jęli się przeciskać przez gromady ludzi, mających, albo też pragnących zażyć utrudnionego szczęścia podróży koleją.

Nie chcąc przerywać rozmowy doktorowi, stanęli jednak w promieniu jego wzroku, na uboczu, dyskretnie. Żywa gestykulacja czarnookiego esku-

lapa urwała się nagle. Rzuciwszy zadziwionemu naczelnikowi krótkie:

— *Verzeihen sie, bitte! Ein Moment!* — ruszył ku braciom. — Co wy tu robicie, chłopaki?! Czy oczekujecie na kogoś?! Tak dawno nie widzieliśmy się! Blado mi czegoś wyglądacie?! — klepał ich po ramieniu przyjaźnie, z niedbałą zamaszystością ruchów.

— Panie doktorze! — przemówił Michaś poważnie i z przejęciem. — My musimy — podkreślił głosem to słowo — musimy dostać się do Piasecznej! Niech pan nie pyta nas dlaczego i w jakim celu tam jedziemy! Proszę nam zaufać i dopomóc! — taka siła i prawda biły z niebieskich oczu młodzika, że doktór zawrócił w jednej chwili na pięcie i szybko podszedł do naczelnika. Rozmawiali z sobą niedługo, poczem Niemiec wyjął notatnik, oddarł systematycznie zeń kartkę i napisał kilka słów na niej. Za chwilę doktor był już przy synach swego niezapomnianego Zygmunta:

— Pojedziecie pociągiem wojskowym w przedziale konduktora — oznajmił z zadowoleniem. — Na stacji w Piasecznej zgłosicie się z tym oto talizmanem do naczelnika. Dopomoże wam w drodze powrotnej! — puszczając mimo uszu gorące podziękowanie chłopców, wpatrywał się w nich bacznie i przenikliwie:

— Czuję, iż coś wam mocno dolega! — powiedział z żalem. — Szkoda, że nie chcecie, czy nie możecie wtajemniczyć mnie w wasze troski! Pamiętajcie jednak, że kochałem waszego ojca jak najdroższego brata i szczerze oddany wam jestem! Gdybyście więc nie mogli dać sobie rady, walcie

do mnie jak w dym! — z wielkiej emocji zdjął kapelusz i potrząsnął srebrniejącą lwią czupryną, gdyż mając wadę sercową, podlegał łatwo napadom gorącej duszności. Zaczerpnąwszy powietrza, ciągnął dalej już spokojniej:

— Cieszy mię, że stanąłem wam w przygodzie! No, chodźmy na peron, zaprowadzę was do wagonu, bo, jak mi oznajmił tutejszy naczelnik, pociąg do Piasecznej wyrusza za pięć minut. Ci Niemcy mają specyficzną zdolność do liczenia się z czasem! Każdy z nich rodzi się chyba z zegarkiem w mózgu i wedle tego dni swe przeżywa! — mówił z dobrotliwą ironją, towarzysząc braciom, idącym obok niego. — Naczelnik dworca — to nic dziwnego! Ale oni wszyscy są tacy! Trudni do pokonania i basta!— zaczepił, stojącego przy pociągu konduktora, przemówiwszy się z nim paru słowami.—Wchodźcie!— zwrócił się do chłopców. — Szczęśliwego załatwienia nieznanej mi sprawy! — uścisnęli się za ręce mocno i serdecznie, poczem doktór Wincenty odszedł równie śpiesznie i żywo, jak zwykł był to czynić w takiej lub innej chwili swego pracowitego życia.

Bracia usiedli w pustym przedziale konduktora i w milczeniu wyglądali przez okno. Wreszcie pociąg ruszył, rozwijając coraz bardziej swą szybkość.

— Nareszcie! — odetchnął z ulgą Michaś. — Kochany ten doktór Wincenty! W porę się znalazł na dworcu, nieprawdaż, braciszku?! Lżej mi na sercu, gdy rozpoczynamy oto akcję wyratowania Ani! — zdjął czapkę, oparł się łokciami o kolana i podparł głowę dłońmi:

— Niezadowolony jestem z siebie, Pawełku! — wyznał powoli ze smutkiem. — Moja porywczość

mię przeraża! Nie umiem się pohamować, pali mi się we łbie, serce łomoce dziko w piersiach, usta wyrzucają słowa, jakich się potem wstydzę! Gdybyś ty wiedział, mój mały, co ja dziś powiedziałem naszej matce?! — przycisnął rękami skronie. — Ach! Nie przyznałbym się zanic przed tobą, bo nie darowałbyś mi tego! Jak ja mogłem tak się unieść?! Przecież to nasza matka, nasza droga, najlepsza matka! Jak ona był oddana naszemu ojcu, jak czule chowała nas i pielęgnowała w chorobach! Czy ty pamiętasz te piosenki, jakie nam nuciła tym miłym, słodkim głosikiem?! Jakby na jawie widzę teraz jej cudną twarz, pochylającą się nademną, gdym przechodził tak ciężko odrę! I ja ośmieliłem się zranić ją niegodziwym wybuchem urazy?! Ach, Pawełku! To wspomnienie pali mię ogniem! Czy ona mi przebaczy?! Wiesz, że ona całą winę z powodu zaginięcia Ani bierze na siebie! Zasłania sobą tego Edmunda, tego istotnego winowajcę!....

— Bo nasza matka — to anioł! — padły z ust Pawełka ciche, gorące słowa. — Biedna! Cierpi daleko silniej, niż my! Pójdziemy do niej jutro! Nie gryź się, mój stary! Ona ci wszystko przebaczy! Czytałem niedawno taki cudny wiersz o miłości matczynej, że nigdy go nie zapomnę! Przytoczę ci go na pocieszenie. Otóż, widzisz, był pewien syn, daleko gorszy od ciebie, bo na rozkaz swej kochanki zamordował własną matkę! Chcąc przekonać tę okropną zazdrośnicę, że stało się wedle jej woli, biegnie do niej z sercem matki w dłoni i nagle... pada... wymyka mu się serce i słyszy „jak to serce tocząc się po ziemi, słowy mówi doń cichemi, w których łzy matki drżą i niepokoje: Czyś się nie zranił

czasem, dziecię moje?!" — cytował Pawełek z niezwykłą prostotą i uczuciem. — Prawda, jakie to piękne! I ty się boisz, czy mamusia ci przebaczy?!

Michaś wyprostował zgiętą postawę i otoczył ramieniem szyję młodszego brata:

— Jaki ty jesteś pogodny, mój drogi! Rozczulasz mię, doprawdy! Nie dasz się wstrząsać takim burzom uniesienia, jak ja! Przypominasz mi czasem naszego ojca!

Pawełek kręcił głową przecząco:

— Daleko mi do niego! To był ideał, do którego dążę! Nie przeceniaj mnie, mam i ja straszną wadę! Wiesz o tem najlepiej! Wuj Kazio nazywa to „zimną pasją"! Nie unoszę się wcale, tylko pozielenieję z gniewu, zacisnę zęby i milczę! Zato pamiętam długo urazy! Nie wiem, co lepsze, twoje wybuchy, czy moja zakamieniała cichość?! Kiedyś ciocia Janka świetnie mi powiedziała: Masz rozum i wolę! Popracuj nad tą wadą, tak jak Franklin pracował nad sobą! Trafiła mi do przekonania. Muszę się zmienić!

— Ja także! — rzucił Michaś z energją. — Ta dzisiejsza, burzliwa rozmowa z mamusią była przełomową w mem życiu! Przyrzekam sobie w tej chwili, że nie dam się już więcej tak ponieść wrażeniom jak koń bez wędzidła! Basta! Czuj duch! szalona pałko! — moralizował sam siebie, podczas gdy młodszy brat uśmiechał się doń z przywiązaniem i smutkiem w oczach:

— Pamiętasz, Michasiu, jak dawniej nieraz sprzeczaliśmy się z sobą, „braliśmy się za łby", jak twierdziła z oburzeniem Bisia. Czy nam to w gło-

wie postało od czasu tych nieszczęść i śmierci?! Gdzie się to wszystko podziało?! A takie złote, przecudne były nasze dziecięce lata! Szkoda ich, szkoda! — Zamilkli. Sprawne turkotanie kół wagonu wtórowało ich rozmyślaniom.

Do przedziału wszedł konduktor, oznajmiając chłopcom, że za chwilę będą w Piasecznej. Istotnie pociąg zwalniał biegu, aż wreszcie stanął. Bracia wyskoczyli na peron. Michaś rzucił okiem na zegarek:

— Już po piątej! — rzekł i rozejrzał się. — Jaka tu pustka! Druty kolczaste, okopy, poryte pola! Tylko ta mała stacyjka cudem ocalała! Idźmy, Pawełku. Przed paru laty byłem tu z kolegami na wycieczce, znam tedy dobrze topografję miejscowości. Ochrona stąd niedaleko. Pół godziny wytężonego marszu i już tam dotrzemy!

Szli śpiesznie, w milczeniu, a serca biły im niespokojnie na myśl, że zbliża się chwila rozstrzygnięcia niepewności co do losu siostrzyczki. Na złe czy na dobre, któż zgadnie?!... Kędyś w oddali falował szary dym, samotny w przejawie ludzkiego życia w tej, wojną przeoranej pustyni. Wiatr wzdychał i poświstywał, lecąc swobodnie naprzeciw idących prędko chłopaków. Gołe pola zwracały ku nim czarne oblicza, tchnąc niemym żalem po zmarnowanych wysiłkach. Nie trelowały tu ptaki, nie chowały się przepiórki w nieistniejącem ściernisku, tylko niebo, obce tym ziemskim zatargom, tkwiło nad niemi jak sklepiona czara, nieskazitelnie błękitna i czysta.

Wreszcie dziwacznie poszarpane mury i okaleczone stare drzewa ukazały się ich oczom, wzbudzając mimowolny okrzyk zgrozy. Oto — co zo-

stało z kwitnącego schroniska dla dzieci! Przez szczerbę w ogrodzeniu, szeroką niby brama wjazdowa, weszli do wnętrza, przygnieceni widokiem zagłady, jaką zostawił po sobie ognisty rumak wojny. Chodzili dookoła zwalisk i rumowiska bezradni i niemi. Któż im udzieli wieści o losie maleńkiej, opuszczonej siostrzyczki?! Śmierć tędy przeszła!... Śmierć zawodziła w poszumie kilku ocalałych konarów, kryła się w potrzaskanych kikutach odwiecznych pni!

Usiedli na jakimś stosie kamieni i spojrzeli sobie w oczy, pragnąc wzajemnie zaczerpnąć otuchy.

— Straszne to! — wyrzucił Michaś z piersi. — Niema żywej duszy w tej pustce! Odpoczniemy trochę i pójdziemy do najbliższej wioski. Ludzie wracają powoli pod swoje strzechy, może gdzieś zasięgniemy języka o losach tego przytuliska dla dzieci. To wprost nie do pomyślenia, aby przełożona oddała je wszystkie na żer armatom! Nie, nie! — powtórzył z nagłym przypływem energji i zerwał się, nastawiając ucho z uwagą:

— Słyszę jakiś dziwny szmer! — powiedział cicho. — Niby klapanie starego obuwia. Czy mi się wydaje?! Co, Pawełku?!

Ale zanim młodszy brat zdołał wyjawić swe zdanie, jakaś barczysta postać wsunęła się przez fantastycznie postrzępiony otwór w murze ogrodzenia i zbliżała się ku chłopcom, powiewając łachami odzieży i człapiąc nogami w trzewikach, urągających widzom rozwartą paszczą podeszew. Zadziwiający ten stwór nie był wszelako gościem z tamtego świata, o czem świadczyła wymownie łopata i wiadro pełne ziemniaków w ręku, a głos, ja-

kim przemówił do chłopców, brzmiał łagodnie, budząc w nich zaufanie:

— Czy panicze tu kogoś szukają?! Może mógłbym udzielić jakichś wskazówek?! — i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej przejęty do głębi wypiastowaną myślą. — Teraz tak cięgiem, ktoś kogoś szuka! Ot, wojna, dopust Boży! Od powietrza, głodu, ognia i wojny — ratuj nas, Panie! — wzniósł splecione modlitewnie ręce do góry, a z pod nawisłych, krzaczastych brwi zabłysły nagle szare oczy niby dwa ogniska najżywszej wiary.

— Nie mylicie się! — odezwali się jednocześnie dwaj bracia. — Szukamy naszej zaginionej siostrzyczki! Była tu, w tej ochronie!

— W tej ochronie? — powtórzył wolno stary. — Pan Bóg skierował tu paniczów, bo przecież ja tu byłem długie lata ogrodnikiem!

Skoczyli ku niemu obaj, chwycili za ręce, potrząsali niemi, wołali głosem drżącym z nadmiaru trwogi i nadziei:

— Nazywała się Ania! Była maleńka, blada, poważna! Miała cudne, jasne loki! Jak złoto, jak słońce! I taka była mądra, taka śliczna! Co się z nią stało?! A może jej nie pamiętacie, panie ogrodniku?! Co?! Mówcie, prosimy! — zawiśli wzrokiem na jego ustach.

Stary Jacenty pokiwał głową z niemym, acz wymownym protestem:

— Jabym jej miał nie pamiętać?! A toż kochałem ją jak własne dziecko! Wszystko paniczom opowiem, a na początek tak rzekę: — Dziękujcie Bogu, bo cała ochrona wyjechała stąd przed ostateczną bitwą! — pobladłe wargi chłopców szepnęły jakieś

niedosłyszalne słowa, a stary człowiek mówił dalej, przypatrując się im tak jakgdyby teraz dopiero zwrócił ku nim swe zainteresowanie:

— Może usiądziemy za pozwoleniem paniczów, bo nóg nie czuję! Krzeseł i foteli nam nie brak! — wskazywał z pewnym przebłyskiem humoru sterczące dookoła kamienie i głazy. — Szrapnel zburzył mi domek w ogrodzie i porwał odzież na strzępy! Wyglądam jak nieboskie stworzenie, i mieszkam w piwnicy, ale mniejsza o to! Kto przeszedł taką bitwę, ten wie jak piekło wygląda! — usiadł i zamilkł. Zdawał się być pogrążonym w rozpamiętywaniach strasznych chwil, jakie przeżył.

— Panie ogrodniku! — prosił Pawełek głosem, wdzierającym się mimowoli do głębi serca. — Niech pan przestanie myśleć o okropnościach wojny! Lepiej proszę nam opowiedzieć wszystko o naszej ukochanej siostrzyczce!

Jacenty podniósł powieki i zwrócił spojrzenie w stronę chłopca:

— Niech was Bóg błogosławi! Nie możecie być temu winni! — powiedział po chwili dziwne zdanie. — To wojna-macocha! — zaciśniętą pięścią wygrażał w powietrzu. Nowy najeźdźca tratuje bezkarnie tę ziemię polską!... A więc, słuchajcie, panicze! Cóż wam powiedzieć o tem najmilszem dziecku, o tym promyczku mego starczego życia?! Że ją tu wszyscy kochali i żałowali?! Że ona, biedulka maleńka, przed nikim się nigdy nie użaliła na swoją samotność, na brak wiadomości od rodziny?! Bo my tu nie wątpiliśmy przez jedną chwilę, że to dziecko ma bogatą rodzinę i że w tem wszystkiem jest coś niepojętego! — (Tu Michaś jęknął i przykrył dłonią oczy).

— Dalej mówcie, dalej! — nalegał Pawełek z błyszczącemi od tłumionego podniecenia źrenicami.

Jakieś przyjazne iskierki zatliły się w spojrzeniu starego ogrodnika:

— Wiem jeszcze, że tam na górze, w infirmerji, omal nie popłakali się wszyscy, gdy ten kochany aniołek opiekował się i kołysał do snu i śpiewał piosenki jednej małej, wrzaskliwej sierotce. „Śpij, dziecinko, śpij maleńka, luli lalko, luli!“ — zanucił basowym falsetem.

— Mamusia nam to zawsze śpiewała! — wyrwało się Michasiowi głosem, który się nagle załamał.

Jacenty obrzucił chłopca przelotnem spojrzeniem, poczem skupił się w sobie i jął rozważać:

— Ten biedak tak się męczy jak święty Wawrzyniec na ruszcie! Żar cierpienia przypala go setnie! Ktoś inny zawinił, a on — pokutuje! — uczuł na swych kolanach chłopięcą dłoń Pawełka, który w ten sposób przywoływał go do dalszego opowiadania.

— Zaraz, paniczu! Będę mówił, choć, Bogiem, a prawdą — więcej z tego dla was zmartwienia, aniżeli pociechy! Ot, przypominam sobie w tej chwili dzień świętej Anny, patronki tego drogiego maleństwa! Siedziało to sobie na oknie i wypatrywało, czy ktoś do niej nie przyjedzie z Warszawy! Nie przyjechał nikt. (Michaś splótł palce, aż zatrzeszczały w stawach, a staremu twarz sposępniała):

— Tak mi jej było żal, że oddałbym resztki mego życia, byleby ją rozweselić! Oczęta miała takie smutne, a tak szafirowe jak to niebo nad nami! Posłałem jej na górę bukiet róż. Stałem ot, tu, na dole

i patrzyłem jak ta złota dziecina cieszyła się i plaskała w rączki i uśmiechała się do mnie! Paniczu! Co panicz robi?! Obejmować takiego brudasa?! — zawołał nagle, starając się wyzwolić z gorących uścisków Pawełka. — Panicz się powala! — gderał, ale oczy jego rozbłysnęły wielką, czystą radością.

— Panicze kochani! — prawił serdecznym głosem, jakgdyby już przezwyciężył wszystkie wątpliwości. — Nie wiedzieliśmy my wtedy, że straszne chwile zbliżają się do nas! Słychać było, coprawda, od czasu do czasu, głuche walenie armat, ale to było gdzieś, hen — daleko! Aż tu naraz, pewnej nocy z trzeciego na czwarty sierpnia, do końca żywota tego nie zapomnę, budzi mię ze snu huczenie dzwonu, którym tyle lat zwoływałem nasze dzieci na wszystkie posiłki! Zrywam się z łóżka... Nasłuchuję... Klekotanie sygnaturki w naszej kaplicy przejmuje mię trwogą. Coś się stało! Pożar?!... Wypadam z mego domku! — stary wyciągnął ręce przed siebie, a na twarzy jego przesuwały się kolejno odtwarzane wrażenia:

— Tam, w tej oto stronie, niebo jaśniało łuną pożarów, jakbyś widział przed sobą rozwarte wnętrze olbrzymiego pieca. Górą warczały zrzadka pociski, lecąc z sykiem i gwizdem. Wtem — powietrze aż zadygotało od zajadłego huku armat, od ryku i wycia niedalekiej bitwy. Ochronka była oświetlona od góry do dołu, pobudzono dzieci i kazano im się ubierać. Nic nie wiedziałem, że furgony Czerwonego Krzyża stoją na szosie, przed bramą i że nasza przełożona o wszystkiem w porę pomyślała. To była kobieta! Spokojna, nie gniewała się prawie nigdy, a jak powiedziała słowo — to murowane!

Spóźnili się tylko widać z przysłaniem wozów po dzieci, albo ta bitwa tak niespodzianie wypadła, bo ażem ręce załamał na samą myśl jak to całe bractwo pomaszeruje pod kulami do bramy! — Niema na to rady, mój Jacenty poczciwy! — uspokajała mię panna Regina, która zeszła na dół, ubrana do drogi, wysunęła głowę przez drzwi i raz, dwa, wszystko mi wyjaśniła. — Jakbyśmy tu zostali — mówi — to żywa dusza z tego piekła nie wyjdzie! Niemcy widać przełamali front i chcą zmieść wszystko po drodze do Warszawy! Może ich jeszcze Rosjanie powstrzymają tą bitwą, a my przez ten czas tam uciekniemy. — Ledwo skończyła, a tu drzwi się otwierają naroścież i nasze dzieci wychodzą z ochrony parami, a co trocha, to idzie zboku nauczycielka, albo ochroniarka, na samym zaś ostatku — sunie pani przełożona i panna Regina trzyma Anię za rączkę. Tamte dzieci pędzą do bramy i pakują się do furgonów, a to maleństwo chwyta mnie swoją łapiną za rękę i ciągnie za sobą. Księżyc świecił na niebie nie gorzej jasnej lampy, więc widzę, że coś tam mówi do mnie, ale ryku lwa nie posłyszałbyś w takim dniu sądu ostatecznego!A ta dziecina myślała o starym Jacentym!... wsparł się na łokciu i zacichł, pogrążony w rozpamiętywaniach. Chłopcy czekali dalszych słów jego z zapartym oddechem w piersiach. Na niebie zamigotało już parę gwiazd, zwiastunek nadchodzącego zmierzchu.

Człowiek w łachmanach miał teraz umęczony wyraz twarzy. Słowa płynęły z ust jego niby czarny Styx śmierci, ponure i groźne:

— Nagle — zostałem sam. Jeden z pocisków trafił w ścianę domu. Panna Regina chwyciła na

ręce Anię i w panicznym strachu uciekła z nią do furgonów. Mogłem i ja podążyć za niemi, ale — dla kogo miałem ratować życie?!... Tymczasem w oddali bitwa rozpasała się na dobre. Ryk ognia artyleryjskiego rozsadzał mi mózg, schroniłem się więc do piwnicy i przesiedziałem tam do rana. Bitwa trwała przez całą noc. Zdawało mi się, że ziemia drży podemną. Że się rozpęknie i usypie mi nad głową mogiłę! Nareszcie wszystko ucichło... Słońce było już dość wysoko na niebie, gdy ośmieliłem się wyjrzeć ze swego podziemnego schronu. Patrzyłem przed siebie osłupiałemi oczyma. Z pod gruzów ochrony wydobywał się tu i tam płomień, liżący potrzaskane drzwi i okna. Dookoła zdruzgotanych lip słały się odpryski gałęzi, tam znów — poobdzierane z kory drzewa owocowe, bielały zmiażdżonym rdzeniem. Chwiejąc się na nogach, wyszedłem po za szczątki dawnego ogrodzenia. Jeszcze straszniejszy widok uderzył mię jakby obuchem. Ciała pozabijanych żołnierzy leżały pomiędzy opłotkami niby skoszone snopy. Pociski, zarywając się w ziemię, poobsypywały niektórych piaskiem i gliną. Cicho było i martwo, tylko moje serce łomotało w piersi niby cepy na klepisku!... Tak... Przeżyłem piekło za życia!... wpatrzył się w dal, objąwszy rękami kolana.

— Panie Jacenty! — przerwał milczenie starszy z chłopców. — Niech panu Bóg płaci najlepszem za taką dobroć dla naszej siostrzyczki. Tymczasem prosimy z całego serca niech pan nam nie odmawia i przyjmie niewielką pomoc. Przywieziemy panu jutro trochę odzieży, pozostałej po naszym ukochanym ojcu. Czy dobrze?! — niebieskie oczy Michasia jaśniały niezmierną dobrocią.

Samotny człowiek kiwnął głową potakująco, nie wymówiwszy słowa podzięki, ale wzrok jakim objął chłopaka, rozświetlił mu twarz wyrazem szczerego uczucia.

— Zrobione! — powiedział Michaś nieco weselej. — Trzeba nam już wracać do domu, Pawełku! — wstali obaj i podeszli blisko do siedzącego na rumowisku przyjaciela Ani. — Do jutra, panie Jacenty! — wyciągnęli doń ręce. — Prosimy jeszcze o adres ochrony w Warszawie — patrzyli nań wyczekująco.

Jacenty poruszył się niespokojnie:

— Czyliż powiedziałem paniczom, że nasze dzieci są w Warszawie?! — zapytał, ociągając się nieco.

— Tak zrozumiałem! — odrzekł bez wahania Michaś. — Dokądże w takim razie zawiozła je przełożona? —

Wahanie ogrodnika miało w sobie coś zatrważającego:

— Cios w samo serce! — zamruczał niewyraźnie i dodał z nagłą decyzją: — Nie wiem! — a widząc przerażenie na twarzach braci, zaczął mówić pośpiesznie: — Powtórzę wam rozmowę z panną Reginą, bo to wam najlepiej wszystko wyjaśni. Było to na dwa dni przed ową piekielną bitwą. Pani przełożona siedziała na ławeczce pod lipami, a panna Regina stała przed nią i obie wyglądały tak blado i mizernie, ażem się na dobre zestrachał. — Wierz mi — Reginko, — słyszałem głos przełożonej, — że Niemcy już prędko zajmą Warszawę! Czytam stale gazety i pomimo uspokajających zapewnień, trwożę się, widząc komunikaty „o odchodzeniu wojsk na

zgóry upatrzone pozycje!" Co to znaczy, moja Reginko?! Przeżyłam wojnę japońską i wiem, czem to się skończy! Niemcy biją Moskali i koniec! Ale w razie, gdyby moje przewidywania się sprawdziły, nie zostaniemy w Kongresówce, pod okupacją niemiecką. Zwycięzcy będą stąd wywozili, co tylko się da, drożyzna żywnościowa wzrośnie, a ja nie dam rady z tak liczną gromadą wychowańców! Pojedziemy w świat! Po za linję okopów niemieckich, może aż... Tu pani przełożona urwała, nie wiem dlaczego. Ostrożna była, może mnie dojrzała, a nie znosiła, aby ktoś — oprócz jednej panny Reginy — wiedział o jej planach.

Bracia mimowoli objęli się wpół i słuchali tego długiego opowiadania, które znów ich wtrącało w otchłań niepewności o losach Ani.

— Przełożona mogła przecież zmienić postanowienie! — odezwał się Pawełek, chcąc pocieszyć brata i siebie.

— Co?! — obruszył się nań Jacenty. — Panicz nie zna naszej przełożonej i dlatego tak mówi! Trzydzieści lat tu byłem i ani razu się nie zdarzyło, aby zmieniła najmniejszy rozkaz! — taka niezłomna pewność brzmiała w jego głosie, że chłopcy naraz pojęli, iż wszelka nadzieja odzyskania natychmiast Ani, była stracona. Pomiędzy nimi, a ich maleńką, ukochaną siostrzyczką, wyrastał mur, najeżony bagnetami austro-niemieckich i rosyjskich armij.

Rzucili się sobie w objęcia i zapłakali gorzko.

Dalsze dzieje Ani znajdziecie w części 2-ej p. t. „Młodość".

SPIS ROZDZIAŁÓW CZĘŚCI I-SZEJ.